



DEBORAH MOGGACH  
Była sobie sierota

---

*Tytuł oryginału THE EX-WIVES*

*Maxowi Eilenbergowi, Mike'owi Shaw i Rochelle Stevens*

RS

*Myślę, że już nigdy się nie ożenię.  
Znajdę tylko kobietę, która mi się nie podoba,  
i dam jej dom.*

Lewis Grizzard

RS

RS

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

---

Buffy siedział w swojej pobliskiej knajpie „U Trzech Grajków”, w tej części, którą wciąż jeszcze uparcie nazywał barem cocktailowym. Radio komentowało wyścigi; ale zagłuszał je hałas wiertarki. Na ulicy jak zwykle rozgrzebywano nawierzchnię. Tym razem, zgodnie z gratulacyjnym chyba tylko dla siebie plakatem „na rzecz naszej społeczności”, przeprowadzano kable TV. Wiertarce akompaniowały klaksony samochodów, bo przez to oczywiście powstawał na skrzyżowaniu Edgware Road korek. Buffy miał zaparcie. Nie poskutkowało torebką flybogelu po śniadaniu, nie poskutkowało wypalenie z wigorem pierwszego rano senior service.

Wpatrywał się w koronkową od piany piwa pustą szklankę. Odczuwał swój wiek, cokolwiek to znaczy. Zależnie od jego nastroju sześćdziesiąt jeden lat przesunęło się raz w prawo, raz w lewo. *Zaledwie sześćdziesiąt jeden i Boże mój, już sześćdziesiąt jeden!* Dzisiaj było *Boże mój*. Okoliczności się sprzysięgły, żeby go zirytować. Wiedział, że normalnie byle co irytuje człowieka w podeszłym wieku, a jednak. Po pierwsze: sprawa czy raczej nie sprawa systemu trawinnego. Po drugie, kiedy wyszedł z domu w ten wspaniały letni dzień, przyłapał się na jeszcze jednej bezsprzecznie starczej reakcji. Że też młode dziewczyny ubierają się tak nieopisanie szkaradnie! Kiedyś wyczekiwał upałów, żeby podziwiać odsłonięte smukłe nogi, ramiona delikatne wprost boleśnie i obiecujące aluzje dekoltów. Teraz dziewczyny obcinają włosy, chodzą w strasznych, strasznych buciorach. Te, które mają siedzenia jak pomniki, noszą fosforyzujące szorty. Te strzeliste natomiast spowijają się w obwisłe warstwy czerni niczym greckie babcie. I oczywiście żadna go nie widzi. Żadnej nie drgnie powieka. Nie. On jest niewidzialny.

I właśnie wtedy, gdy zobaczył jakiś unikat rodzaju żeńskiego, potknął się o wywróconą płytę chodnika, omal nie upadł na twarz. Niech diabli porwą kable TV! Tak go to zirykowało, że aż się zastanowił, dokąd pójść. Jakby człowiek miał jeszcze wybór w sprawach istotnych: pub czy zaciszny ekskluzywny bar, kiedyś nie wadzące nikomu, odseparowane - dwa

pikantnie odmienne mikrokosmosiki społeczne, z których jeden albo drugi można było sobie wybrać w zależności od chęci, stanu swoich finansów i ewentualnie od swego damskiego towarzystwa. Teraz knajpy, wszystkie ze ścianami przebitymi, ubezpieczone, są jakąś ziemią niczyją na Grzbiecie Srodkowo-Atlantyckim, gdzie wciąż pykają pi-pi-pi telefony komórkowe i tłoczą się hermafrodyty zatrudnione najwidoczniej w biurach prasowych. Z drugiej jednak strony na innych odcinkach wybór się rozszerzył, chociaż już przedtem był za szeroki. Piwo, na przykład. Dochodzili do miliona różnych gatunków, im bardziej nieznanymi, tym lepiej - kto jak kto, ale on, Buffy, powinien wiedzieć, użył swój głos reklamie jakiegoś piwka ze Wschodniego Senegalu czy skądś tam. I komu to potrzebne? Aczkolwiek pieniądze z powtarzania takich reklam oczywiście się przydają.

No i za dużo tych kanałów telewizji kablowej i w ogóle, wciąż doskakujących, kiedy nawet przy pierwotnych czterech traci się głowę, zwłaszcza odkąd w domu jest wideo i Penny nagrywa rewie mody na kasetach z jego nagraniami „Opowieści z Palm Beach”. A potem obłudnie mówi, że to jego wina, bo najwidoczniej ich nie oznaczył.

- Nie rozumiem, dlaczego robisz szum - powiedziała ostatnio. - Przenudne stare filmy, i tak nigdy ich nie oglądasz. Zbyt dawne, kochanie, żeby je przechowywać.

- Po prostu lubię wiedzieć, że są. To jak kościół.

- Przecież nie chodzisz do kościoła.

- Właśnie. Ale wiem, że mógłbym. Bo kościół jest.

Potrząsnęła tymi swoimi połyskliwymi włosami i z pstryk-

nięciem zamknęła teczkę. I nagle znieruchomiała. Stała jak lis, który wywęszył królika głęboko w zaroślach. Nozdrza jej się rozdeły. Warto by napisać felieton o tym, na pewno tak pomyślała. Może znów dla któregoś z brukowców te mizdrzące się jej wywody „Czyż świat nie kończy się na mężczyznach?” okraszone kłopotliwymi wzmiankami o nim. Albo może dla „Cosmopolitan” czy czegoś takiego na kredowym papierze: „Dziesięć nowych podstaw do rozwodu”. Albo też pełne rozbawienia refleksje w mieszczańskim guście dla „Times”. Ona rozpościera wachlarz swoich

zdolności. Boże mój, pisuje nawet dla „High Life” - to jedna z tych dziesięciu podstaw do rozwodu, gdyby jego kto pytał.

Ale Penny była teraz w Positano, wydelegowana tam przez ten czy inny magazyn. Ostatnio pisywała mnóstwo reportaży „z terenu”. Naturalnie to stanowiło prawdziwy powód irytacji Buffy'ego. Czuł się bardzo nieszczęśliwy powłócząc nogami do Marksa i Spencera, żeby kupić „Porcję dla Ciebie”. Znał już te dania na pamięć. Rybi pasztet z sosem Cumberland - rozczarowujący, za dużo w tym kartofli. Łazanki, raczej namiastka łazanek, ale nie najgorsza. Przypominały mu się okresy w życiu, o których wolałby raz na zawsze zapomnieć. W dodatku, „Porcja dla Ciebie” nie wystarczała, więc zwykle kupował „Porcję dla Was”, dla niego jednego oczywiście zbyt pokąsną. Ale był łakomy, zawsze zjadał wszystko, wyskrobywał resztki z foliowego opakowania, a potem zapadał w ciężki sen przesyty i w środku nocy budził się ze zgagą. Podobny kłopot sprawiało mu wino. Pół butelki stanowczo za mało, a cała to już prawie nadmiar. W rezultacie tak samo zasypiał, a potem się budził, tylko że nie ze zgagą, a z ogniem w gardle i z palpitacjami serca. Kiedy Penny była w domu, wino mu służyło - ona piła niewiele, więc butelka przypadła na niego, ale niezupełnie cała.

Poza tym lubił gawędzić. Lubiał powroty Penny z miasta. Wpadała jak bomba, mówiła, że jest bałagan i prawie nie słuchała, kiedy opowiadał, co robił po południu. A przecież w jakiś sposób - nieokreślenie, niekonkretnie - działała ożywczo. Dobrze wychowana, z polorem ziemiańskim - córka pułkownika - potrafiła tuszować nietakty, wprowadzać porządek, być dobrym kompanem, zabawnym, plotkującym, szczególnie w większym towarzystwie. Kiedy byli sami, raczej nim komenderowała. Najlepszą swoją formę wykazywała wobec hydraulików i innych fachowców wzywanych do napraw w domu - dobroduszna, ale zdecydowana i władcza - i dosyć podobnie radziła sobie z nim. A jeśli nie, to traktowała go tak samo jak jego psa - z energicznym zniecierpliwieniem, zwłaszcza gdy plątał się jej pod nogami albo stał przed lodówką.

Buffy niezbyt dobrze znosił samotność. Szybko się nudził. Brakowało mu sprzeczek, dąsów Penny, nawet jej przesiadywania godzinami przy telefonie, kiedy było coś ciekawego w telewizji. Zapachy perfum, które

dostawała w prezencie za kryptoreklamy, snuły się w łazience jeszcze długo po jej wyjeździe. Tak naprawdę, to przypominały mu nie tyle ją, ile damską obecność wyidealizowaną - kobietę, jakiej chyba nigdy w życiu nie spotkał, a już na pewno nie poślubił. Jawiła mu się taka: nie miała pretensji o to, że gotuje mu obiad, śmiała się z jego anegdot, chociaż nieraz już je słyszała, i nie kasowała jego kaset wideo. I mówiła mu „kochany” nieuszczepliwie. Dlaczego one wszystkie używają najczulszych słów wtedy, gdy są szczególnie zirytowane albo gdy biorą na kieł, żeby dowieść swojej racji?

Buffy wstał. George grzotnął ogonem w podłogę, z trudem wstał także i podniósł na niego oczy wilgotne, pełne oddania. Dlaczego żadna kobieta w ciągu tych wszystkich lat nigdy tak na mnie nie patrzyła?

Jeszcze jedno piwo Buffy zamówił przy kontuarze. Podał mu je nowy właściciel „Trzech Grajków”, niemożliwie opalony, typ sportowca atlety. Bóg tylko raczy wiedzieć, co skłoniło takiego do prowadzenia knajpy. Na świecie coraz więcej energicznych młodych przystojniaków. Wyskakują znikąd, albo czasami z Australii, i prowadzą przedsiębiorstwa, które jakoś nie wydają się godne ich przedsiębiorczości. Dawniejsi knajpiarze, starzy ramole, napawali człowieka przekonaniem, że będą tam za tym kontuarem i w przyszłym roku, i za dwa lata, i zawsze. A ci wszyscy nowi wyglądają tak, jakby wpadli tylko na moment, żeby łaskawie zrobić człowiekowi grzeczność. Ten tutaj nazywa się Curtis - to wiadomo, ale minęła chwila zamówienia, kiedy można było niedbale dorzucić: Curtis. Teraz już za późno.

Buffy znów usiadł. George znów klapnął na podłogę. Penny stała się bardzo daleka, chociaż nie było jej zaledwie od dwóch dni. Kłopot z wyjazdami żon polega też i na tym, że trzeba szczególnie się przymilzaniem żona wyjedzie, i szczególnie się przymilać przez jakiś czas po jej powrocie - małżeństwo wtedy nabiera nienaturalnej glazury, jakiejś teatralności. I kiedy ona już wróci, wszystko co człowiek robił pod jej nieobecność, wydaje się jeszcze bardziej znikome i błahe niż zwykle. Jeżeli to w ogóle możliwe.

Penny zawsze wracała opalona i dziwnie wyższa - Buffy przypominał sobie, jaka jest wysoka, dopiero widząc ją znowu. Promienna w dodatku,



jakkolwiek przez delikatność, żeby nie wzbudzać w nim zawiści, utyskiwała:

- Ojej, ten hotel... właściwie plac budowy!..buldożery, błoto... Był pokaz mody, musiałyśmy oglądać...bite trzy godziny, nie'uwierzyłbyś, same klosze... to okropne, prawie jak tańce ludowe... chociaż nie, niezupełnie, nic nie może być aż tak okropne... A potem koszmarne wieczór, rum i rumba... Shirley kompletnie sparaliżowało, wiesz, tę Shirley z „Kregu Rodziny”... i następnego dnia wszyscy mieli potwornego kaca.

Przywoziła mu prowiant - owinięte folią tajemnicze smakołyki greckie, sardele z Sycylii, jakieś specjały wyciekające w jej walizce. Był tym wzruszony, naturalnie, ale czuł się jak kura domowa, której mąż żywiciel wrócił do domu. To pociągało za sobą trudności techniczne później w łóżku. Im dłużej Penny nie było, tym kategoryczniej honor mu nakazywał uczcić jej powrót powitaniem seksualnym. Ale po wstępnych igraszkach, przygnębiająco długich, oboje wiedzieli, że czeka ich noc bez snu, jeżeli nie zrezygnują.

- Nie przejmuj się - szeptała Penny- jestem i tak zmachana.

## ROZDZIAŁ DRUGI

---

Celeste. Urocze imię, urocza dziewczyna. Celeste roznosząca kanapki z kurakiem. Był czerwiec, upał, dzień pogrzebu jej matki.

Celeste mieszkała w miasteczku Melton Mowbray. Miała dwadzieścia trzy lata, jedynaczka, teraz, po śmierci matki, sierota. Wyglądała na zadbane, jedyne dziecko w rodzinie, jakim była dorastając, otoczona troskliwą serdecznością. Pachniała mydłem. Włosy miała krótkie i w uszach złote klipsiki. Jej wąłłość, wdzięk i atramentowe oczy przypominały spłoszoną antylopę, ale to wrażenie, jak zresztą wszystkie wrażenia, wprowadzało po trosze w błąd. Rzeczywiście cechował ją upór i przejawiała wielkie zdolności do matematyki. Kolumny cyfr mogły stanowić jeden z niewielu dla niej pewników na burzliwej fali życia w nadchodzących miesiącach. Buffy'emu wprost zaimponowała, kiedy widział ją po raz pierwszy. Tak sprawnie przytrzymała ramieniem słuchawkę telefonu przy uchu i równocześnie jedną wolną ręką wybijała w kasie jego apteczne zakupy, a drugą pakowała je w plastikowe torebki. On zawsze był beznadziejny, jeśli chodzi o wykonywanie kilku czynności naraz.

W Melton Mowbray nosiła swetry z angory w pastelowych kolorach. Czasami, zanim wsiadła na rower, wkładała dres. Modą, tą ukartowaną grą kapłanów narcyzmu, wcale się nie interesowała, bo była odludkiem i swoim rozrywkom oddawała się samotnie. Pływała w miejscowym basenie nie widząc przez żądlącą w oczy wodę spojrzeń ratownika; jeździła na rowerze, obgryzała paznokcie jeden po drugim. Jeżeli miewała nerwice, to o tym nie wiedziała, bo w jej rodzinie ani się nie znało słów na określenie czegoś tak głupiego ani nie chciało się ~~fatygować~~ fatygować, żeby je poznać. Żyła sobie spokojnie. Nosiła na szyi złoty krzyżyk, ale powód tego, sążnie wiary, jakie symbolizował, pozostawał raczej niezbadany. Była niewinna. Osobliwość jeszcze możliwa w Leicestershire.

Pokój jadalny zatłoczyli żałobnicy. Żałobnicy. Musiała dopasować ten nieswojski rzeczownik do ich twarzy. Przyjechali krewni, których nigdy przedtem nie widziała i nigdy potem nie miała widzieć. Przyszło kilku drągali z Ray-Bees - Usługi Hydrauliczne. Ci stali przy kominku i obmacywali ozdobny parapet, z którego ona odtąd już zawsze będzie musiała ścierać kurz. Chociaż chronicznie nieodpowiedzialni - „Nie ma co dostawać wścieklizny!” - ten okrzyk kiedyś ją dezorientował - stawili się na pogrzeb *en masse* prawdopodobnie jak na bibkę. Jej mama sprzątała biuro tej firmy.

Celeste weszła do kuchni po jajka faszerowane. Ściągnęła z nich przywierający celofan: zwijał się i czepiał puszkę na jej ręce. Chciała zapytać matkę o nazwiska krewnych w bawialnym, ale jednocześnie wiedziała, że nie może. Listy jeszcze przychodzą do mamy, czy to nie dziwne? Koperty adresowane do pani Constance Smith, w jednej zawiadomienie, że jest konkurs i wspaniała szansa wygrania samochodu vauxhall Astra. Z bawialni doleciał wybuch śmiechu. Pogrzeby mogą być zdumiewająco pogodne. Celeste pragnęła, żeby oni wszyscy się wynieśli, a przecież bała się chwili, kiedy już ich nie będzie.

Wniosła jajka faszerowane do bawialni. Gwar się zmienił; poniżej podniesionych głosów słyszała kondolencyjne szepty jak jeszcze jeden instrument, wiolonczelę dołączającą do orkiestry.

- Ja cię wyręczę z tą tacą.
- Dlaczego nie usiądziesz?
- Ruszże się, Dennis.
- To córeczka Connie. Co ona teraz pocznie?

Słowo *sierota* - nowe, jak *żałobnicy* - miała dopasować do siebie. Musi być dopasowane, nie inaczej niż przeszczep chirurgiczny na całe życie.

W powietrzu gęstniał dym papierosów. Słyszała urywki zdań:

- ... ten jego pieprzyk na policzku.
- ... kandelabr prosto ze sklepu...

A potem zrobiło się poruszenie.

- Irene, na którą zamówiłaś mikrobus?

Na górze wiszą w szafie rzeczy matki. Za każdym razem, kiedy ona tam przyjdzie, będą wisiały tak samo. To znaczy, jeżeli odważy się otworzyć tę szafę. Nie wiedziała, że taka jest śmierć - że przeobraża wszystkie rzeczy osoby zmarłej, obciąża je i unieruchamia. Niby lekkie, a jednak nie dadzą się poruszyć, jak zaklęte.

W końcu, oczywiście, należało coś z tym zrobić. Celeste zwolniła się z pracy na tydzień, żeby wszystko posortować. Najsmutniej było przy obuwiu - te kochane puste wypukłości od haluksów. A najgorzej z przepisami kucharskimi, nabazgranymi ręką matki na kartkach, i z różnymi sfatygowanymi papierami, które matka uparcie podklejała przezroczystą taśmą. Właściwie ze wszystkim było najgorzej. Już pierwszego dnia Celeste czuła się słaba i stara. Przeglądała i odkładała powoli, często musiała siadać. Za oknami huczało radio, Stan, sąsiad naprawiał swój samochód. Pojęcia nie miała nawet, jaki jest dzień tygodnia. Jak po ciężkiej chorobie wyszła z domu, mrużąc oczy w blasku słońca. Była drętwa, ale, o dziwo, zupełnie tak jakby miała przy sobie spostrzegawczą sekretarkę, sporo docierało do jej świadomości. Co to za nowy wyrób mączny, Grzanki Cynamonowe? Dlaczego to rytmiczne zgrzytanie walkmanów zawsze brzmi tak samo? Czyżby wszyscy w całej Wielkiej Brytanii słuchali wciąż jednej i tej samej popularnej piosenki? Kto jej odpowie na te pytania teraz?

Zasadniczo Celeste była pogodna, daleka od rozpacz, nieznanych jej, niepokojących rejonów, gdzie bywali inni, ale nie ona. To, że jej ojciec umarł, raczej się nie liczyło, bo miała wtedy zaledwie sześć lat. I nawet teraz, kiedy już musiała w tych rejonach się znaleźć, nie robiło to na niej takiego wrażenia, jak przedtem sobie wyobrażała. Krajobraz nie wyglądał tak jak w owych broszurach i właściwie przegapiła moment, w którym przekroczyła granicę. Pod wieloma względami czuła się normalnie, chociaż Wanda z domu naprzeciwko powiędziała, że ona strasznie spsiała i może by przyszła na kolacyjkę, bo będą udką indycze Honolulu. Douggie właśnie je pichci z ananasem z puszki, co prawda, ale czy świeżego można wymagać na takim zadupiu?

Celeste jadła z apetytem. Zawsze miała apetyt, który i teraz dawał o sobie znać jak światła na skrzyżowaniu wytrwale się zapalające po

ewakuacji miasta. Wanda była w śliwkowym trykocie akrobatycznym i jej piersi poniżej piegowatego rowka dałoby się porównać do połyskliwych jędrnych śliwek. Trochę popuszczała sobie wodzy. Jej mąż, Dougie, poddał się sterylizacji.

- Może przeprowadź się do Londynu - powiedziała.

- Dlaczego? - zapytała Celeste.

- A dlaczego by nie? Chcesz tkwić tutaj do końca życia? Boże, ja bym zrobiła wszystko, żeby stąd uciec. - Wanda westchnęła.

Ostatnio ludzie zwierzali się Celeste częściej niż przedtem. Odkąd jej matka zachorowała, byli bardziej gotowi się żalić zapewne po to, by dotrzymać jej towarzystwa. Dowiedziała się niemało o cudzych kłopotach przez tych parę tygodni.

- Domek komuś wynajmiesz - powiedziała Wanda.

Celeste serce podjechało do gardła.

- Nie mogę się zdecydować w takich sprawach. - Nie mogła nawet zdecydować się rano, co na siebie włożyć. Straszny wysiłek. Czowała się w ten wieczór głupia i nieruchawa jak ameba, najniższa gąbczasta forma życia, która drgnie tylko wtedy, gdy się ją szturchnie. Wciąż chciało jej się spać. Czy to z rozpaczy?

Wróciła do domu na drugą stronę uliczki. Za jej plecami pociemniało. Światło na ganku Douggie'go i Wandy zgasło. Otworzyła kluczem drzwi do ciemnej sionki. Cisza. Najgorsze chwile, te powroty do domu.

Gdyby włączyła radio, usłyszałaby, jak Buffy czyta Książkę na Dobranoc („Ivanhoe”), ale ona nigdy nie nastawiała programu czwartego. Weszła po schodach na górę, minęła zamknięte drzwi pokoju matki i w łazience umyła zęby. Wanda miała rację. Sierota sama na świecie może robić wszystko. Może złożyć wymówienie w Szast Prast - Rury Wydechowe. Ci mężczyźni tam, żartownisie w kombinezonach, nagle zaczęli jej się wydawać obłeśni i niebezpieczni. Słowo „przelecieć” zabrzmiało jej w uszach, aż się wzdrygnęła.

Wszystko zakołowało. Usiadła na pokrywie muszli klozetowej. W taką panikę wpadała nieraz od kilku dni. Przypominało to popłoch, jaki ją ogarniał, kiedy powtarzała sobie w nieskończoność jakieś słowo, „miss-ka”

na przykład, albo „soss-jerka”, raz po raz, raz po raz, i ono traciło wszelki sens poza tym, że nakładało się na wszystkie inne słowa w jej głowie. Zupełnie tak jakby spruła sweter i już nie mogła tej włóczki zebrać w jakikolwiek kształt. Och, gdzie tamte bezpieczne czasy zabawy w supłanie sznurka! Patrzyła na kafle, którymi tata wyłożył ściany. Na co trzecim, albo miejscami na co piątym był deseń, jedna muszelka. W dzieciństwie usiłowała zgłębić niewy tłumaczalny dorosły powód takiego układania kafli, ale nigdy o to nie zapytała taty, bo po wyjściu z łazienki o tym zapomniała, a teraz nie ma kogo zapytać. Celeste, jej własne imię wydało się dziwne. Celeste. Wprost nieprawdopodobne.

\*

To była parna noc. W całej Anglii ludzie spali niespokojnie. Buffy chrząkał, gumiało pochrapywał. Dzieci wierzganiem odrzucały kołderki, oddychały ochryple, czoła miały zdobne w esy-floresy wilgotnych włosów. Psom na dywanach łapy drgały pod prądem polowań, które im się śniły. Celeste leżała zroszona pomiędzy dziewiczo białymi prześcieradłami, nie wiedząc, że ten zegar już tyka, wskazówki już suną w przemianę zarówno jej przeszłości jak przyszłości, i że decyzja wyjazdu do Londynu została podjęta za nią.

\*

Nazajutrz rano, w dwa dni po pogrzebie, uznała, że nie może dłużej tego odkładać. Musiała zabrać się do przejrzenia zawartości szuflady w bocznym kredensie. Były tam pudełka po butach, puszki i koperty pełne papierów. Wyjęła to wszystko i rozłożyła na podłodze - listy, pożółkłe gwarancje dawno nie istniejących udogodnień domowych, stare rachunki, sumy starannie długopisem wypisane przez matkę. Zrozumiała, dlaczego nie chciała się tym zająć. To przecież ostateczne potwierdzenie.

Otworzyła puszkę po herbatnikach - Mieszanka Podwieczorkowa Crawforda. W puszcze były hiszpańskie pesety, kilka książeczek oszczędnościowych i koperta „Dla Celeste”.

Miała zapamiętać chwilę, w której podniosła tę kopertę. Ból w udach od klęczenia na podłodze. Dywan rozżółcony słońcem. Miarowe plaskanie

piłki na ulicy za oknem. Sobota - tylko to sobie wtedy uświadomiła. I inny, dźwięczny odgłos odbijania się piłki od samochodu.

Otworzyła kopertę. Wyjęła list, który do niej napisała matka. I małą złotą rybkę.

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

---

Tego dnia w pubie nie było żadnego ze stałych gości, kilku chybotliwych starców, na widok których nawet on czuł się dziarsko. Wychylił swoją szklanekę do dna i wyszedł mrużąc oczy w blasku słońca. Penny ma wrócić z Positano jutro, przylecieć na Heathrow o którejś tam godzinie. Właśnie na tym lotnisku poznali się przed ośmiu laty. Oboje wówczas, jak się to mówi, przejściowo wolni, przy czym on cholernie samotny. Wracał z Los Angeles, miasta największej samotności na ziemi, gdzie grał w pilocie serialu ostatecznie nigdy nie nakręconego.

Lecieli jednym samolotem. Przyciągnęły jego uwagę połyskliwe kasztanowate włosy, obcięte „na pazia”, zwiewne przy każdym jej ruchu. Bluzka z jedwabiu. Głowa pochylona nad podręcznym komputerem, jakiego w tamtych czasach nie miał prawie nikt. To wysokie napięcie zaabsorbowania swoją pracą. Ileż w tym wyzwania! Ileż powabu!

Po posiłku udał się do toalety i akurat przy jej fotelu musiał przepuścić wózek z delikatesami wolnymi od cła. Nawet w tamtych czasach nie był na tyle smukły, żeby się obok wózka precyzyjnie. Więc przystanął. Pochylając się nad nią, szepnął:

- Jak to jest, że te wolne od cła zawsze popycha steward, którego ani przedtem ani potem nie widać?

Odszepnęła ze śmiechem:

- Trzymają go na składzie w specjalnej kabynie.

- Samolot wylądował i wpadli na siebie w hali. Buffy chciał przesznuć kilka butelek Napa Valley, szczególnie znakomitego czerwonego wina. Brzękały mu w reklamówkach, kiedy podszedł do niej na końcu ogonka przed NIC DO ZADEKLAROWANIA i klepnął ją w ramię.

- Niech pani będzie kumplem i to mi przeniesie.

Była kumplem, a jakże. Przecież nie wiedziała, czy te torby nie są pełne pistoletów IRA. Brawo. Przeniosła je z tą jaśniepańską pewnością siebie, z



tą miną prostaczku-nie- -waż-się-mnie-zatrzymać, którą kobiety mu imponowały, zwłaszcza wtedy, gdy nie on był owym prostaczkiem.

Tak więc przeszli przez cło szczęśliwie.

- Russell Buffery - przedstawił się i uściskał jej dłoń.

- Od razu pana głos wydał mi się znajomy - powiedziała rozpromieniona. - Do licha, nie wygląda pan tak, jak myślałam.

Ludzie zawsze mu to mówili. Co to znaczy? Jak myśleli, na Boga? Wolał nie pytać.

- Był pan precudownym panem Pickwickiem - ciągnęła. - Leżałam wtedy w łóżku z zapaleniem migdałów. Słyszałam wszystkie odcinki. To było przewlekłe zapalenie.

Razem pojechali taksówką do Londynu. Powiedziała, że jest dziennikarką i że chce zrobić z nim wywiad dla jakiejś tam gazety z kolorowym dodatkiem niedzielnym. Podał jej swój adres.

Ustalonego dnia zjawili się, ona i fotograf. Była w białym płóciennym kostiumie, rześka i rzeczowa jak etatowa pielęgniarka. Uwielbiała pielęgniarki. Na progu saloniku zatrzymała się i szeroko otworzyła oczy.

- Boże, co za chlew! - Zaczęła chodzić po pokoju, przestępując poszczególne pozycje na zaśmieconym dywanie. Oczy otwierała coraz szerzej ze zdumieniem i podziwem nieomal.

- Wszyscy zwykle całymi dniami sprzątaj, kiedy mamy przyjść.

On uważał, że jest akurat dostateczny porządek - trochę rzeczywiście posprzątał - ale zwęszył w tym coś dla siebie. Coś mocodajnego. Litość! Właśnie, tylko odkręcić ten kran.

- Moja eks-żona wyrzuciła mnie z domu, pani rozumie. Wylądowałem tutaj. W tej kamienicy roi się od zbytecznych mężów, wyrzuconych ludzkich odpadów. - Głos mu wezbrał, wspaniały głos, brunatny jak melasa, jak ciemny portwein, jak likier, czekoladowy przesączany przez plaster miodu, takie to czyniono porównania. Swoim głosem Russell Buffery, czy się go widziało czy nie, sprawiał przyjemność tysiącom - milionom, być może. A już w odniesieniu do kobiet głos to niewątpliwie jego organ najbardziej niezawodny.

- Okaleczeni alimentami ci biedacy gniją za życia - gruchał. - Samotnie wędzną w knajpach, wpatrzeni w barwne fotografie swoich dzieci z zabaw urodzinowych, na które ich już się nie wpuszcza. I w pralniach siedzą, patrzą przez cyklopowe oko pralki, jak kręcą się ich wąskie kawalerskie prześcieradła splecione z podkoszulkami w parodii uścisków kiedyś zaznawanych tak rozkosznie. - Umilkł. Nieco chyba przeholował. Ale nie. Twarz jej złagodniała, stępiała poniekąd. Nawet fotograf jest pod wrażeniem: usiadł ciężko w jedynym dobrym fotelu i sięga do kieszeni po papierosa.

- Wieczorem chodzą ulicami bez celu, kiedy niejeden młody człowiek kupuje w nocnym sklepie bukiet kwiatów i z butelką wina w drugiej ręce pędzi po schodach po dwa stopnie naraz do drzwi frontowych swojej najdroższej i naciska dzwonek. Mijają okna barów z szybami teraz nie matowymi taktownie jak dawniej, więc widoczne tam są żywe obrazy par zakochanych, które między jednym a drugim pocałunkiem sprzeczą się, na jaki pójść film, i długopisem podkreślają wybrane kino w rozłożonym przed nimi „Timesie”.

Oczy jej zwilgotniały. Jemu także. Włączyła swój magnetofon, ale ręce jej się trzęsły.

- Niech nam pan opowie o swoim pokoiku - zagaiła wywiad.

Pokoikiem nazwała ten zupełnie duży pokój. Jeszcze jeden dowód, że bardzo się przejęła. Już ją mam. Ostatecznie jestem aktorem. George Kaufman mówił: „jeżeli publiczność się na ciebie złapie w ciągu pierwszych dziesięciu minut, będzie twoja do końca przedstawienia”. I, do diabła, to święta prawda. Sam się na siebie złapałem.

- Moja eks oczywiście zatrzymała większość mebli - powiedział w drodze przez pokój, odsuwając nogą kilka pustych opakowań. - Tylko paru rodzinnych antyków jednak nie ośmieliła się zachapać. Głównie dlatego, że są szkaradne.

- Wskazał kredens. - To było mojej babuni. Drzwiczki pęknięte. Wbiła je kopniakiem.

- Pana babunia?

- Nie, nie. Jacquetta. Moja była żona. Kłóciliśmy się. - Wskazał ścianę. - Ten tutaj to jedyny obraz, który pozwoliła mi zabrać. Niewiarygodnie nieciekawa litografia mojego starego college'u w Oksfordzie.

Penny przytaknęła.

- Nieciekawa, owszem. - Podniosła z dywanu kawałek skórki pizzy. - Mogę to wyrzucić?

Przytaknął.

- Zawsze zostawiam brzeg - wyjaśnił. - Pani nie zostawia? - Wskazał osobliwy przedmiot chiński, prezent otrzymany od obsady, kiedy grał Lira w Hartlepool. Może ona potrafi zgadnąć, co to jest i do czego służy.

Ale nie potrafiła.

Podszedł do kominka, przesunął na parapecie butelkę Bells i wskazał fotografię.

- Moi synowie. Bruno i Tobias.

- Ach, milutcy.

- Mam gdzieś więcej.

- Więcej? Czego?

- Dzieci. Starszych jednak niż tu.

Jeszcze popatrzyła na te dwie uśmiechnięte buzie w zmatowiałej ramce.

- Widuje się pan z nimi?

- W weekendy, za nieczęstym pozwoleniem. Wskazała akwarium bez wody.

- A to na co?

- Na ich owady. Patyczaki. Zajrzała między listowie.

- Gdzie te patyczaki?

- Trudno je zobaczyć. Wcale się nie ruszają i wyglądają rzeczywiście jak patyki. Czasami je wypatruję i myślę, że może to jest sposób na życie. Kamuflaż, bezruch. Jedyne sposoby, żeby uniknąć cierpienia.

Wystarczyło. Miał ją. W miesiąc potem wprowadziła się do jego mieszkania.

\*

Ciągnąc George'a za sobą, Buffy szedł wzdłuż parady sklepów. Od tamtych czasów minęło osiem lat. Wyroby Żelazne Abercorn stały się Pałacem Wideo. W kioskach były gazety arabskie, przed sklepikiem kiedyś należycie zieleniar- skim teraz wystawiano artykuły spożywcze i wina Europy, i kiwi z małutkimi nalepkami „50 p” - pięćdziesiąt pensów jeden mały owoc! Uczniacy przechadzali się liżąc lody. Chyba już o każdej porze włóczą się po mieście. Jeden z nich powiedział:

- To on wszedł i zwędził. Ale ja przebiłem to promieniami gamma.

Co znaczy „przebić promieniami gamma”? Buffy musiał iść z prądem ze względu na swoich synów. Bruno i Tobias byli już nastolatkami, owady zostawili daleko za sobą. Nie powinni go uważać za wapniaka. Podejrzewał, że wydaje im się raczej przestarzały i nedorzeczny jak urządzenie jonizujące.

Zrobił się upał. Robotnicy odeszli, zamiast usunąć zdradzieckie góry piachu, położyć płyty chodnika stojące jak domino. George nagle przystanął pociągając Buffy'ego w tył, podniósł nogę i obficie skropił plastikową rurę. Akurat pod tablicą „PRZEPRASZAMY ZA NIEDOGODNOŚCI”.

Buffy zachichotał. Trzeba to zapamiętać, żeby opowiedzieć Penny. Ona niedługo wróci i wszystko znów będzie dobrze. Beznadziejnie jest niezdolny do wytrzymywania samotności. Pozbawiony pokrzepiającego towarzystwa Penny czuje się łodzią bez steru. Czy którakolwiek z jego żon tak się czuła, kiedy jego nie było?

Nie wiadomo czemu znów się zirytował. Spode łba spojrzął na samochód nieprzepisowo zaparkowany przed pralnią chemiczną. W samochodzie nikt nie siedział, ale silnik pracował. Przesycał powietrze spalinami z rury wydechowej. Na tylnym siedzeniu stał fotelik niemowlęcy. Na tylnej szybie nalepka prosiła: „Zachowujcie odległość! Dajcie mojemu dziecku szansę!”.

Buffy znieruchomiał. Przeczytał to jeszcze raz. W ogóle nalepki na samochodach drażniły go, oczywiście - takie tam bzdury jak „Trąb, jeżeliś stuknięty” czy skrupulatne: „Ja jestem bezołowiowa, a ty?” Ale ta sprawiła, że zakipiał apoplektyczną nieomal wściekłością. Tyle w niej cholernej obłądy, no właśnie!

Z pralni wyszła kobieta z plastikową torbą. Zatrzymała się na jego widok.

- Pomóc panu?

Mierzyła go spojrzeniem od stóp do głów. Spuścił wzrok. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest w rannych pantoflach.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

Penny nie była w Positano. Była w pewnym mieszkaniu w Soho, o trzy miłe zaledwie od domu, i leżała wygodnie na mężczyźnie imieniem Colin. On spał. Słońce żarzyło się za roletami, pokój napelniała zupa półmroku znana tylko chorym i cudzołóżcom. Penny nie zaliczała się do tych, którzy z reguły idą do łóżka po południu. Odgłosy z ulicy - trzaśnięcie drzwiczek samochodu, leniwy pomruk czekającej na kogoś taksówki - zgrzytały jej w uszach. Bo poczuwała się do winy. Takie odgłosy mogłyby równie dobrze dolatywać z ulicy w innym kraju. Rzeczywiście powinna teraz być w innym kraju. Już rozłożyła wachlarzem, na pokrytej rogózką podłodze przy japońskim materacu Colina, odpowiednio otwarte przewodniki: Berlitz, Baedeker, Penguin. Czerpiąc z nich natchnienie, pisała w notatniku:

*Positano, ta miejscowość stanowiąca magnes dla sybarytów i czcicieli słońca, jest najlepiej dochowywanym sekretem Basenu Śródziemno-morskiego. Z krętych, brukowanych kocimi łbami uliczek rozciąga się widok, który zapiera dech w piersiach, widok morza w kolorze ciemnego wina - Uuoo ! Kuu! Uiii! - zapiszczał przeraźliwie pod oknami alarm samochodowy. — Z porykiwaniem osły postukują klip-klap kopytami w bruk dźwigając malownicze kosze pełne miejscowych produktów. - Leniwie przeciągnęła palcem po twardym szerokim barku Colina*

- *Wyniosłe majestatyczne urwiska przechodzą w tarasy, na których są winnice, gaje oliwne i urocze różowe siedziby.*

- *Przeciagnęła palcem po jego plecach - i które opadają coraz niżej ku kamienistemu wybrzeżu w dole. - Wsunęła dłoń między jego nogi - gdzie głązy leżą wtulone w bujne listowie bugenwilli...*

Colin chrząknął i przewrócił się na bok. Odkleiła się od niego. Był okropny upał; długopis ślizgał się jej w ręce. Dojechała do Neapolu.

*Ruchliwe kosmopolityczne siedlisko wspaniałych muzeów i 499 kościołów. To miasto nie szczędzi swoich łask, ale serce otwiera tylko przed koneserami. - Wypiła z kubka trochę herbaty stanowczo za mocnej. - Siedząc w tłocznej kawiarni na chodniku naprzeciwko Palazzo Reale uraczyłam się z przyjemnością kieliszkiem orzeźwiającego miejscowego wina Lacryma Christi del Vesuvio...*

Pomyślała: Penny Warren zrobiła sobie w środku tygodnia okolicznościowy urlop i poleciała do Soho, najlepiej dochowywanego sekretu Londynu, gdzie podróżowała z sypialni do łazienki i z łazienki do sypialni na rachunek Agencji Wakacyjne Plamy na Słońcu, spółka akcyjna.

- *Uwierasz mnie łokciem - wymamrotał w poduszkę Colin.*

- *Przepraszam. - Podniosła rękę. Taka była wobec niego przepraszająca. Łokcie miała niezmiernie twarde, a przecież czuła się łagodniejsza, bardziej uległa.*

- *Dokąd dojechałaś?*

- *Do Sorrento.*

Leżała ciężko na jego jędrnych pośladkach, długopis zatrzymał się w powietrzu. Samo znaczenie tego, co się dzieje, wywołało skurcz w jej żołądku. Dopóki nie poznała Colina, nie popełniała zrad. Nie miała na to czasu. Pisała o tym mnóstwo felietonów oczywiście. „Niewierność”, „Co wolno, czego nie wolno”, „Szminka na jego kołnierzyku”. Boże, jakież banały! „To twój romans - powszechny poradnik sposobu bycia pozamałżeńskiego”. No, ale pisała felietony o wszystkim. Przeważnie dla działów kobiecych w gazetach i dla magazynów chytrze maskowanych takimi nazwami jak „Ty” czy „Życie”, chociaż wszyscy wiedzą, że czytają

je wyłącznie kobiety. Pisała już od dwudziestu lat. Pełna werwy i rzetelna, przynajmniej dotychczas. Wiedziała, gdzie zjeść obiad i jaką zamówić wodę mineralną. Wiedziała, czym się różni kolagen od silikonu. Myślała, że to wszystko. Szukając materiału, bezlitośnie plądrowała w życiu swoich znajomych i brała ich nastoletnie dzieci w krzyżowy ogień pytań o najnowsze tendencje. Chociaż nosiła pantofle od Sloaneya i garsonki Conran, znała niejednego żargon. Ze wszystkimi projektantami mody była po imieniu i chodziła na nabożeństwa żałobne za dusze ich kochanków. W redakcjach zastępowała redaktorki, kiedy ta czy tamta brała krótki - króciusięki - urlop, żeby urodzić dziecko, czy trochę dłuższy, żeby napisać zaprawioną obficie seksem i opisami zakupów powieść, jeżeli mogła liczyć na kryptoreklamę ze strony redakcyjnych kolegów. Taka ona była, ta Penny, która do pracy jeździła koleją podziemną, a w porze obiadowej śmigła przez Londyn taksówkami, która żonglowała wymagającym mężem i prawowitym dziennikarstwem nieetatowym i która myślała, że wie wszystko.

Dotychczas tak myślała. O tym, co przeżywała teraz, nie miała pojęcia. Nie wiedziała, jakie to będzie uczucie, ta prosta rzeczywistość dotknięć innego mężczyzny, jego zapachu, jego oddechu wiejącego w ucho. Jego berdysza. I w ogóle. Penny, którą Colin obudził, która mu się poddała, łagodniejsza, ustepliwa, miłsza niż przedtem, i która wytyczała palcem wskazującym i kciukiem mapę jego pieprzyków ze wszech miar pospolitych, a dla niej tak nadzwyczajnych, i pocierała podbródkiem szczecinę jego zarostu, przecież istniała zawsze, ona jednak wcale o tym nie wiedziała. Co to jest feromony? Jeszcze o nich nie napisała felietonu? Cóż za radość być tą zagubioną i nagle odnalezioną! I cóż za zgroza!

\*

Tak się nie robi, to wiedziała<sup>24</sup>Jej matka by się przeraziła, ruszyłaby na Colina z sekatorem. A Buffy by... lepiej O'Buffym nie myśleć. Już tylko określając męża słowem „wymagający” Penny czuła się winna. Określenie zbyt proste, nawet ona zdawała sobie z tego sprawę; małżeństwo jest skomplikowane., Ale chce się swojego męża uprościć, uprzystępnąć



małżeńskie równanie. Kiedy Colin powiedział, że Buffy to rozpity stary oszust, zjeżyła się zmontowaną naprędcę lojalnością, w głębi duszy jednak była mu wdzięczna. Bo rzucił światło na jej sytuację. Ujrzała to wtedy jakby zostało wydrukowane w którejś z jej rubryk.

*P. W. - tak ją nazwijmy - kobieta odnosząca sukcesy na polu zawodowym jest od ośmiu lat żoną mężczyzny starszego od niej o lat piętnaście. Był on swego czasu znanym aktorem teatru szekspirowskiego, cóż kiedy karierę zwichnęły mu komplikacje domowe i nie ukrywany pociąg do butelki. Teraz jest znany głównie z miękkiego, soczystego brzmienia swego głosu, którym zachwala dobrodziejstwa Dań Odpornych na Wilgoć i Substancje Gnilne. Czy miał wielki talent tragicznie zmarnowany czy też bardzo mierny talencik wykorzystywany bezlitośnie - czas pokaże. P. W. stwierdza jedynie, że podczas gdy ona spełnia się w swoim zawodzie, on w swoim utknął na martwym punkcie; podczas gdy ona rośnie i zmienia się w niezależną panią własnego losu, on wciąż potrzebuje od niej więcej niż jest gotowa mu dać. Jak w niejednym mężczyźnie silnej budowy (w tym przypadku dosyć otyłym) kryje się w nim niepewność i nieznanomość siebie. Z biegiem lat P. W. pojęła, że wyszła za mąż nie za mężczyznę będącego dla niej symbolem ojca, tylko za dziecko.*

Boże, tak to widząc czuła się jeszcze bardziej winna. Uczucie zupełnie nowe niczym pierwsze strzyknięcie półpaśca. Nie przywykła do wyrzutów sumienia. Jest dziennikarką. Dziennikarze rodzą się bez sumień, są jak pewien typ samochodu z silnikiem skonstruowanym bez pasa śmigłowego. Jest brutalna, no nie? Od obcych wyciąga upokarzające osobiste wyznania, dokopuje się rewelacji o sławnych ludziach, o ich spotkaniach biseksualnych. Zraziła do siebie jedną z przyjaciółek, kiedy ją opisała w swojej bardzo udanej rubryce „Ja i moja depresja”. Takie są dziennikarki. I kręcą z wydatkami służbowymi, nigdy nie spędzają wakacji na własny koszt. To należy do prawideł zawodu. Domek na wsi urządziła od góry do dołu na nowo i dobudowała dużą wiktoriańską cieplarnię z pieniędzy za cykl artykułów, do których napisania nigdy się nie zabrała.

Biedny Buffy. Rzeczywiście przywiązała się do niego serdecznie. Ale jak komunizm we Wschodniej Europie, to małżeństwo nagle zaczęło się

rozpadać w takim tempie, że nadażyć trudno.

RS

Penny zdradzała męża mrożąco sprawnie. Teraz była w szóstej już podróży tego rodzaju. Pakowała do walizki garderobę odpowiednią na południe Francji czy na norweskie fiordy, ostentacyjnie - może nawet zbyt ostentacyjnie - szukała paszportu, rzucała od niechcienia nazwiska wymyślonych koleżanek, których pijackie wyczyny miała skatalogować po powrocie, judaszowym pocałunkiem zegnała Buffy'ego i łapała na Edgware Road taksówkę.

Przyjeżdżała, rzecz jasna, prosto tutaj, na swoją boczną ulicę. Jeżeli to musiał być pierwszy samolot poranny, zastawała Colina jeszcze w pościeli. Upuszczała bagaże na podłogę, zdierała z siebie starannie wybraną i świeżą kreację podróżną, i radośnie dołączała do niego na japońskim materacu. Przez tych parę dni „w terenie” nie odważała się wychodzić: zawsze ktoś by mógł ją na ulicy zobaczyć. To Colin załatwiał sprawunki i kupował dla niej przewodniki, żeby miała z czego ściągać. Kiedyś zrobiła wywiad z kimś, kto miał dwie rodziny nic o sobie nie wiedzące. Zatytułowała ten wywiad „Jadłem dwie Gwiazdkowe kolacje”. W istocie, ów mężczyzna musiał podwójnie spożywać tyle posiłków, że okropnie utył, obie żony się odkochały i uciekły z innymi. Ale ona przy okazji uzyskała garść poufnych informacji o technicznej stronie takiego układu. Te alibi. No, kłamstwa. To obmyślanie całego scenariusza, w który sama na poły uwierzyła, to dobieranie barwnych postaci do obsady. Czuła się jak Trollope czy ktoś tam. Miała Shirley z „Kręgu rodzinnego” i Coral z „Pogawędki” zapadającą raz po raz na migreny. I miała Hamisha Dimchurha. Bóg raczy wiedzieć, skąd wzięła to imię i nazwisko, ale wydawało jej się, że zna go bardzo dobrze. Hamish Dimchurch, wciąż pod gazem stary darmozjad z redakcji „Rozrywka Dzisiaj” wyłaniał się we wszystkich jej opowieściach po prostu dlatego, że Buffy, może rozpoznając w nim pokrewną duszę, zawsze się nim interesował.

- A ten hultaj Hamish też był z wami? - pytał ochoczo.

Coś mokrego spływało Penny po twarzy. Łzy. Pociągnęła nosem i usiadła zdumiona. Przecież ona prawie nigdy nie płacze. Popatrzyła na Colina, nagiego, leżącego na brzuchu, popatrzyła na ten nowy deseń

owłosienia, do którego ledwie zaczynała się przyzwyczajać - gęsty puch na nogach, szlaczek na krzyżu. Colin jeszcze spał. Jej mąż lubi gawędzić, Colin nie rozmawia prawie wcale, co nawet pociągało ją z początku. Buffy jak pies chodzi za nią po mieszkaniu. Opowiada stary . film, który widział w TV po południu. - „Ostrze Brzytwy” z Gene Lerneyem, takie różne głupoty. Uwielbia stare filmy, pamięta nazwiska tamtych wszystkich, tym bardziej że kiedyś nawet z niektórymi pracował. Ach, w żadnym razie nie powinna była wyjść za aktora, wiadomo, że aktorzy są niemożliwi - egocentryczni, dziecinni.

Płakała teraz na dobre, głośno, ochryple szlochając. Wstała i z kubkiem poszła do kuchni po herbatę. Nogi ugiwały się pod nią, tyle tej nocy było miłości, kości biodrowe ją bolały od niewiarygodnie twardego japońskiego materaca. Colin jest za młody, żeby się przejmować czymś takim jak niewygodna. Natomiast Buffy to męczennik swojego kręgosłupa. Kiedy starał się ją uwieść tamtym pierwszym razem, powiedział:

- Po prostu musisz wypróbować mój nowy materac ortopedyczny.

Oderwała kawałek papieru kuchennego z rolki i wytarła nos. Nie ma co się biedzić, jak postąpić i czy Buffy poradzi sobie bez niej. W takich refleksjach czai się obłęd. Ostatecznie ona mu się wymknęła, a on nawet tego nie zauważył. Jakież więc to małżeństwo? Co za przedziwne doznanie - zakochać się w kimś innym. Mdlące nieustannie i klatkę piersiową rozpiera. W domu jest się bezduszną powłoką, poczwarką, z której motyl uleciał. Buffy prawdopodobnie myśli, że wszystko w porządku. Ale gdyby ją szturchnął, ona by się rozpadła.

W sąsiednim pokoju Colin wstał. Pośpiesznie wytarła oczy. Wszedł do kuchni dosyć błędnie i otworzył butelkę piwa. Był spocony, wilgotny. Męskość mu wisiała czerwona i zaogniona. Wydawał się zużyty.

- Dlaczego fotografowie są tać włochaci? - zapytała Penny. - Często się nad tym zastanawiam.

- Hej, iluż to fotografów tak widziałaś?

- Żadnego, już ci mówiłam. Ale oni wszyscy chodzą w kurtkach Paul Smith z rękawami podwiniętymi, więc widać, jakie mają ręce.

Ramieniem objął ją za szyję.

- Chodź, jeszcze pożycz ze mną, bo jak nie, to zademonstruję ci karate.

- Och, co z nami będzie?

Nie odpowiedział. Spojrzała na zegarek - odruch cudzołożnicy.

\*

Dogodne było to, że Colin mieszka w Soho. Pomimo spustoszeń spowodowanych przez odbudowę zostało tam kilka sklepów znanych ze swoich specjalności. Ostatniego dnia podróży Penny wychodziła i kupowała coś niecoś do domu - *kephtede* i *hummus*, jeżeli była w Grecji, solonego sztokfisa w sklepie przy Beaver Street, jeżeli była w Portugalii. Ryzykowała, rzecz jasna, że mógłby ją ktoś zobaczyć wychodząc z Klubu Groucho, ale o takie zakupy nie poprosiłaby Colina - za nic! Już sam romans z nim jest dostatecznie szmirowaty, wysyłanie go po prowiant dla Buffy'ego byłoby w jeszcze gorszym guście.

Więc i w ten czwartek wyszła i kupiła trochę specjałów neapolitańskich - bawolą mozzarellę, *prosciutto* i małe oliwki wyglądające bardzo etnicznie. Wróciła, wpakowała to wszystko do walizki. Potem roztarła na twarzy krem „Zamiast Słońca”, napisała na swoim podręcznym komputerku wrażenia z Włoch. To nie budziło w niej poczucia winy. Kogo obchodzi, czy była we Włoszech rzeczywiście? Większość dziennikarzy wysyłanych w teren spędza prawie cały czas w barze hotelowym, a materiały odpisuje w samolocie powrotnym. Zresztą ten jej reportaż prawdopodobnie skrócą do trzystu słów albo w ogóle zdejną, jeżeli w ostatniej chwili nadarzy się reklama. Właśnie tę część operacji przeprowadzała tylko z przyjemnie kłującym uczuciem, że jest trochę niepraworządna, jak przy wrzucaniu obcego bilonu do automatu na parkingu. Nic poza tym.

Zatrzasnęła cicho pokrywę „fósha”. Była już w kostiumie podróznym, całkowicie gotowa. W drugim pokoju Colin oglądał TY. Z telewizora dolatywały jakieś reklamowe brednie, a potem nagle huknął głos Buffy'ego:

*- Ściereczki Bailey'a do podcierania niemowląt, najwyższa wchłanialność, przyjemność dla małych pupek.*

- Wyłącz! - wrzasnęła.

Staszczyła swój bagaż po schodach. Colin pocałował ją pożegnalnie w sieni. Musnęła nosem złote kółko w płatkach jego ucha.

- No, Pen - powiedział - zdecyduj się.

- Ale jak on sobie da radę beze mnie? Byłby zgubiony.

- Nie słuchaj tego, co plecie o swojej bezradności. To bezlitosny stary drań. Przetrwa.

Przytuliła się do Colina. Nadal się zdumiewała obejmując mężczyznę tak smukłego. Miała czterdzieści sześć lat. Czyż nie jest modnie, pomyślała, w moim wieku mieć chłopca do zabawy? Nieraz pisała o tym. Z drugiej jednak strony wiele razy pisała o plusach starszego mężczyzny. Colin przesunął wargami po jej twarzy.

- Nie - zaprotestowała. - Opalenizna zejdzie.

Wkrótce potem siedziała w taksówce pełzającej przez Regent Street. W jakim momencie romans na boku zmienia się w porzucenie męża? To przecież dwie różne sprawy. Dotychczas sobie tego nie uświadamiała. To jak stosunek seksualny i poród. Pierwsze może prowadzić do drugiego, ale czy koniecznie? Perspektywa przejścia na ten drugi etap przestraszyła ją, jakby miał to być krok z otwartego okna w powietrze. Czy rzeczywiście mogą sprawić, że tak się stanie? Czy się odważy?

Stało się tak niezależnie od niej. I wcześniej niż myślała.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

---

Blomfield Mansions nie roiło się od byłych mężów. Przed laty Buffy powiedział Penny, że pełno tam samotnych mężczyzn, ale tylko, żeby ją rozczulić. Naprawdę lokatorzy Blomfield Mansions, brudnej edwardiańskiej kamienicy, stanowili zwykłą w tej części Londynu mieszkankę: Arabowie - chociaż nie bezsprzecznie majątni, bo tacy nie chcieliby tam mieszkać - ich żony, które w windzie rozgniecione przy Buffym ukrywały przed nim twarze, i ich dzieci, które gapiły się na niego z nie ukrywanym zainteresowaniem. Stare małżeństwa, zasiedziałe od niepamiętnych czasów. Lekarz o bladej twarzy i nazwisku Lewarek, zdaniem Buffy'ego, na pewno aborcjonista. Łagodni, sympatyczni Amerykanie, którzy nigdy nie pozostawali długo. I sporo kobiet wolnego stanu - panny i wdowy w wieku na ogół nieokreślonym, pracujące na jakichś nieefektywnych posadach, prawdopodobnie biurowych. Buffy mieszkał w tej kamienicy już dziesięć lat, więc prawie wszystkich w niej znał. Ponadto był głośno aktywnym członkiem Komitetu Mieszkańców. Wiedział, że to świadczy niezbyt dobrze o braku czegoś lepszego do roboty, ale bawiły go zażarte walki na zebraniach.

Zawsze wrogo odnosiła się do niego tylko niejaka pani Zamiski, podstarzała Węgierka, sąsiadka z mieszkania obok. Od wielu lat staczała wojnę z jego psem, jedną z tych hucznych kampanii tak zadawnionych, że już nikt, podobnie jak wydarzeń w Namibii, właściwie ich nie dostrzega. Jej frontowe okna wychodziły na tak zwany ogródek przy ulicy. Ogródek składał się z łysawego wąskiego trawnika i kępy krzaków pokrytych kurzem. Kilka razy dziennie Buffy wyprowadzał George'a i właśnie w tych krzakach pies się załatwiał - czy też, jak wyjaśniało piskliwie dziecko Amerykanów - „chodził do łazienki”. Pani Zamiski, chyba nieustannie czuwając za swymi schludnymi firankami, doskonale wyliczała w czasie, kiedy George przysiadzie, i w tej samej sekundzie otwierała okno na oścież.

- Świntuch! Panie portierze!

Aż w końcu Buffy znalazł pomysłowe rozwiązanie. Przekradał się z George'em tuż pod ścianą przy samym skraju trawnika, gdzie nie było ich widać z okien pani Zamiski, i raptownie dawał susa w głąb krzaków, gdzie nie było ich widać już znikąd.

Szkoda, doprawdy, że nie mógł George'a spuszczać ze smyczy i tym samym wolny od odpowiedzialności, kiedy pies robi, co chce, iść dalej jakby nigdy nic. Ale George na starość stał się nieobliczalny. Rozleniwiony nie mniej - a nawet bardziej, jeżeli to możliwe - niż jego pan raczej nie lubił się ruszać i nieraz na ulicy trzeba go było ciągnąć w pozycji siedzącej. Ostatnio jednak dostawał ni stąd ni zowąd ataków wściekłości. Szczekał szaleńczo i rzucał się na osoby, które bezwiednie czymś go raziły, zwykle na rowerzystów - widząc, jak pedałuja sobie przyjemnie i ekologicznie, wpadał w paroksyzm furii. Ale też atakował czasami kogoś, kto normalnie szedł po chodniku - sytuacja tym drastyczniejsza, że przeważnie ów ktoś był czarny.

- On się zmienia w najstraszniejszego faszystę - orzekła Penny. - Z kolei zabierze się do homoseksualistów. - Od pierwszego wejrzenia nie cierpiała George'a.

W to szczególne popołudnie Buffy wyszedł z mieszkania, żeby kupić „Evening Standard”. To należało do jego rytuału. Nie przepadał za tą gazetą, ale z drugiej strony nie zdobyłby się na nieczytanie jej, bo a nuż coś by go ominęło. Podobnie zresztą podchodził do wielu innych spraw.

Już nie mógł się doczekać powrotu Penny. Miała wrócić lada chwila; zawsze z lotniska przyjeżdżała taksówką. Obiecała przywieźć jakiś specjal na kolację. Uwielbiał kuchnię włoską.

Windą zjeżdżał z nieznanym biznesmenem, być może Libańczykiem. George warczał na tego faceta. Pachniało mocno wodą po goleniu, kiedy bez słowa sunęli pospołu w dół. Któż wie - rozważał Buffy - czy któraś z lokatorek biuralistek nie jest w rzeczywistości ekskluzywną dziewczyną na telefon. W tej windzie często się spotyka obcych mężczyzn, którzy nigdy nie mówią „dzień dobry” czy „dobry wieczór”, a panna Bervis dwa piętra wyżej chodzi na niebotycznych szpilkach. Tak czy owak, to była zabawna myśl.



Więc Buffy, uśmiechnięty, wynurzył się w blask słońca. Był jeden z tych bardzo słonecznych dni czerwcowych, w jakie nawet Edgware Road wygląda malowniczo. Przejeżdżały autobusy migotliwie czerwone. Niania pchała wózek z niemowlęciem, nad wózkiem unosił się srebrzysty balonik. Przechodnie jaśnieli niewinnością prosto z miasteczek rodzinnych niczym statyści w filmach Franka Capry. Buffy jeszcze bardziej poweselał. Przypomniały mu się dawne czasy, kiedy po zdjęciach, mrużąc oczy, wychodził z Sali Kolonialnej w sam środek zawrotnie powszedniego popołudnia.

Boczkiem przekradł się pod ścianę kamienicy i pociągnął George'a w krzaki. Akurat wtedy podjechała taksówka, której nie usłyszał w hałasie na jezdni. Penny wysiadła i zaczęła wyładowywać bagaż.

Jednocześnie z drzwi frontowych wyszedł goniec w rowerowych szortach pobudzająco połyskliwych. Trajkocząc do swojego walkie-talkie, wsiadł na rower i prędko odjechał.

Smycz z szarpnięciem wysunęła się z ręki Buffy'ego. Pies wyskoczył spośród krzaków i, szczekając ochryple, popędził za rowerzystą. Penny go zobaczyła.

- George! - zawołała i pobiegła za nim.

Buffy wyszedł na chodnik i patrzył. W końcu Penny zawsze łapała George'a; biegała o wiele szybciej niż on.

Po chwili podszedł do jej taksówki, bo zobaczył, że kierowca czeka z pulsującym silnikiem. Później wspominał, jak przy tym myślał znów o dawnych czasach Sali Kolonialnej, kiedy to taksówkarz sam by wyładował te cholerne walizki Penny i w dodatku prawdopodobnie pomógłby jej złapać psa. Wspominał również, jak usiłował sobie przypomnieć, czy zmywał naczynia w tych dniach jej nieobecności i czy odebrał zgodnie z poleceniem jej rzeczy z pralni chemicznej. To właśnie go zaprzętało, zanim zapytał kierowcę:

- Zapłaciła za kurs?

Kierowca potrząsnął głową. Penny zniknęła za rogiem ulicy, więc on wyjął portfel - ostatecznie będzie mogła mu to zwrócić z pieniędzy na koszty. Wyłuskał dwa banknoty dwudziestofuntowe.

- Jaki haracz? - zapytał.

Kierowca przytknął swego papierosa za okno i wskazał licznik:

- Trzy pięćdziesiąt - powiedział.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

---

Jesień w Londynie. Wiatr otrząsał liście z drzew i ciskał je do ścieków. W parkach czarne worki plastikowe, napełnione wyglądały tak, jakby ktoś je rzucił z przestworzy. Maklerów w City - nawet maklerów - zniemacka opadał refleksyjny smutek, którego nie mieli czasu zdefiniować. Restauratorzy wciągali do sal stoliki wystawione na chodnik. Personel u Selfridge'a omawiał swoje plany bożonarodzeniowe zupełnie tak, jakby to nie był temat dokładnie omawiany już od wiosny. Jaskółki odleciały i pewnej nocy zakradł się pierwszy mróz. Ludzie, siedząc w samochodach, rozgrzewali silniki. Kobiety szukały rękawiczek do pary.

Celeste, sierota bez matki, przeniosła się do Londynu w październiku. Wynajęła mieszkanie przy Kilburn Hugh Road, dwupokojowe nad sklepem rzeczy z drugiej ręki prowadzonym na cele zdrowia psychicznego. Usiłowała trzymać się pewnie, ale och! ten hałas, te spaliny, tłok i ścisk! Te wiercenia wszędzie, to tryskanie gruzu! Autobusy z rykiem mijały jej okna, pod podłogą kolej podziemna na Linii Jubileuszowej dudniła, aż rośliny w doniczkach się trzęsły. Na ulicach przechodnie wpadali na nią; zadzierali głowy, wychylali do dna puszki pepsi; napychali policzki garściami chrupek. Miasto ją osaczało. Troskliwie wychowywana na zaspanej prowincji, nie przywykła do czegoś takiego - Londyn był dla niej widoków

kami i „Monopolem”. Gdzie jest Vine Street ze swoim czerwonym dużym hotelem? Gzuła się tak, jakby Zgubiła wszystko i sama była zgubiona. Wychodząc rano z domu, musiała szybko spojrzeć po sobie, by sprawdzić, czy się ubrała.

Celeste zawsze była chucherkiem, teraz sprawiała wrażenie przezroczywej. Wstrząs to spowodował. Nie tamten pierwszy po śmierci matki, bo jakkolwiek dosyć zdezorientowana, przecież miała w swojej żałobie towarzystwo. Do pewnego stopnia. Żałoba izoluje: nikt nie może osiągnąć osoby nią okrytej, która na swym szczególnym wygnaniu musi przetrwać swoją rozpacz samotnie. Ale przynajmniej inni ludzie bywają w żałobie: potrafią to wygnanie opisać tak, że niektóre aspekty są dobrze znane. Natomiast ten następny wstrząs to inna sprawa, wobec której stanęła zupełnie sama. O zawartości koperty nie powiedziała nikomu: niech to będzie sekret, samodzielnie przeniosła się do wielkiego miasta, zaczęła nowe życie, wprawiona w jakiś wir w słonecznym październikowym powietrzu, zatracająca się w przestrzeni.

Wiedziała jednak, dokąd chodzić i często tam chodziła. Te ulice ją ogłuszały - jak ludzie mogą to znosić? Domy z obu stron ogołacano i remontowano. W Melton Mowbray wszystko było niezmiennie, myślała, a tutaj rozbiórka życia. Patrzyła, jak pokoje się rozpadają od samego pogwizdywania robotników, jak z pustych okien niczym z nozdrzy smoków bucha dym. W podskokach dyndały spuszczone z górnych pięter kubły, całe kubłociągi wyglądające jak trąby słoń. Kiedy je mijała, wymiotowały okropnie szczękając, wypruwały kurz. Ale chyba tylko ona to widziała. Przechodziła obok piekarni: ciastka pękały, krem na nich był jak piana na ustach. Wzdrygała się na każdy widok, wprost obolała. Jezdnię zatykał ruch samochodów. Że też może ich być aż tyle? I ten nawał nigdy się nie kończy - jak szarfy, które magik wyciąga z kieszeni. Nawet rowerzyści ją niepokoiли. W swoich maskach gazowych wjeżdżali na chodnik, zjeżdżali z chodnika, łypali spode łba.

Szła tam i zatrzymywała się na jakiś czas tylko, mówiąc sobie, że przyszła w to właśnie miejsce. Ukrywała się na przystanku autobusowym

pod, daszkciem z drugiej strony ulicy. Wlepiała wzrok w okna tego budynku. Które to okna? Wkrótce się dowie. Znajdzie jakiś sposób.

Wracała o zmierzchu przez Kilburn High Road, ulicę obuwia. Ileż tych sklepów obuwniczych Saxone, Dolcis. Przed sklepami drążki, druciane kosze pełne pantofli damskich takich, jakie nosiła jej matka. WYPRZEDAŻ! Rzędy pojedynczych pantofli jeszcze nie rozepchanych haluxami. Stawała usiłując się rozplakać, ale była już poza płaczem. Najlepszej Mamusi na Świecie! - tak pisała kiedyś i malowała dla mamy laurki urodzinowe, wiele godzin to zabierało. Przypominała sobie, jak trzymała mamę za rękę, ciężar dużej dłoni w jej dłoni. Dorośli byli niepojęci, ale myślało się, że można na nich polegać. Przejmowali się głupstwami, ale właśnie tacy mieli być. Wtedy czuło się swoją wyższość. Dorośli nigdy nie wiedzą, że dzieci czują się mądrzejsze od nich, i to często.

Celeste wracała do swego mieszkania jakaś bardzo nużąco stara, a zarazem dziecinna i osierocona. Gdzieś pośrodku powinna być sobą, dziewczyną, która dopiero co przyjechała do Londynu, szuka posady, przynosi do domu paszteciki na kolację. Krok po kroku trzeba się nauczyć być tą dziewczyną. I trzeba się nauczyć kłamać.

Na dole przy dzwonekach domofonu zobaczyła kartkę: „Waxie, jestem u Lynns”. Kto to jest Waxie? Jeszcze nie znała nikogo z lokatorów, tylko słyszała ich łoskoty i stłumioną muzykę. Dom naprzeciwko z kratami w oknach i tabliczką „Pewność i zaufanie” zawsze wydawał się zamknięty, ale dzisiaj przed otwartymi drzwiami paru mężczyzn wyładowywało tekturowe pudła. O co ludziom w ogóle chodzi? Klucz do tego wszystkiego został jej zabrany. Sprawił to jeden list w puszcze po herbatnikach.

Celeste weszła na górę i wyładowała swoje zakupy. Głowa ją bolała, wnętrzności zdawały się puchnąć, dziwnie rozgrzane. Ale to nie był początek grypy. To był gniew.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

- *Proszę pani, chcę kupić szampon i odżywkę.*

- *Zaczekaj* - Archie pogmerał przy regulacji dźwięku. - *Dobrze, jeszcze raz od góry. Trochę głośniej.*

- *Proszę pani*- huknął Buffy - *chcę kupić szampon i odżywkę.*

Archie przewinał taśmę: *Ekwyždoinopmazsćipukęch, prrlep, prrlep - postuchał i skinął głową.*

- *Dalej.*

- *Do pełna, proszę, najwyższa jakość* - powiedział Buffy do mikrofonu. - *Proszę o stolik tam, skąd widać ręce pianisty.*

- *Trochę bardziej z uczuciem ręce* - powiedział Archie.

- *A cóż to ma być, cholerna stara Victrola?*

W małej kabinie było duszno. Powietrze gęstniało od dymu z cygara Archie'ego. Wielojęzyczne bazgroły na ścianach miały charakter prawdopodobnie sprośny, jeśli nie nostalgiczny.

- *To wino trąci korkiem* - powiedział Buffy. - *Proszę je zabrać z powrotem do piwnicy.*

Katedra języka angielskiego pod wezwaniem Świętego Reginalda mieściła się nad jednym z salonów masażu w Balham. Archie prowadził ją z pomocą dwojga wyglądających niezdrowo byłych nauczycieli, którzy chyba wylecieli ze szkolnictwa za pedofilię. Na herb wytłoczony nad drzwiami nie nabierał się nikt oprócz cudzoziemców. Archie skopiował ten herb ze słoika marmolady. A Reginald było na imię jego wujowi.

- *Pierwszy raz jestem w tym mieście. Proszę mi wskazać drogę do najbliższej firmy budowlanej.* 38

Nagrywali specjalny zestaw dla Wschodnioeuropejczyków, niedawno wypuszczonego narybku do zasilenia uczelni Archie'ego. Archie nazywał ich „Gruz Złotodajny”, odkąd zobaczył w kronice filmowej jak forsowali Mur Berliński, gramoląc się nie po wolność, tylko po to, by się zapisać na

jego kursy. Swoje kasety, prawdziwy w jego mniemaniu lep na pieniądze - bo pomyśl, jakie otwierają się rynki - zaprawiał przedsiębiorczym kapitalizmem.

- *Czy mogę za to urządzenie zapłacić gotówką?* - zapytał Buffy krztusząc się dymem. - Na litość boską, wyrzuć to cygaro! - Zezem spod przymrużonych powiek spojrział na skrypt i znów pochylił się do mikrofonu. - *Czy na ten telefon komórkowy jest gwarancja?*

Co ja tu robię? - zastanowił się. Na takie już spadam dno? Ja, który jak Tereczasz widziałem wszystko, teraz, uwiązany w tej dusznej budzie w Balham, uczę zgrać Litwinów zamawiać akcje British Telecom? Krzesło było twarde, siedzenie go bolało. Nic dziwnego, że hemoroidy znów dają o sobie znać.

- *Proszę pani, chcę kupić czopki.*

- Co? - Archie zezem spod przymrużonych powiek spojrział przez dym na niego.

Robię to dla pieniędzy, oczywiście, dumął Buffy. Honorarium jest naprawdę przyzwoite. Archie najwidoczniej nabiera rozmachu również i z tą szkołą poza tym, że zapala - jak sformułował radośnie - swój knot w pewnej niezłej komunistycznej lampce. Postkomunistycznej. No, ale Archie zawsze był po trosze niebieskim ptakiem.

Poznali się, odbywając służbę wojskową w jednym z obozów bazy arktycznej niedaleko Kettering. Nawet wtedy Archie coś motał, brał udział w jakimś złożonym manewrowaniu z benzyną i hurtowym zamówieniem na pieczony bób. Niegłupi, miał konszachty z podchorążym Pickeringiem, kluczową postacią w tamtym okresie i odskoczną do supermachinacji. Buffy przeżywał dwa lata służby znudzony, zziębnięty i pełen obrzydzenia. Starał się być możliwie jak najmniej widoczny, słuchał na swoim piętrowym łóżku płyt Fatsa Wallera i wymyślał się w nocy na randki z dziewczynami z miejscowej przetwórni kurczaków. Pomimo swego wykształcenia odebranego w szkole publicznej nie wzniósł się ponad stopień sierżanta, co należy odnotować z uznaniem dla zdrowego rozsądku dowództwa. A tymczasem, kiedy on obumierał, Archie rozkwitał, aż wyszedł z wojska jako

w pełni opierzony przedsiębiorca. Najpierw zajął się naprawą lodówek, potem prowadził salon bilardu i zaczął działać w przemyśle rozrywkowym.

- Natrafiłem na kopalnię - powiedział. - Geneza parków tematycznych to, Bóg mi świadkiem, zasługa twojego niżej podpisanego.

Buffy nie widział go od wielu lat. Przypadkiem spotkali się niedawno na Charing Cross Road, gdzie Buffy szperał w sklepie z używanymi książkami - jeszcze jeden objaw, który świadczy o nadmiarze wolnego czasu, tak niepodważalny jak znajomość imion wszystkich kelnerek w miejscowej cukierni.

- Jest już cała - oznajmił Archie z akcentem irytująco amerykańskim i wyłączył mikrofon.

Przeszli do trędownego małego biura. Na ścianie wisiał oprawiony w ramę dyplom, na którym poniżej ARCHIBALD BINGHAM lśnił zaschnięty klej. Archie podrapał się po okolicach rozporka, zakaszłał i otworzył z klucza szufladę. Wyciągnął z niej zwitek brudnych banknotów. Odliczając banknoty jeden po drugim, zapytał:

- Wiesz, jak powiedzieć po japońsku „jesteś ogniem namiętności, mała”?

- Nie wiem - odpowiedział Buffy. Wziął te pieniądze. - Czy nie powinno być jeszcze dziesięć?

- Moja pomyłka. - Archie znów otworzył szufladę i podał mu brakujący banknot.

Była pora obiadowa. Buffy już nie miał żony, która by czekała na niego w domu. Odruchowo zaprosił Archie'ego do knajpy. Taki odruch nawet wobec Archie'ego - przesmutna jednak była naga prawda, że ostatnio wobec ludzi coraz bardziej nieprawdopodobnych. Ale Archie potrząsnął głową. Wstrzyknął sobie do ust jakiś odświeżacz oddechu.

- Umówiłem się z jedną obiecującą Czeszczką. - Wyszczrzył w uśmiechu zęby. - Dobrze to rozegram i raz dwa będzie Czechmat.

Fala żalości ogarnęła Buffy'ego. To, że nie wolno mu się przyłączyć do owego *en deux*, wcale go nie uraziło, żalność budził sam fakt desperacji popychającej go do szukania kompana w Archie. Rozwiodłeś się i natychmiast twoje kryteria spadają pionowo. Dzwonisz do znajomych,



których od lat nie widziałeś; wytrzymujesz całe wieczory ze swoim księgowym i jego żoną, popijając mikroskopijne szkockie i oglądając safari w Kenii na ich wideo. Przesiadujesz w pubie godzinami, kiedy ktoś obcy ci opowiada o zdumiewających osiągnięciach kreślarstwa komputerowego. To zupełnie tak, jakby nagle zabrakło pieniędzy, więc trzeba znów się odżywiać makaronem z puszki. Wszystko, byleby tylko odwlec powrót do nie oświetlonego mieszkania.

Pojechał na swoją Edgware Road autobusem. Siedzący za nim nietrzeźwy Irlandczyk śpiewał „Kochanaty kochanaty” przez całą drogę do dworca Victoria, aż ten refren stracił wszelkie znaczenie - jeżeli w ogóle je miał. On jednak nie znalazł w sobie energii, żeby faceta uciszyć. *Teraz zniknęły wszystkie czasy moje, teraz o własnych tylko siłach stoję..<sup>1</sup>*) Prospero. Dojrzałość predestynuje go do tej roli. Boże, te bogate zasoby doświadczenia. No, już dojechał na ten przystanek autobusowej jazdy przez życie. Czy nikt tego w nim nie widzi? Jego przeszłość powinna mu przydawać prestiżu, cóż kiedy obecni producenci, o połowę młodszy od niego, piją wodę mineralną i spodziewają się telefonów od swoich dzieci.

Wszyscy jego starzy kumple, prawdziwe indywidualności, odeszli: umarli na marskość wątroby albo dożywają emerytury w domkach na francuskiej wsi. A te nowe kadry są nijakie, bez aromatu, bez patyny. Nawet teraz, u szczytu, BBC nie skłaniają się do rozhulania, wszystko w nich ma pewien styl, mężczyźni tacy jakby poza pracą nie mieli żadnego życia, kobiety, producentki, chyba wszystkie imieniem Muriel, są burkliwe, zuchwałe, zbudowane jak perszerony, piją bez wrażenia, kiedy człowiek już pada na stół, i wiedzą kto nazajutrz rano będzie chrapał spokojnie na swojej podłodze przy nie zgaszonym ogniu gazowym w kominku.

Buffy wysiadł z autobusu w Maida Vale. Wiatr smagał go po twarzy; był listopad i mróz. Dlaczego listopad<sup>41</sup> zawsze wydaje się zimniejszy niż każdy inny miesiąc? Właśnie odholowywano zaparkowany w niedozwolonym miejscu samochód - *liii liii liu* biadał alarm. Cóż za upokarzający poranek.

---

<sup>1</sup> 1 W. Szekspir. *Burza*. Przekł. L. Ulrich.

Buffy usiłował podnieść się na duchu. Przynajmniej nie czekają go klaksony uciechy Penny. „Naprawdę, Buffy?! Jak mogłeś?!” Bezsprzecznie szkoda, że jej tam nie ma, bo nie będzie słuchała o jego wyczynach w szkole języka angielskiego, na kanwie których już by opracował anegdotę. Z drugiej jednak strony dobrze, że jej tam nie ma, bo nie będzie okazywała swojej wyższości nad nim. Jej największą sztuką, najstraszliwiej oszałamiającą było zachowywanie wyższości nawet wtedy, gdy się wykryło, że go oszukiwała. Od miesiący. On, Russell Buffery, niczym nie zawinił, a ona kłamała, szachrowała, pakowała się i rozpakowywała, przez cały ten czas bez opamiętania nieprzytomnie się kudłaczyła z jakimś nieletnim fotografem w Soho. A jednak potrafiła się jeszcze stawiać. To po prostu zapierało dech.

Myśląc o tamtych końcowych, pełnych eksplozji tygodniach, Buffy nie mógł sobie przypomnieć, jaką sztuczkę, prawdopodobnie magiczną, Penny zastosowała. Ale przerażająco, po kobiecemu wywołała w nim poczucie winy. Nagle to wyłącznie on był winowajcą.

- Twój infantylny egocentryzm, twoje pijaństwo... twoja hipochondria... i mało tego. - Wszystkie jego eks-żony tak mówiły. *Mało tego*. - Ty nigdy nie pomagałeś przy dzieciach, nigdy nie pomagałeś zmywać... nigdy nie byłeś dla mnie podporą w mojej pracy... i mało tego... strząsasz popiół na kołdrę... Zaśmiewasz się z własnych dowcipów... na tym przyjęciu u Robinsonów, pamiętasz, zasnąłeś, głowa ci opadła w zupe, w zupe, pamiętasz, jeszcze przed głównym daniem, omal się nie spaliłam ze wstydu...

Śnieżyca tych „mało tego”, zasłona dymna.

Przypomniał sobie tamten szyderczo słoneczny dzień sprzed trzech miesięcy. Jak pociągnął rozgrzowaną ręką suwak jej walizki.

- Przecież ci mówię, przesiadłam się do innej taksówki! - krzyczała ona.  
- Bo w tej z lotniska kierowca bez przerwy wymyślał na Murzynów i że do czego to dochodzi, wprost nie mogłam zdzierżyć. Rasizm jest wstrętny w ogóle, a cóż dopiero kiedy przy słuchaniu rasistów licznik bije. Więc się przesiadłam do innej taksówki!

To przeświadczenie o własnej prawości! Prawie się nie zająknęła, kiedy wyjął z walizki flakon „Zamiast Słońca”.

- To na nogi. Zawsze najdłużej brązowieją, ty byś o c z y w i ś c i e tego nie zauważyła!

No właśnie! Potrafiła na niego zwalić winę nawet wtedy.

- Gdzie twój bilet? - zapytał. - Gdzie twoje liry?

- Złotko, nie bądź takim paranoikiem. Ciśnienie ci się podniesie...

Urwała. Bo wyciągnął z walizki gazetę - „La Stampa”. Był adres na nalepce: Wardour St. W. 1.

- O rany - powiedziała.

\*

Buffy zatrzymał się przed swoją kamienicą i spojrzał na portyk. Dwa kamienne amorki splatały ręce nad drzwiami. Były opasłe i powalane sadzą, jednemu genitalia się odkruszyły. Wiedział, co one myślą. Przed laty z jakimież nadziejami przeniósł tu Penny przez próg - no nie tyle przeniósł, co ze względu na swój krzyż poderwał ją lekko na gumowej wycieraczce. Te amorki kpią z niego teraz! O Boże, roztkliwia się jak pijany, a przecież ani trochę nie wypił.

Wszedł do mieszkania, potykając się najpierw o psa, a potem

o plastikową torbę pełną wyrzuconych opakowań. Nie wiadomo skąd załatywały dziwne wonie. Chociaż szybko przyzwyczajał się do miejsc swego pobytu, za każdym razem<sup>43</sup> kiedy wracał, coś go w nich uderzało. Automatyczna sekretarka pokazywała „1”. Bez przekonania wyobraził sobie przelotnie, że Penny łka na drugim końcu linii i błaga, żeby przebaczył

1 przyjął ją z powrotem. Z całą przekorą przyznaje, że wyjątkowo to był jej błąd, przysięga, że będzie kochała go zawsze.

Odebrał wiadomość.

- Tu Granada TY. Zechce pan zatelefonować do Gwendy. Sprawa pilna.

Granada TV! Ucieszył się. Nakręcił ten numer. Pewnie to jakaś rola - ojcowski lekarz rodziny, powiedzmy, czy charyzmatyczny, uwielbiany przez ludność swojego okręgu członek parlamentu. Już czas pokazać się znowu w telewizji. Czy może będą kręcić większy dramat kostiumowy, serial może dziejący się na Karaibach! I widzą mnie w roli plantatora, który ma młodą kochankę mulatkę, zakochaną w nim do szaleństwa.

Kiedy Gwenda się odezwała, już obmyślał przemówienie, jakie wygłosi po otrzymaniu nagrody BAFTA.

- Pan Buffery? Chciałam tylko panu o nas przypomnieć - powiedziała Gwenda. - W zeszłym miesiącu nie wpłynęła od pana opłata za wynajmowanie magnetowidu. Wpadnie pan tutaj czy wyśle czek pocztą?

Taki to był dzień. No, rok. Buffy ponuro wziął George'a na smycz i wyszedł. Wstąpił do „Trzech Grajków”. Hemoroidy mu dokuczały, więc nie usiadł, wypił piwo przy barze. Stojąc obciążał nogi i odciski mu pulsowały, ale wolał stać niż siedzieć. Paluchy miał zabezpieczone watą i plasterkami, chociaż i tak uwierały go espadrille, te kapcie mężczyzny myślącego.

Żadna z jego eks-żon nie pojmowała prostej prawdy, że on nie chce być hipochondrykiem - nikt nie chce - tylko tak się składa, że los mu nie szczędzi dolegliwości wprawdzie nie zagrażających śmiercią, na ogół jednak dosyć żenujących. Takich cholernych schorzeń nikt przecież sam nie wyszukuje! On ich sobie nie życzy! Rozgoryczony, wspominał chichoty Penny, kiedy po raz pierwszy otworzyła szafkę w jego łazience.

- Na co to wszystko? Nie, nie mów mi!

Krzepka i rześka Penny niecierpliwiła się napotykać jakąkolwiek słabość, i to coraz bardziej w miarę jak ich małżeństwo progresowało. Erotyczne nacieranie pleców stało się energiczne, potem szorstkie, aż ustało.

- Prawda, kochanie, że niewiele ci to pomaga? Może zacznij znów chodzić do tego swojego zabawnego kręgarza?

Kiedy był obłożnie chory, zbliżająca się taca z kolacją grzechotała oskarżycielsko i stawiana łoskotała: „Jeszcze w łóżku?”. Ponadto Penny zapominała o mięcie pieprzowej.

Szkoda, że sama nie chorowała częściej. Buffy cudownie odnosił się do chorych kobiet. Jak wielu tak zwanych hipochondryków, interesował się cudzymi objawami nie mniej niż własnymi. Rzeczywiście chwile jego największej czułości w małżeństwie z Jacquetą przypadały co miesiąc, kiedy ona bardzo boleśnie przechodziła okres. Miewała też migreny, dopust Boży, który Penny zbywała płocho jako zdenerwowanie.

- Ojej - wydziwiała - nie licha z was była para zdechlaków.

Bo wówczas, dawno temu, jeszcze przejmowała się jego przeszłością na tyle, że była zazdrosna.

Zrobiło się późno. „U Trzech Grajków” pusto poza Buffym, gorzkim posmakiem jego poszczególnych małżeństw i dwiema damulkami, Uną i Kitty, które zawsze załapywały miejsce przy ogniu. Obie mówiły basem i miały cerę jak sprasowane mięso, cerę prawdziwych opojów. Buffy lubił je, chociaż patrząc na ich zniszczone twarze zawsze czuł się nieswojo - czy on już tak wygląda, czy będzie wyglądał wkrótce? Ale dzisiaj nie znajdował w sobie chęci do jakichkolwiek pogawędek, nawet takich minimalnych i niefrasobliwych, jakie prowadził z tymi dwiema.

Poszedł z George'em dalej. Na chwilę wstąpił do zadymionego piekła Totalizatora, żeby się dowiedzieć, czy jego koń

„Gene Bay” wygrał. Nie wygrał.

\*

Potem, w następnych miesiącach usiłował sobie przypomnieć swój stan ducha w tamto piątkowe popołudnie. Był wtedy zgorzkniały i posepny, och, tak. I zagubiony jak gdyby w przestrzeni kosmicznej. Jego towarzystwem wzgardził Archie Bingham, czyż można upaść niżej? Jego eks-żony żyją z innymi mężczyznami zgodniej niż kiedykolwiek żyły z nim i wcale tego przed nim nie kryją. Jego dzieci dorastają pozbawione dobrodziejstw jego pogodnej obecności i dalekosiężnych tchnień doświadczenia. Czy żadne z nich nie zdaje sobie sprawy, co traci? Omal się nie przewrócił, bo ten

idiotyczny chodnik znowu rozkopano. Tym razem to miało coś wspólnego z British Telecom. W zięjącej jamie wisiała płatanina zasupłanych drutów. Otwórzcie tak człowieka, a zobaczycie w nim takie właśnie kłębowisko! Rozwód to sprawia. Chyba lepiej nie podnosić ludzkiej pokrywy. Ale kobiety zawsze gmerały w jego wnętrzu. I mówiły przy tym niecierpliwie: eee!, zupełnie jak ci robotnicy, potrząsając głowami z ubolewaniem, psykając przez zaciśnięte zęby, i od czasu do czasu chichotały histerycznie. Co w nim jest tak cholernie śmiesznego?

Snując refleksje o kobietach ogólnie i o życiu jako takim, zatrzymał się przed składem aptecznym. Był tu, oczywiście, klientem stałym i cenionym. Podobnie jak w winiarni Victoria naprzeciwno. Czasem nawet się zastanawiał, co by to było, gdyby kiedyś wyprowadził się z Edgware Road; czy ten skład apteczny i ta winiarnia mogłyby istnieć dalej?

Wszedł: piiiing! Ciepłe powietrze owiało mu twarz, wonność napełniła nozdrza. Przystanął na progu. Ogarnęło go jakieś tajemnicze rozanielenie. Już? Jeszcze zanim ją zobaczył? Tak.

Czy może po prostu jest szablonowym romantykiem, beznadziejnym starym idiotą?

Ale czuł to - ciepło w sercu, szczęście. Przeszedł przez sklep mijając półkę z kwiecistymi kosmetyczkami i kartonikami iskrzących się spinek do włosów. Pana Singha, aptekarza, chyba nie było, znajoma ekspedientka rozmawiała z klientką.

- I jest kłująca szczoteczka - mówiła. - To zamyka pory.

I nagle usłyszał:

- Co dla pana?

Odwrócił się. Młoda dziewczyna wyłoniła się zza lady. Przedtem klęczała na podłodze układając jakieś rzeczy, dlatego jej nie widział.

- Dzień dobry. - Zabrzmiało mu to niedorzecznie za głośno. Wiedział, że się rumieni. W jego wieku! - Pani tu nowa - powiedział głupio, żeby tylko coś powiedzieć.

Potwierdziła. Była czarująca. W całej pełni, dosłownie czarująca. Smukła, piękna, nieśmiała, otoczona nimbem, można by rzec, niewinności. Twarzyczka nad zwyczajnym różowym kitem delikatna jak podświetlony

alabaster. Klarowne piwne oczy, spiczasty podbródek, szyja wprost łabędzia. Boże mój, dziewczyna jak młode drzewko, srebrzysta brzoźka, jak żywy żonkil wśród ordynarnych kwiatów z plastiku. Ją mam poprosić o paczkę czopków?

- Hmm, czy jest pan Singh?

- Przed chwilą wyszedł na pocztę.

Czyż mógłby z tą promienną istotą poruszyć sprawę swoich hemoroidów? Z tamtą ekspedientką by mógł, ale tamta była nadal zajęta. Odwieczny syndrom prezerwatyw - no, ilekroć się chce kupić coś dyskretnie, trafia się akurat na tę najładniejszą w sklepie. Gdyby tak zażądać czegoś imponującego, specjalnych tabletek, powiedzmy, które mają pohamować niewiarygodnie potężną energię seksualną...

- Czopki anusol poproszę - powiedział Buffy. - Och, jakim tłumokiem niedoskonałości jest człowiek.

- Anusol? Na co to?

- Na hemoroidy. Wstydliva sprawa, wiem.

- Nie szkodzi. Nie powiem nikomu. - Uśmiechnęła się. - Gdzie to jest?

- Hmm... - Po chwili jednak odpowiedział: - W zwykłym miejscu.

- Nie. Ja pytam, czy pan wie, gdzie je trzymają. Te czopki.

- Acha. Tam. - Wskazał półkę za jej plecami. Sięgnęła. Pod osuwającym się rękawem zobaczył smukłe przedramię i cienistą pachę. - Idę dziś wieczorem do kina - powiedział nagle nierozważny - a siadanie to męka. - *Pójdź ze mną. Spotkajmy się dziś wieczorem. Jak każda ruina najlepiej wyglądam w poświacie księżyca.*

- Co dają?

- Chyba ze sześć różnych filmów. Zauważyła pani, że teraz te dawne miłe olbrzymy, takie jak kina, są podzielone na małe kredensiki, a dawne małe kredensiki, takie jak sklepy spożywcze, powiedzmy, łączy się w potwornie wielkie superszafy. Powinno być na odwrót, moim zdaniem. Ale pani za młoda, żeby pamiętać!

- I tak tam, skąd pochodzę, jest tylko jedno maleńkie kino.

- A skąd?

- Z Melton Mowbray. Ja i pasztet wieprzowy. - Trzymała już jedno opakowanie czopków. - Dwanaście czy dwadzieścia cztery?

- Dwadzieścia cztery. I przy okazji algipan i multivit...- Pogrzebał w kieszeni. - Mam tu parę powtórzonych recept...

- Pan Singh zaraz wróci. - Wzięła te świstki. – Simvastatin - przeczytała.

- To na serce.

- Fibogel - przeczytała.

- Na pracę jelit.

Wlepiała w niego wzrok. Czuł, jak jego organy wewnętrzne kąpią się w jej tkliwej ciekawości. Zakłopotanie minęło - poddał się tej dziewczynie. Był jej - całym ciałem jeszcze do tego zdolnym.

- Tak naprawdę to potrzebny mi jest komplet nowych części - powiedział. - Sęk tylko w tym, że okres gwarancji się skończył. Parsknęła śmiechem.

- Algipan znam - oznajmiła przynosząc to lekarstwo. - Mojej mamie doktor przepisywał.

- I pomagało?

- No, mama już nie żyje. - Oczy jej napełniły się łzami.

- O, Boże! - Poszukał w kieszeni chustki, ale wyciągnął tylko jakiś kompost: paprochy rozkładających się biletów autobusowych i temu podobne.

- Przepraszam. - Ćhlipnęła. - Nie wiem dlaczego to powiedziałam.

- Już pani lepiej?

Przytaknęła i jak dziecko wytarła nos wierzchem dłoni. Znow pochyliła głowę nad receptami.

Nastąpił moment ciszy. Coś się stało. Kiedy podniosła głowę, twarz miała jakąś zachłyśniętą.

- Russell Buffery - wyszeptała<sub>48</sub>

- To ja. - Zapatrzył się w nią. - A bo co?

Nie odpowiedziała. W tej samej chwili podeszła z uśmiechem tamta ekspedientka.



- Dzień dobry panu. - Odwróciła się do dziewczyny. - To jeden z moich najulubieńszych klientów. Prawda, że sympatyczny? Wujaszek Buffy z „Godziny dla Dzieci”, pamiętasz?

- Dziewczyna patrzyła na niego. Przytaknęła powoli. - Wujaszek Buffy i jego mówiący chomik.

- Chomisio - powiedziała dziewczyna.

- Nie ja wymyśliłem tę nazwę - pośpieszył wyjaśnić Buffy.- Oni.

- Słuchałam pana - powiedziała. - Kiedy piłam mleko. Więc to był p a n ? Buffy przytaknął.

- Obaj ja.

- No proszę - cieszyła się tamta ekspedientka. - Niech pan dla niej zrobi Chomisia.

- Czemu nie Buffy'ego? - Zawsze mu było przykro, że Chomisio dostaje więcej listów od fanów niż on. Aż znienawidził tego swojego kumpelka. - Potrafię robić również inne zwierzęta, wie pani. Kwoki, koniki polne - zazgrzytał cicho zębami. - I cudownego W.C. Fieldsa. - Ale one najwyraźniej nigdy o Fieldsie nie słyszały. - Wielki komik - wyjaśnił. - Umarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym.

- Niech pan zrobi Chomisia.

Westchnął, No cóż, przynajmniej z czegoś zasłynął. I to naprawdę rozczulające, że mówił, chociaż tylko przez radio, do tej dziewczyny, kiedy była mała. Podnosząc głos wytrajkotał piskliwie:

- Ha, żebym tak dziur nie miał w swoich bawełnianych skarpetkach! Kto to idzie przez dolinkę? Czy ta gburka z błyskiem w oku?

- Nornica - powiedziała dziewczyna. - Ta gburka z błyskiem w oku.

- Pani pamięta?

Przytaknęła.

- Nornica. Włamywaczka. Kradła wiewiórkom orzechy. Kiedyś próbowałam otworzyć radio, żeby zobaczyć, czy tam w środku wszyscy jesteście.

- Lepiej na siłę niczego nie otwierać - powiedział Buffy myśląc o zasupłanych drutach British Telecom.

- Pan był sławny - powiedziała.

- Tylko że wszyscy, którzy mnie sławili, mieli poniżej pięciu lat.

- Zastanawiałam się, jak pan wygląda. - Przechyliła głowę i przyjrzała mu się. - Nie jest pan taki, jak myślałam.

- Pod jakim względem? Nie mam uszu futrzanych?

- Och, nie wiem. - Westchnęła. Podniosła oczy, w których znowu błyszczały łzy. Czym teraz rozrzewniona? - Właściwie dlaczego to się skończyło?

- Autor załamał się nerwowo. Stracił kontrolę nad seksem i przemocą w tych słuchowiskach. Więc pozbyli się nas i wkroczył...

- Timmy MacTingle ze swoim Czerwonym Małym Pociągiem Puff Puff Puff.

- Trochę freudowskim. Zawsze tak uważałem.

- Nie za bardzo go lubiłam.

Nadzwyczajne patrzeć na zmienną pogodę jej twarzy. Rozjaśniła się i uśmiechnęła znowu. Nagle co to? Cały skład apteczny promienieje w słońcu. Piiing! Wchodzą klienci. I rozbrzmiewa muzyka, wszyscy śpiewają „Groszaki z nieba”, butelki tańczą na półkach, blask goni blask wokół L'Oreal i Dispensary. Kosmetyczki jak miechy posapują rytmicznie, złociste spinki klaszczą w swoje kartoniki.

Tak ożyło podatne stare serce Buffy'ego. Ona już w nim była jak sarna w gęstwinie, pokręciła się w kółko i zrobiła sobie najcieplejsze z legowisk. Tulił ją w sercu ulokowaną nawet wtedy, gdy odbierała telefon, przytrzymując słuchawkę przy uchu ramieniem, i gdy wszedł jeszcze jeden klient i o coś zapytał. Dziw nad dziwy.

Potem na ulicy niósł się w powietrzu jakiś podniosły nastrój. Londyn miał tętno przyśpieszone, samochody hałasowały, autobusy przejeżdżały bardzo tłoczne, jedna po drugiej na Edgware Road zapalały się jarzeniówki. Pierwszy raz od miesiący Buffy nie czuł się poza nawiasem. Znow przynależny płynął w wartkim strumieniu miasta. Ona prawdopodobnie uznała go za nudnego ramola. Może mu się tylko śniła i następnym razem jej tam nie będzie..

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

---

Nie jest tak, jak się myśli, że jest. Celeste przekonywała się o tym. Kilburn High Road, na przykład, te sklepy. Myśli się, że w nich sprzedają to i to, a tymczasem sprzedają również coś zupełnie innego. W kwaciarni można dostać przecenione filmy wideo. Okna urzędu pocztowego zapchano pasterkami z porcelany i asortymentem skórek zamszowych. Wszędzie wokoło widziała sztuczki i złudzenia. Niektóre z tych sklepów kłamały wyraźnie. Sklep spożywczy Matthews'a był pełen wyposażenia dla biur, a sklep z napisem „Wyposażenie biurowe” pełen indyjskich sari i pudełek ze sztucami. W drodze do pracy mijala te sklepy i mężczyzn przed nimi trzymających jak ofiarę wotywną puszek piwa o godzinie wpół do dziewiątej rano! Kiedy wracała z pracy, te sklepy niczym dekoracje teatralne już uległy tajemniczo zmianie; wystawy były zakratowane, na chodniku ni stąd ni zowąd stoiska sprzedaży gipsowych krasnoludków i foliowych worków na śmieci. Nie mogła uchwycić charakteru tych ulic. Wydawały się talią kart tasowanych za jej plecami. Mamy cię! - chichotały cynicznie.

Nie podobał jej się także sposób, w jaki patrzyli na nią mężczyźni. Wieczorem jeszcze nieśli puszki z piwem, ale byli już bardziej natrętni. Włóczyć się po mieście nie należy. Chodziła więc szybko, nawet jeśli nie miała dokąd pójść. Czasami musiała uskakiwać przed gorącym oddechem dmuchającym w twarz i tym „pani pozwoli...”. Czuła niesmak i przerażenie. Nawet swoją cielesną powłokę musiała poznawać na nowo. Mężczyźni wlepiali w nią oczy, ale to ciało nie było w pełni jej własne, jeszcze nie. Ręce zwisają z ramion, paznokcie nóg, owszem, są - ale czuła się jak po rozebraniu na części, świeżo zmontowana. Musiała sprawdzać, czy niczego nie brakuje.

Nesta jej pomagała. Nesta w pracy.

- Błada i interesująca, tylko że to nie to - powiedziała. - Szczerze mówiąc, Celly, wyglądasz jakby duchy cię straszyły. - Posadziła ją. - Masz budowę kostną żyć nie umierać - powiedziała. - Buduj na niej.

Nesta pracowała w tym składzie aptecznym od roku i dobrze znała wszystkie nowe kosmetyki.

- Prawą rękę bym oddała za twoje oczy - wzdychała i po południu, gdy w sklepie nie było nikogo, udzielała jej, trzymając lusterko, lekcji makijażu. To było kojące. Zaznajamiać się na nowo z własną cerą, odpowiednio się pudrować.

- Oczyszczaj, odżywiaj, odświeżaj - skandowała Nesta modlitewnie. - Będą się do ciebie zlatywać jak pszczoły do miodu. - Sama nieładna i pulchna, mówiła to tęsknie, chociaż miała oddanego przyjaciela, który co dzień punkt o szóstej podjeżdżał przed sklep i podsadzał ją na siodełko hondy.

Kiedy do tego składu aptecznego przyszedł Buffy, Celeste pracowała tam od tygodnia. To było takie proste. Przechodziła tamtędy, zobaczyła na wystawie ogłoszenie: „Potrzebna ekspedientka”, weszła i dostała tę posadę. Już drugiego dnia poczuła się stałym elementem wystroju, wyposażenia sklepowego. Wiele musiała się nauczyć, ale tylko o butelkach, opakowaniach i rzeczach, które dają się zrozumieć. Przy kasie okazała się znakomita; ostatecznie w Szast Prast prowadziła książkę rachunkową, miała aż za wysokie do tego kwalifikacje. Lubiała układać towar na półkach, nalepiać na wszystko ceny pzz! specjalnym pistoletem. Lubiała patrzeć na szkliste w gablotkach wystawowych fotografie pięknych kobiet o wargach wydętych, jak gdyby cmokaniem wzywały ją w swoje rejony, o których miała bardzo mgliste pojęcie. Jeszcze nie była gotowa. Dezorientowało ją morze miasta, ale pan Singh dobrze żeglował i wśród odmętów jego sklep był wyspą uperfumowanej ufności.

Skład apteczny Alfa mieścił się w rzędzie sklepów tuż przy rogu Edgware Road. Dalej wznosiły się bloki mieszkalne, a jeszcze dalej rozciągały się kremowe półksiężycy tak zwanej Małej Wenecji. Celeste mogła chodzić do pracy pieszo, mając do przejścia z rozgardiaszu Kilburn zaledwie milę, ale to było jak przeniesienie się w inny świat. Tutaj czuła się ustabilizowana, jak na huśtawce czyjaś ręką zrównoważonej. Tu sklepy oferowały tylko to, co powinny, a ona pracowała w jednym z nich. Wokoło mieszkali ludzie klasy średniej, którzy wiedzieli, czego chcą." Jeszcze nie

spotkała Buffy'ego, więc nie mogła wiedzieć, czy on wie, ale wyczuwała pewność i rozmach w powietrzu. Sklep z winami naprzeciwno, głoszący szyldem, że zał. w r. 1953, pozostawał codziennie taki sam i te same butelki były na wystawie. Buffy, jak miała się dowiedzieć, ubolewał nad zmianami w swojej okolicy, ona jednak widziała tylko ciągłość

- tak magnetycznie nasze potrzeby duchowe działają na wzrok. Nawet wierceń w pobliżu nie słyszała. Zwłaszcza gdy wybijała cyfry na dzwoniącej kasie. Lubiła w sklepie ruch, nie miała wtedy czasu myśleć.

Tamten dzień. Co tamten dzień miał w sobie szczególnego? Piątek, więc po południu tempo wzrosło. Odczuwała to co tydzień, odkąd przyjechała. W klasach szkolnych nieznane dzieci kręciły się niecierpliwie. W fabrykach na londyńskim zapleczu ludzie wyczekiwali syreny. A tu kawałek dalej na tej ulicy jeszcze nieznany Buffy popijał swoją opóźnioną szkocką „U Trzech Grajków”.

- Malcolm zabierze mnie na kręgle - powiedziała NESTA

- tylko przedtem coś przekąsimy. Grałaś kiedy w kręgle?

Celeste potrząsnęła głową.

- Musisz znaleźć chłopaka. Najlepiej na kółkach - zaopiniowała NESTA.

Celeste, stojąc na krześle, ustawiała na półce spraye do nosa. Przypomniła jej się sen z poprzedniej nocy. Ukłuła swoją mamę szpilką, wsss... i mama sflaczała, zrobił się z niej zwitek zmiętego plastiku. Nie wolno myśleć o takich rzeczach. Sny są jak te sklepy na Kilburn z wystawami tak skotłowanymi, że na ich widok aż podrzuca.

- Bądźcie grzeczne, dziewczynki - powiedział pan Singh.

- Ja teraz skoczę na pocztę.

Wszedł. Weszła podstarzała dama, niejaka pani Klein. Celeste dowiadywała się coraz więcej o fizycznych zaburzeniach klientów. Kiedy ludzie przechodzili przed wystawą, patrzyła już na nich z takim uczuciem wobec ich organizmów, z jakim hydraulik patrzy na łazienkę, w której pracował, więc zna układ rur. I stałych klientów zaczynała poznawać. Pod przyodzianym w piżmowce eksterierem pani Klein przyczajało się wrażliwe grube jelito. A subiekt ze sklepu win naprzeciwno miał pod swymi wypucowanymi golfami wciąż atakujące grzyby. Z tego miasta pełnego obcych przychodziły do niej kobiety, których środki antykoncepcyjne były jej lepiej wiadome niż ich najbliższym i najukochańszym. Już wiedziała, że szatniarka u Cullensa jest na tabletkach, a niechlujna duża blondyna z warsztatu zamierza stosować Orthi-Diaphragm rozmiar 75 i ponadto żel.

- Idziesz dzisiaj poszaleć? - zapytała Nesta.

Celeste potrząsnęła głową. Wydawało się, że ma głowę tylko do potrząsania. Nigdy nie szła poszaleć, nie знаła mężczyzn, znała jedynie kremy, jakich używali.

Zapakowała zakupy pani Klein, po czym uklękła, żeby ustawić na najniższej półce Clairol - Odcienie Włosów. Następna klientka weszła; zaczęła rozmawiać z Nestą o maseczkach odmładzających.

- Mój problem to tłusta otoczyna - mówiła - więc muszę mieć połączoną: do tłustej i do suchej.

Piiiing! Wszedł jeszcze ktoś.

- I do tego jest pędzelek... - mówiła Nesta.

Celeste wstała z klęczek.

- Co dla pana?

\*

Był to rumiany duży brodacz<sup>55</sup> z szyją okutaną szalikiem w szachownicę. I w berecie. Przede wszystkim zwróciła uwagę na jego brwi: samoistne grube czarne gąsienice. Towarzyszyło mu raczej niepokazne psisko, zmierzwione i płaskie, jakby kiedyś czymś przejechane.

Pomyślała w pierwszej chwili, że to chyba jakiś artysta. Nie byle kto w każdym razie. Trochę ekscentryczny, oczy miał błyszczące i kiedy się odezwał, usłyszała głos rzeczywiście piękny - dźwięczny i głęboki.

- Czopki anusol poproszę.

Przez chwilę myślała, że to w obcym języku - on wyglądał trochę kontynentalnie. Po chwili wyjaśnił, o co chodzi.

Później, o wiele później, usiłowała sobie przypomnieć tę pierwszą rozmowę. Rozśmieszył ją, tego nie zapomniała. Wujaszek Buffy. To był właśnie on. Niewiarygodne! Jego głos w radiu, w jej pamięci. Opowiedział jej już tyle bajek. Pamiętała zatechły zapach fotela, w którym kuliła się obgryzając paznokcie... I słabe pyk - pyk - pyk gazowego ognia w kominku. I swoje ręce upačkane po szkole. Chomisio przysięgał falsetem „na moją duszę!", a ona bawiła się swoimi warkoczami, pociągała za ściskające je gumki. Powróciło całe towarzystwo tych futerkowych stworzeń, jej przyjaciół - piski, pochrząkiwa- nia z utraconej przeszłości.

Coś ją dławiło w krtani. I w głowie jej się zakreśliło. I w uszach ryczało. Ale gawędziła z nim normalnie. Dała mu jego zakupy w plastikowych torebkach, powiedziała, że ma na imię Celeste. I oto stał przed nią już inny klient.

- Ma pani jakiś olśniewający płyn?

- Olśniewający?

- Odświeżający. Do płukania. - Otworzył usta i stuknął się w zęby.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

---

Miłość ach, miłość. Ciepłe soki wzbierające w zimowych gałęziach. Co za cud! Kto by uwierzył, że w sześćdziesiątym pierwszym roku życia taki cud może się zdarzyć? Jemu. A on to kto? Przeżytek, zaniechany model przeznaczony do wyrzucenia na śmietnisko, rogacz odtracony, mężczyzna, który widuje swoje eks-żony w sukniach dobrze mu znanych u boku mężczyzn nieznanych, niepotrzebny stary kuc z kopalni wyprowadzony na trawę, szlachetny pomnik zniszczony przez wandalów, skorodowany, ruina. Wszystko to i więcej, gdyby zdołał wymyślić.

Celeste raptownie otworzyła na oścież drzwiczki jego serca. Dziewczątka słoneczne! Chucherko w kitlu z różowego nylonu. Rozważając swoje życie, zadał sobie pytanie, czy czuł się podobnie kiedykolwiek przedtem. Doszedł do wniosku, że nie. Nie, ponieważ miłość każdemu odbiera pamięć. Jemu zresztą pamięć zakaziły finały jego małżeństw zupełnie tak, jakby trujące chemikalia wyciekały ze stłuczonych pojemników. Nawet pierwsze miesiące z poszczególnymi żonami, kiedy myślał, że je kocha i wszystko powinno być dobrze, były zmaćcone czymś, co należało uznać za sygnał niebezpieczeństwa.

Na przykład to ponure „uduchowienie” Jacquetty w Wenecji w czasie ich podróży poślubnej. Godzinami stała przed obrazem Tycjana i nie widziała, że on nerwowo zerka na zegarek, marząc o obiedzie. Wtedy imponowała mu bezruchem swego urzeczenia, kiedy ludzie omywali ją jak fale, a ona trwała jak skalne urwisko, niepomne cofających się fal. Ponadto wyglądała bardzo efektownie w aksamitnej pelerynie. Ale już było w jej samotności coś ostentacyjnego, co sprawiło, że poczuł się prostacki ze swoim pustym żołądkiem, maluczki, daleko w dole poniżej rejonów zamieszkanych wyłącznie przez nią i weneckich malarzy. Do tego Jacquetta miała dryg, talent, który z biegiem lat się rozwijał. Kiedy zaczęła sypiać ze swoim psychoanalitykiem, naprawdę potrafiła wywołać w nim uczucie wykluczenia z jakiejś gry dwuosobowej, zbyt finezyjnej dla prostaka, gry w rozrzedzonym powietrzu jej psyche. Znów Tycjan od początku. Gorsze to było, oczywiście, ale w tym samym rodzaju.

No, a Popsi jak się zachowywała u Johna Lewisa, kiedy kupowali firanki! Popsi, jego pierwsza żona. Tak dawno, dawno temu. Jeszcze w latach sześćdziesiątych. Beznadziejnie oboje nie wdrożeni w dom, właśnie się wprowadzili do dwóch pokoi w Bloomsbury i czynili wysiłki. Popsi była wesołą, ustepliwą dziewczyną; zwykle dawano jej role hożych wieśniaczek w staniku nieomal pękającym na biuście. Tamtego dnia odpadła przy przesłuchaniu, więc po drodze do sklepu wlała w siebie parę głębszych. Najpierw uciszyła cały dział zasłon okiennych wykonaniem „Była raz panienska z Bristolu”, potem raptem się rozrzewniła i ze łzami spływającymi po policzkach opowiedziała podstarzałemu subiekтови o swojej skrobance, którą jej przypomniał widok jego nożyczek - jak to miała wtedy szesnaście lat i jaki to byłby dorodny syn teraz. Biorąc ją za rękę i kierując ku belom tkanin obciowych, on zdał sobie sprawę, że nawet jeśli nie czeka go wielki kłopot, to na pewno będzie sporo przez nią zakłopotania.

Celeste nie jest podobna do żadnej z nich. Co więcej, nie jest podobna do żadnej ze wszystkich na dotychczasowej drodze jego życia. Celeste to połyskliwy nowy zeszyt, w którym będzie zapisywał swoje najciekawsze myśli swoim najstaranniejszym pochyłym pismem. Jej młodość przydaje mu mądrości, doświadczenia i nowoczesności w dodatku. Jeśli chodzi o

kobiety, zawsze był podatny, no, nierozsądny czasami, ale Celeste jest rzeczywiście czarująca. I ta szczerość w jej wzroku, i ta spontaniczność jej pytań. Następnego dnia przyniósł zdjęcia do wywołania. Wydawała się rzeczywiście zadowolona z tego, że przyszedł.

- Fotki? - zapytała. - Z urlopu?

- Fotografie chodnika.

- Chodnika?

- Te wykopki - sprecyzował.

- Po co pan fotografuje chodnik?

- Na dowód. Załączę to do pisma z zażaleniem. Dziś rano o mały włos nie skręciłem karku. - Wręczył jej rolkę filmu. - Już była w aparacie. Od wieków chyba. Bóg jeden wie, co jeszcze wyjdzie.

- Co? Pan przypuszcza, że co? - zmarszczyła brwi, patrząc mu w oczy.

- Coś żenującego, prawdopodobnie. Coś, czego lepiej nie wywoływać, tak jak niektórych myśli lepiej nie wypowiadać słowami.

Swoją wczorajszą wizję, promienną i bez rysów jak anioł, zobaczył tego następnego dnia wyraźniej. Krótkie włosy, oczy piwne, gęste brwi, twarz delikatna, a przecież świadcząca o charakterze i zdecydowaniu. Pryszczyki na podbródku, czoło świecące, bo w sklepie było duszno. Te pomniejsze niedoskonałości czyniły ją ludzką - tym więc bliższą mu i droższą. Śmieszne to, ale już czuł się z nią jakoś zżyty.

- Przeszłość na ogół bywa żenująca - powiedział. - Pani jeszcze za młoda, żeby się o tym przekonać. Przeszłość nie śpi, jest gotowa podstawiać człowiekowi nogę od tyłu.

Milczała przez chwilę.

- Właściwie ma pan rację - przyznała. - Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę z tego. Myśli się, że się wie wszystko i że to już jest wszystko... to, co się myśli... i nagle trrach!

- Nie rozumiem.

Nie wyjaśniła. Patrzyła na formularz zamówienia, który miała wypełnić.

- Matowe czy błyszczące?

- Nie wiem. Fotografowaniem zajmowała się świetnie moja żona.

- Żona?

- Eks-żona.

Jeszcze nie dostali rozwodu, ale Penny ze wszech miar była już, czy też wkrótce miała być eks.

- Bo co się z nią stało?

- Uciekła tego lata z pewnym fotografem, dosyć *a propos*. Taki goryl, Colin mu na imię. Bóg tylko wie, jakie tematy znajdują do rozmowy. Naświetlanie czy co?

- Gdzie mieszkają?

- Nad pizzerią w Soho. - Prychnął. - Jest nadzieja, że ona utyje.

- Wygląda pan strasznie - powiedziała Celeste. - Proszę, niech pan usiądzie. - Wskazała krzesło postawione z boku dla miłych staruszków, żeby nie musieli stać, kiedy się przygotowuje leki na ich recepty.

- O której ma pani przerwę podwieczorkową?

\*

Siedzieli w cukierni nie opodal na tej ulicy. Od czasu do czasu Celeste pochylała się i karmiła George'a kawałkami słodkiej bułki z masłem.

- To najbardziej śliniący się pies, jakiego w życiu widziałam - powiedziała urzeczona. Wytarła rękę o obrus.

- Jedno mnie w psach intryguje - powiedział Buffy. - Jedzą mięso, a zioną zapachem ryb.

- Wiem. Dziwne, prawda? Jak tam hemoroidy?

- Lepiej.

- Poszedł pan do tego kina?

Przytaknął.

- Czy pani to nie uderzyło? No, na końcu filmu, kiedy podają długi spis piosenek Brahmsa i Diany Ross, i Beatlesów, zawsze ich jest więcej niż rzeczywiście się słyszało w filmie.

Milczała rozważając. Na wardze miała okruch ciastka. Pochylił się nad stolikiem i swoją serwetką wytarł jej usta, jakby była jednym z jego dzieci. Tyle razy - setki, tysiące w czasie małżeństw i w czasie separacji - siedział

ze swoimi dziećmi w herbaciarniach i wycierał im buzie, i starał się odpowiadać na absurdalne, a jednak niejasno ogarniające kosmos pytania, jakie zadaje każde dziecko. Na przykład: „Ile jest urodzin ludzi na świecie wtedy, kiedy są moje?”. Teraz najstarsi z nich - z jego dzieci i pasierbów - już się gołą, mają prawo jazdy, a te pytania nadal pozostają bez odpowiedzi.

- Niech mi pan mówi o wszystkim - powiedziała. - Boja nic nie wiem.

- Niech mnie pani pyta.

- Proszę mi opowiedzieć o swojej żonie.

- Eks-żonie. - Zawahał się. Mówić o Penny rzeczywiście nie chciał. Penny była jak pokój pełen paskudnego bałaganu, którego się nie pokazuje gościom. Ani też nie chciał powtórzyć swego rozstępnionego numeru „ja nieszczęśliwy” sprzed lat, jakże skutecznego w przypadku tejże Penny. To niegodne wobec Celeste. Patrzył na nią czule. Nadzwyczajna rzecz, miłość. Po tych wszystkich przejściach naprawdę to cud, że jest mu dane odczuwać budzenie się miłości, jak budzenie się głodu po okropnym ataku zatrucia pokarmowego.

- Jak ona wygląda?

- Nie tak, jak pani - odpowiedział. - Rasa, klasa i nieprzemakalna. Wszystko spływa po niej. Jest dziennikarką, pani rozumie.

- Nigdy nie znałam żadnej dziennikarki. Żadnego aktora też nie. Tam, w domu, największym wydarzeniem tygodnia było odczytywanie naszego licznika.

Roześmiał się. Patrzył na jej biały puszysty sweterek pod płaszczem, na malutki złoty krzyżyk na szyi. Jest miękka i kobieca, taka, jakie powinny wydawać się dziewczyny, ale już się nie wydają. I jest z rodzaju tych chłonnych. Przeciwnieństwo Penny. Wyobraził sobie jej dom rodzinny, dom robotniczy, fabryczne syreny, łańcuszek w szaliku na głowie. I ją pięknie pachnącą, samotną wśród tych szaraczków. Taka młoda, na pewno nie widziała filmu *Rodzaj miłości*, do opowiadania jej będzie mnóstwo.

- Pan się z nią jeszcze widuje?

- Z kim?

- Ze swoją eks-żoną.

- Nie, jeżeli to zależy ode mnie. Ona co dzień je śniadanie u Bertaux. Wpadłem tam na nią kiedyś, więc ten lokal już dla mnie odpada. A szkoda, bo to jeden z moich najulubieńszych. - Z zawziętością zapalił papierosa. - One kradną człowiekowi nie tylko pieniądze i meble, dom, och, nie tylko. Kradną nawet ulubioną herbaciarnię, do której człowiek sam je pierwszy raz zaprowadził. - Zaczął kaszleć, oczy mu zaszyły łzami.

W istocie Penny nie była aż tak zachłanna jak pewne osoby, których imiona mógłby podać. Wiejski domek wystawili na sprzedaż, ale rościła sobie prawo tylko do połowy tej sumy. Przyzwójcie z jej strony - zważywszy że to domek kupiony za jego pieniądze. Mieszkanie w Bloomfield Mansions jest wynajmowane, więc poza zasięgiem jej szponów. Tak, Penny po prostu się wyprowadziła, zabierając tylko swoją modelową garderobę i książki kucharskie. Nawet nie wszystkie. To było jeszcze bardziej prztyczkiem w nos, oczywiście. Podkreślało, że jest o wiele bardziej zaabsorbowana i w błogostanie, żeby zawracać sobie głowę dobytkiem. Za bardzo zaspokojona seksualnie, żeby się kłócić. Z chwilą kiedy awantury się skończyły i postanowienie zapadło, stała się raczej dobrotliwa, naprawdę - taktowna i hojna jak nigdy przedtem. Mdląco łaskawa, w istocie. Raz rzeczywiście się zainteresowała.

- Jesteś pewny, że będzie ci dobrze?

Jak oprawca częstujący cię kubkiem herbaty po wyrwaniu ci paznokci nóg.

W to wszystko nie mógł wciągnąć Celeste. Zbyt to nikczemne. Tylko spojrzeć na nią teraz. Pałaszuje dziewczątko drugi ekler. Ta prężność, ten apetyt! Ta cudowna możliwość odmłodzenia! Jego przeszłość to rynsztok, który zatykają na pół zatopione szczątki, rozbite wózki niemowłące. Ona to wykwitający z tego kwiat lotosu, otwierający swe płatki jeden po drugim.

- Czy mam krem na podbródku? - zapytała niespokojnie.

Potrząsnął głową, nie mógł mówić.

- Na co pan patrzy? - zapytała.

- Na panią.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

---

Nazajutrz w swój wolny dzień Celeste pojechała autobusem do Soho. Ręce w wełnianych rękawiczkach jej się lepiły. *Mieszka nad pizzerią*. Mdlilo ją, a przecież była podniecona, jakby miała wyjść na scenę. Jednocześnie czuła się podstępna - to uczucie przyczajenia, jedno z wielu nowych uczuć ogarniających ją ostatnio, nawet sprawiało jej przyjemność: muskało jak motylek po sercu, grzało w twarz, dzwoniło w uszach. Kiedy autobus zbliżał się do jej docelowego przystanku, domy z obu stron ulicy się zmieniły: brzemienne w znaczenie, omal nie pękały od tej ciąży. Penny patrzy na nie, może przechodzi obok nich codziennie.

Wysiadła z autobusu na Charing Cross Road. Bogu dzięki, że Buffy jej tu nie widzi. Ależ by się zdziwił! Prawie się nie znają, a ona już jest tutaj na tropie jego byłej żony! Zapytała o drogę, ktoś jej wskazał kierunek. Soho. Wyobrażała sobie kluby strip-tease'u i skąpo przyodziane kobiety rozparte przy bramach. Chcesz się zabawić? Przez chwilę szaleństwa wyobrażała sobie eks-żonę Buffy'ego w samym pasku do podwiązek i w lakierowanych butach z cholewami, dmuchającą dymem papierosa na przechodzących mężczyzn. Soho jest słowem tak nieprzyzwoitym, że ojciec i matka wymawialiby je szeptem. To znaczy, gdyby ono w ogóle kiedykolwiek padło. Na ich ulicy największą nieprzyzwoitością były legginsy Wandy z lurexu.

Dochodziła godzina dziesiąta rano, siąpił kapuśniaczek. Celeste stanęła na Old Compton Street niezdecydowanie. Mężczyźni podchodzili do niej, żądni jednak nie ciała, tylko pieniędzy.

- Pani da pięćdziesiąt pensów.<sup>63</sup> - Ręka się wyciągała. - Daj pani trochę drobnych na kubek herbaty - ukazywało się z bliska fioletowe oblicze. - Funta i Boże panią błogosław.

Żadnych kobiet nie widziała. Może one wynurzają się o zmierzchu, jak ślimaki. Kiedy ostatecznie wypatrzyła postać w jednej z bram, było to

stworzenie siedzące wśród napchanych reklamówek i tak opatulone, że nie dałoby się rozpoznać, jakiej jest płci.

Przeszła obok butiku z konfekcją chyba niemożliwą do noszenia, ale na pewno modną. Mijała sklepy, przeważnie zamknięte, z tabliczkami „do wynajęcia”. Na rogu stali japońscy turyści, jacyś bardzo mizerni, może zmarznięci. Drzwi teatru Księcia Edwarda zasłaniało wielkie tekturowe pudło z napisem Sony na wierzchu i chyba z kimś poruszającym się we wnętrzu. W Soho wcale nie było tak, jak myślała, ale przecież nigdzie w Londynie też tak nie było. Gdzie te kluby streap-tease'u? Nie ma ich. Są tylko pizzerie.

Mnóstwo, mnóstwo pizzerii: *Pasta Fine*, *Fas ta Pasta*, *Pasta 'N' Pizza* i *Pałac Makaronu dla Grubasów*. Nad nimi były mieszkania, to widziała. Owszem, mnóstwo mieszkań. Okna z roletami, okna z firankami.

Za którym oknem jest Penny? Jakże ona na Boga mogła mieć nadzieję, że gdzieś tutaj Penny wypatrzy? Przecież nie sposób wałęsać się przed każdą pizzerią w Soho i oglądać każdą kobietę wychodzącą z mieszkań powyżej. Celeste nawet nie wiedziała jak owa Penny wygląda. Zresztą i tak Penny prawdopodobnie już poszła do pracy.

Soho Square. Celeste ociężała usiadła na ławce. Jednonogi gołąb uciekł skacząc. To beznadziejne. Powinna była zdawać sobie z tej beznadziejności sprawę.

\*

Kiedy wróciła do domu, znów zobaczyła kartkę przy domofonie: „Waxie! Będę u Bima o piątej”. W tym ogromnym mieście, tak ogromnym, że nie wiadomo gdzie się kończy, ludzie mają ze sobą łączność. Nieznane osoby, nawet nazywając się Waxie czy Bim, przecież znajdują się nawzajem. Z mieszkania powyżej dobiegała muzyka. Po suficie przedudniały kroki. Za ścianami ludzie śmiali się głośno i zostawiali dla siebie kartki.

Ona nie jest zagubiona, nie powinna wpadać w popłoch. Dała susa z przeszłości do tego wiatrem przemiętanego miasta, zbudziła się z długiego fałszywego snu młodości. Swoje domki na Wierzbowej wynajęła, skończyła



z tamtym wszystkim i znalazła Buffy'ego. Objął ją przed cukiernią, trzymał w niedźwiedzim uścisku. Jego masywny obwód, jego ciepły tytoniowy oddech... Chyba jest mu potrzebna. Wymamrotał w jej włosy:

- Chciałbym cię rozpuścić w wodzie i wypić. - Przynajmniej tak to zabrzmiało. Czy rzeczywiście tak powiedział? Czy to możliwe?

Wszystko takie dezorientujące. Nigdy dotąd tego nie знаła. Och, pożądanie znała już, owszem - ten płomień i wilgoć, zasychanie w gardle, zawrót głowy, rozwrzeszczaną klarowność ulic, kiedy całowała się z chłopcami w samochodach. Z paroma nawet poszła do łóżka, żaden jednak nie miał jej rzeczywiście. Z Buffym to zupełnie inna sprawa. Nie wiedziała, co czuje, nie śmiała się nad tym zastanawiać, ale nazajutrz w pracy wciąż patrzyła na drzwi i czekała, żeby wszedł. Pożyczyła sobie próbkę różu, uróżowała policzki. Na obiad nie wyszła, jadła tylko kanapki w pokoju za sklepem, przestając jeść przy każdym piing! drzwi i wychylając się niby od niechcenia, żeby zobaczyć, kto przyszedł.

Nigdy czas tak się nie wlecze, jak w sklepie po południu, kiedy prawie nie ma ruchu. Nesta niczego nie zauważyła, ale Nesta zawsze była gapą. Przyszła jej przyjaciółka ze Zdrowych Mięczaków dalej na tej ulicy - tam też ruch był słaby - i wyciągnęła swoje fotografie ślubne. Nesta długo jedną po drugiej oglądała wzdychając. Dochodziła godzina czwarta. Celeste wymyślała sobie zajęcia. Pójdę do łazienki, to on wejdzie. Zamknę oczy i policzę do dziesięciu... Nagle jakoś śmiesznie go potrzebowała. Może on o niej zapomniał. Może ten podwieczorek nic nie znaczył.

- Szkoda, że tu jego buzi dobrze nie widać - powiedziała Nesta.

Celeste odwróciła się. Dopiero teraz zobaczyła, co one mają w rękach. Fotografie.

O wpół do piątej chłopak przyniósł paczkę z zakładu fotograficznego. Jej zadaniem było włożenie poszczególnych kompletów wywołanych zdjęć do szuflady, żeby potem wydać je klientom.

O szóstej Nesta zamknęła kasę. Pan Singh otworzył drzwi i wypuścił ostatniego klienta. Warkot na ulicy zaanonsował honde. Celeste wsunęła się za kontuar, sięgnęła do szuflady po dużą brązową kopertę i coś z niej wyjęła.

Szła do domu przez Kilburn High Road, mijając zamknięte sklepy, widmowe wystawy pantofli i przed nimi oświetlone uliczne stoiska ze sztuczną biżuterią. Bransoletki mrugały do niej porozumiewawczo. Czowała się jak zamachowiec niosący w kieszeni bombę. Czowała się winna i do głębi było jej wstyd, że wypożyczyła fotografie Buffy'ego. Takie wtargnięcie w jego życie! Jeszcze ich nie widziała. Odwlekała to. prawie jak szczególną jakąś przyjemność, żeby spokojnie obejrzeć je w mieszkaniu. Minęła Piękne Włosy Afro Karaibskie, ruchliwy punk z reklamą „Peruki, 100% włosów ludzkich. Tutaj!”. W tym sklepie, jeszcze otwartym, pasma towaru zwisały z sufitu jak wodorosty. Przeszła na drugą stronę ulicy, zaciskając na sobie płaszcz. W kieszeni miała fragmenty życia Buffy'ego. To zdumiewające, że nikt się tego nie domyśla. Właściwie nie zdumiewające, ale tak jej się wydawało. Stała przed swoimi drzwiami, poszukała klucza. W sklepie ciuchów z drugiej ręki było ciemno. Za szybą pochylał się ku niej manekin; na łysej głowie miał płaską sztywną czapkę hotelowego boy'a, włożoną na bakier.

W mieszkaniu wyjęła z kieszeni fotografie i rozłożyła je na stole. Zdjęć chodnika nie było. Albo nie wyszły, skoro on jest tak beznadziejnym fotografem, albo w tym zakładzie uznano, że to jakaś pomyłka, zbyt nieciekawo, żeby zrobić z nich odbitki. Podparła się łokciami i patrzyła. Poniżej pociąg przejechał. Stół dygotał, jakby się odbywał seans spirytystyczny.

Na kilku fotografiach był wiejski domek z ciepłarnią obok i z czyjąś zamazaną sylwetką. Na innych różni ludzie leżeli na kocach w ogrodzie, Buffy wśród nich, smacznie śpiący. W czerwonej koszuli i workowatych niebieskich spodniach. Coś ją dławilo, przy oglądaniu starych fotografii zawsze chciało jej się płakać. Oto Buffy w jakieś złociste popołudnie podnosi kieliszek z winem w stronę aparatu. Prawdopodobnie fotografowała jego żona. Wyglądał młodziej, ale na fotografiach zawsze wszyscy wyglądają młodziej. Jacyś smarkacze naburmuszeni. Podobieństwa rodzinnego nie ma, może to nie jego - nawet nie wiedziała, czy on ma dzieci.

I jeszcze jedna fotografia. Buffy na zagonie warzywnym; stoi i trzyma wiązkę marchwi. Wiązkę marchwi. Jakież to nieprawdopodobne. Jest w

panamie i w szerokim krawacie, uśmiechnięty od ucha do ucha. Obejmuje ramieniem kobietę o połyskliwie kasztanowatych włosach.

Celeste długo siedziała, patrząc na tę fotografię. Obie twarze w słońcu, sama kobieta na pół w cieniu, ale dostatecznie widoczna. Jego żona na pewno. Można to poznać, kiedy tak stoją razem. Kasztanowate włosy „na pazia”, biała bluzka, dzinsy.

Celeste wpatrywała się w to minione letnie popołudnie zastygłe na zawsze. W życie, o którym nic jej nie było wiadomo. Buffy z marchwią jak z trofeum. Z dłonią na ramieniu żony. Żona ma usta rozchylone. Co mówi? Coś, o czym dawno oboje zapomnieli. Chwila ich dwojga zatrzymana. Od czasu do czasu przejeżdżał pociąg pod ziemią. Stół się trząsł, Celeste się trzęsła, zęby jej szczękały. Wpatrywała się w Penny. Teraz wiedziała, jak Penny wygląda. Uczyła się tej twarzy na pamięć. I zamierzała ją znaleźć.

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

---

Godzina przed świtem, mokro i ciemno na dworze, czerń pchała się do okna. W domach całej Anglii nic się nie poruszało poza tym, że szarpliwie sunęły fosforyzujące wskazówki budzików, wartowników w uśpionych pokojach. Małżeństwa spały plecami do siebie i miały swoje oddzielne sny, których niedorzeczne wątki rozpuszczają się w poranku jak Alka Seltzer w wodzie. Nosy dzieci były zimne. Pstryk! w sypialni: światło się zapaliło. Phh! w kuchni: bojler z szumem ożył. Lorna przygotowywała się do pracy. Deski podłogi skrzypiały, kiedy przechodziła przez pokój, za tynkiem rury syczały, kiedy odkręciła krany w łazience.

Mieszkała sama na zapadłej wsi. W miarę jak niebo się rozjaśniało, jej domek się konkretyzował, odrywał się od tła, można by powiedzieć - wychodził naprzód. Tło stanowił występ wzgórza w plamy z szarych głazów, które w świetle wstającego dnia okazały się owcami. Poniżej ciągnął się las, poplątane już bezlistne drzewa i korony drzew iglastych jeszcze bardziej atramentowe. Z lasu wybiegł lis i przemknął przez trawnik. Ptaki dziobały wywieszane skórki boczku. Odfrunęły, kiedy Lorna wyszła z domku, i przyfrunęły z powrotem, kiedy się oddaliła. Mieszkała tutaj od lat i zawsze czuła się chwilowym gościem tolerowanym przez zwierzęta będące prawdziwymi mieszkańcami tej okolicy. Nie przejmowała się tym. Co więcej, uważała, że uczucie chwilowości uspokaja.

W gumowych butach, okutana grubym płaszczem, omotana szalikiem, wyruszyła w drogę przez las. Była ledwie po czterdziestce, ale z daleka wyglądała na starą babę, na tułającą się starowinę nawet. Kogo to obchodziło? Jej nie.

Na krzakach wisiały girlandy pajęczyn. Znała każdy cal ścieżki - spłaszczoną wyblakłą trawę, zbutwiałą deskę przerzuconą przez rów. Nad nią nagie gałęzie błagalnie wznosiły się ku niebu. I większość drzew znała w tym niedużym lesie, tak jak nauczycielka może znać większość dzieci w klasie. Niektóre lepiej, niektóre gorzej. Oczywiście nie da się uniknąć

faworyzowania. Drzewa się starzeją, ona też, ale im z biegiem lat przybywa wzrostu. Brnęła wśród paproci, wiele upadło, spoczęło, opierając się o swoje sąsiadki. Mijała ucichłe ciemne jodły. Nieomal dotykała ciszy zgęstniałej pomiędzy pniami. Powietrze wstrzymywało oddech, nic nawet nie drgnęło.

Wynurzyła się z lasu i teraz szła skrajem zaoranego pola. Czajki wzlatywały, z pokrzykami krążyły wokół niej. Jak co dzień rano, myślała, że już do niej przywykły. Kilka owoców dzikiej róży nadal czepiało się żywopłotu. Ziemia świeżo wywrócona, pocięta ostro, połyskiwała jak mięso. Słońce jeszcze było nisko. Dlaczego - zastanowiła się - chmury na horyzoncie leżą nieruchomo, a w górze nieba pędzą? Nie było nikogo, żeby jej odpowiedzieć, ale to nie szkodziło. Na ogół nie szkodziło. Zawsze była osobą samotną, a więc przyzwyczajoną do prowadzenia rozmów w myśli. To tak, jak gotowanie tylko dla siebie - przynajmniej się wie, co się będzie jadło.

Przedostała się przez kolczaste druty na sąsiednią łąkę: pastwisko owiec z zabagnioną, porośłą sitowiem sadzawką pośrodku. Co rok wiosną znajdowała tam żabi skrzek. Co rok, kiedy widziała, że powierzchnia wody jest guzowata od tej szarej tapioki, czuła przebiegający ją taki sam prąd elektryczny jak w dzieciństwie; jedna z tych niespodzianek, które nigdy nie przestają być niespodziankami.

Niskie słońce rzuciło perłoworóżowy blask na pień jesionu. Ale dolinę poniżej zasłaniały mgły, zagubioną, tajemniczą dolinę, gdzie spokoju nic nie zakłócało, nawet pomruki z autostrady. W dali szczekał pies.

Przeszła skrajem następnego pola i przegramoliła się przez furtkę - zawsze wolała przelazić przez furtki niż je otwierać. Przeczekała grzmiący przejazd ciężarówki-kontenera i wyszła na czteropasmową A2. Co dzień rano onieśmiało ją takie wystąpienie publiczne. Obciągnęła na sobie płaszcz, idąc poboczem.

Gospoda „Palce Lizać” stała o sto jardów dalej przy szosie - oświetlony sześcian na tle jaśniejącego nieba. Stała samotnie pod wiatr na wzniesieniu - ta gospoda ze swoim dużym słoniem z plastiku. Ciemie słonia lśniło w słońcu. Kilka samochodów już tam zaparkowano. Lorna poszła na tyły; pchnięciem otworzyła drzwi „Tylko dla personelu”. Wewnątrz światło

jarzeniówek oślepiało, powietrze było przesycone wonią Puszczy Sosnowej z pokoi wypoczynkowych. Odmotała swój szalik, ściągnęła gumowe buty.

\*

W odległym o 60 mil Londynie Celeste skubała *croissant*. Siedziała w Maison Bertaux. Penny co dzień je tam śniadanie. Za każdym razem, kiedy drzwi z zimnym powiewem się otwierały, serce jej łomotało. Podnosiła wzrok nie na drzwi, tylko na ich odbicie w lustrzanej ścianie. Za każdym razem widziała, że to wchodzi ktoś obcy. Czyli nie do rozpoznania z tej fotografii. Patrzyła na swoją twarz - bez wyrazu, mizerną, lśniąca od potu.

Bawiła się łańcuszkiem. Zamiast krzyżyka miała na nim teraz złotą rybkę. Tę rybkę, którą znalazła w kopercie.

\*

- Dwie porcje grzanek, jedno śniadanie wiejskie, jedna kukurydza...

Lorna niosła talerze przez pełną parę kuchnię. Mówiła do Klausa o twarzy błyszczącej poniżej papierowej czapki. Pracowała machinalnie; jej ręce żyły własnym życiem. Mogłaby to wszystko robić we śnie.

- Jedna kiełbasa z frytkami, jedna zapiekanka z kartofli...

Była marzycielką: marzyły jej się opowieści o ludziach.

Wlatywały jak te ptaki na jej werańdzie, huśtające się na sznurku, dziobiące skórkę boczku, i odlatywały. Co dzień zbożną czcią napawał ją fakt, że jest tyle nieznanymi ludźmi na świecie. Przez pół godziny zagrzewali plastikowe siedzenia, a potem znów ich nie było. Po nabraniu smażonego paliwa znikali z jej życia na zawsze w swojej drodze do Londynu w jedną stronę albo do Dover w drugą, do miejsc za Londynem czy za Dover, do miejsc wszędzie, zostawiając resztki ketchupu i zgniecione bibułkowe serwetki. Niektórzy byli cudzoziemcami. Chcieli, żeby im tłumaczyć jadłospis, i mozolnie wybierali obce monety na napiwek dla niej. Niektórzy w garniturach, w kamizelkach, a jakże, pożerali takie śniadanie, jakiego już nikomu nie przygotowuje żadna żona. Dokąd jechali samochodami swoich firm? Ci zostawiali po sobie kartoniki zapalek z hotelu Orion w Bridlington i „Daily Express” z wypisanymi ołówkiem sumami na marginesie. Mówili do niej „moja miła”, ale jutro o tej porze mieli być w Humberside. Ile razy

do jutra ona będzie sprzątała z tego właśnie stolika? Nawet kelnerki zjawiały się i znikwały, dziewczyny imieniem Gwen czy Peg - tylko się przesuwająca jedna po drugiej nieokreślona twarz nad czarną kokardką na szyi. Trzeba było wciąż zamawiać nowe plakietki z nazwiskami.

Tymczasem słońce, wytaczając się coraz wyżej, ogrzewało jej ogród, mgły się rozwiewały na łące z żabią ikłą. Ona tu pracowała od dwóch lat, ale wciąż jeszcze zdumiewało ją to, że prosto ze wsi może wejść do tej zamkniętej przed porami roku skrzyni, gdzie Muzak gra te same melodie przez cały rok okrągły - melodie, które już prawie rozróżniała, ale tylko prawie.

Strzyknęła płyn do mycia i wytarła stolik; połczyła sztućce. Było pół do dwunastej, ale w tym lokalu granice między śniadaniem a obiadem się zacierały. Goście jedli Tradycyjne Śniadanie Angielskie o drugiej po południu, a befszyk na podwieczorek. Następowo tu dla gości takie zawieszenie w czasie, jakby lecieli samolotem. Oto tęgi biznesmen, który usiadł przy tym czystym stoliku, zamówił krewetki. Miał przy sobie plik dokumentów. Jego ford Granada zaparkowany przed gospodą był zabłocony, ale tego Lorna nie mogła widzieć. Ani też nie mogła słyszeć, o czym mamrotał przez swój telefon komórkowy. W ogóle nic nie zauważyła, bo wybijała jego zamówienie na dzwoniącej kasie, a podawała mu Audrey.

Zresztą była przecież marzycielką. Przystawiając słój z lizakami, myślała: *to tylko kwestia czasu*. Porządkując gazety „na rachunek lokalu”, myślała: *ktoś, kogo od razu rozpoznam, w końcu wejdzie tymi drzwiami*. Powiew zimnego powietrza, twarz intrygująco dobrze znana, tak znana jak akordy Muzaka. Jeżeli się pozostaje w jednym miejscu dostatecznie długo, musi to się zdarzyć - jest coś takiego jak rachunek prawdopodobieństwa. Przecież niezliczeni ludzie, którzy w jakimś momencie otarli się o jej życie, choćby tylko ona o tym wiedziała, na pewno już są gdzieś w drodze. I rzeczywiście nie dawniej niż poprzedniego dnia mężczyzna, który swego czasu w ekskluzywnej szkole średniej uwiódł Buffy'ego, wstąpił na bekon w cieście drożdżowym, ale o tym nie było jej wiadomo.

Zawsze wszystko wysuwało jej się z rąk. Mężczyźni i inne sprawy. Nieraz myślała o tych sprawach w środku nocy. I posady także. Mając już

tyle lat, powinna postarać się o pracę bardziej odpowiedzialną, ale nigdy nie pojęła, jak ludzie to robią - jak planują i wyznaczają sobie cel. Kiedy była młodsza, odrzucała wszelkie rady, kapryśna i szalona, a teraz, po czterdziestce, niczyich rad nie słyszała. Bo nikt nie doradza osobom w jej wieku.

Ruch był słaby. Ten biznesmen, który jadł krewetki, dawno odjechał, nawet nie zauważyła kiedy. Uzupełniła na półeczkach ściennych pliki ulotek. Był to spis gospód „Palce Lizać”. Wydawało się, że te gospody są rozmieszczone przy wszystkich autostradach i objazdach całej Anglii. Przydrożne, trochę tak jak ona. Ludzie grzmiąco przejeżdżają, wiedząc dokładnie, dokąd jadą, żaden gość nie zatrzymuje się długo. *Muszę wracać do żony.*

Zeszła z dyżuru o godzinie trzeciej, poczłapała w swoich gumowych butach na szosę. Słońce opromieniało złociście *raison d'etre* „Palce Lizać” - czerwoną puciołowatą twarz z palcami przy otwartych ustach. Tutaj spotykają się potajemnie wiejscy kochankowie, bo z pewnością na nikogo z miejscowych się nie natkną. W sobotę zjeżdżają się miejskie pary: rozwiedzione małżeństwa, które siedzą w sali dla palących i wciąż palą, podczas gdy ich dzieci bawią się apatycznie użyczonymi przez lokal klockami Lego. Po obiedzie dziecko ma przejść z rąk do rąk jak pałeczka w biegu sztafetowym. W niedzielę znów przy tym czy przy innym stoliku ma być zwrócone.

Nie myśl o tym.

Szła skrajem szosy. Samochody śmigają. Szła do zabudowań gospodarskich odległych o pół mili. Tam była kserokopiarka.

\*

Farmę Sprocketta przeobrażono w ośrodek handlu detalicznego. Nazwano go Deptak Ludowy Sprocketta. Wygodnie usytuowany przy A2, łatwo dostępny z M3, przyciągał klientów w promieniu pięćdziesięciu mil. Chytry farmer Sprockett zdawał sobie sprawę z takich możliwości, sprzedając tę ziemię przedsiębiorstwu rozwojowemu, i teraz cieszył się życiem rentiera na Wyspach Kanaryjskich. Sad zrównano z ziemią, żeby



mieć asfaltowy parking dla czterystu samochodów. W poszczególnych budynkach, malowniczo koślawych, mieściły się różne przedsięwzięcia - „Młocka w stodole” - Agencja Turystyczna, „Wypożyczalnia Wideo w Starej Chlewni”. Był nawet spożywczy supersam niejako. Sklepik spożywczy w pobliskiej wsi dawno zniknął, zabity przez ten super, toteż Lorna, chcąc kupić marmoladę, musiała przychodzić tutaj na Targ Wyborowej Żywności Wiejskiej i nabywać śmiesznie drogi słoik nakryty kawałkiem perkalu w kratkę i zawierający marmoladę fabryczną z Southall.

Ksero było w dawnym kurniku. Poniżej starych belek szumiały maszyny: fax, ksero, drukarki. Zegary na ścianie pokazywały, która godzina jest w Tokio i w Nowym Jorku. Lorna weszła. Jeszcze pamiętała, jak prawdziwe kury biegały po tym pomieszczeniu, wyłożonym teraz beżowymi kafelkami.

Keith, kierownik, rozmawiał przez telefon. Zawsze widziało się go przy telefonie. Kiedy akry jego rodziców, małorolnych z drugiej strony doliny, obrócono w suchy tor narciarski, stał się człowiekiem wszelkich interesów. Ruchem głowy wskazał jej kserokopiarkę, żeby sama się obsłużyła. Miała parę dokumentów personelu do skopiowania.

Pod pokrywą leżało jakieś pismo poprzedniego klienta, więc je wyciągnęła. Poprzednim klientem był gość, który jadł krewetki, ale o tym ona nie wiedziała. Tylko spojrzała na ten papier odruchowo jak na pocztówkę leżącą na słomiance pod cudzymi drzwiami.

Przeczytała. I jeszcze raz przeczytała. Keith nadal rozmawiał przez telefon.

- Przywieź Barry'ego w piątek - mamrotał! - Pogadam z tą grubą rybą o koncesji na hot-dogi. - Niczego nie widział.

Zapatrzyła się w ten papier,<sup>73</sup>ostatnią stronicę jakiegoś memorandum w związku z wniesionym projektem. Serce jej się tłukło, o żebra. Po chwili wpakowała ten papier do kieszeni.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

---

Mieszkanie było cholernie małe: na tym polegał kłopot. Gniazdko miłości w Soho rozkosznie romantyczne - jak to tam idzie w wierszu Johna Donne, *izdebka nasza będzie wszędy* - to Penny musiała przyznać: złapała się we własne sidła. Rzeczywiście rozkosz mocować się z Colinem na japońskim materacu, ale odkąd zaczęli chodzić po mieszkaniu zajmując się normalnymi sprawami, wciąż na siebie wpadali. Modnie te stare pokoiki zostały przerobione na nowoczesną garsonierę - światła o dowolnie zmiennym natężeniu, blaty z granitu - o wiele jednak za modnie, żeby miały tu swoje miejsce jakiegokolwiek schowki, więc wciąż się potykali, ona o jego, on o jej porzucane rzeczy. Nawet kiedy zrzuciła większość swego balastu z powrotem do mieszkania Buffy'ego, w ciasnocie maleńkiej łazienki siedziało się na sedesie w pozycji płodu w łonie matki. Colin zamierzał wypiłować w drzwiach dwie klapy do wysuwania kolan, ale nie miał piły, bo nie było gdzie takich narzędzi trzymać.

Dobrze przynajmniej, że Colin nie czytał, więc mieszkania nie zapelniały książki. Może nie musiał czytać. Penny ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że chociaż jest z nim tak blisko, nie zdarzyło jej się zobaczyć jego charakteru pisma. On wszystko załatwiał przez telefon albo wybijał informacje na osobistym komputerku. Był dzieckiem swojej epoki, wyłącznie wzrokowcem. To jednak stwarzało problemy. Kuchnia w jego mieszkaniu wyrażała styl, nie lubił słoików Nescafe i żadnego zagracania, które by zamąciło widok wyciskacza do cytrusów Philip Starek, stojącego samotnie w pełnym blasku jak muzealny eksponat. Penny nieraz, kiedy chciała się pośmiać, wyobrażała sobie, jak to mieszkanie by wyglądało, gdyby zajmował je Buffy.

Niesamowite, do głębi pasjonujące było przejście z jednego życia w drugie, z objęć jednego mężczyzny w objęcia drugiego. Różnica między ich ciałami z początku wywoływała wielki wstrząs, dreszcz pełnego poczucia winy, ale z tym Penny już się oswoiła. Poddała się całkowicie Colinowi -

szczecinie jego zarostu, zapachowi jego oddechu, kończynom śliskim od potu w czasie energicznych, coraz bardziej pomysłowych pieszczot. Colin również i to stylizował. Był zwierzęciem i stylistą. Zmienił ją, stawała się dla niego różnymi stworzeniami. Bywała węgorzem ślizgającym się po nim aluzyjnie, przy czym sama się zdumiewała i zachwycała swoim bezkrotnym wygimnastykowaniem. Bywała dla niego chłopcem gwałtownie się wzdrygającym i przewrotnym. Och, i czymś jeszcze i jeszcze. We dwoje sunęli w takie przygody w ciemnościach; nazajutrz rano rumieniła się na myśl o tym. Naturalnie wspominała Buffy'ego, ale uważała, że nielojalnością byłoby porównywać - rozpamiętywać wysiłki Buffy'ego nieraz bezowocne, rozdrażnienie i przechwałki, dowcipy nagle wywołujące jej chichot, to koleżeństwo i od czasu do czasu wspólny sukces. Raptowne oziębienie, kiedy zaczynało go rwać w krzyżu. Ona teraz jest inną kobietą, odurzona seksem, uśmiecha się do sklepikarzy. Może była taka w pierwszych latach swego małżeństwa, tego jednak nie chciała sobie przypomnieć. Życie z Buffym w dużym, od dawna nie remontowanym mieszkaniu - to przeszłość. Z wolna przyzwyczaiła się do innego mężczyzny. Tryb życia i domowe nawyki Colina stawały się swojskie. Stosując się do nich, już nie myślała, że się stosuje, robiła to odruchowo - zupełnie tak jakby przeniosła się do Francji i nauczyła się prowadzić samochód po prawej stronie jezdni.

Ale w mieszkaniu nadal było ciasno. Dlatego lubiła wychodzić na śniadanie. Poza tym lubiła u Bertaux tę atmosferę kontynentalną. Buffy ją tam wprowadził. Mnóstwo opowiadał o Soho, wiosce w dawnych dobrych czasach, o cyganerii i w ogóle o aktorach i ich pocziwych dziewczynach. Sama jednak w Soho nie spotykała nikogo ze znajomych. Witało ją tylko machanie puszkami Triple X z słońki zlikwidowanego butiku. Siedzący tam rzędem mężczyźni pokrzykiwali do niej, kiedy przechodziła.

Zwykle jadała śniadania samotnie. Colin albo wstawał wcześniej, żeby pójść na zajęcia, albo spał do południa, nieprzytomny jak nastolatek, wkopany twarzą w poduszkę i z ramionami skrzyżowanymi, całymi w prążki po jej paznokciach.

Dzisiaj też kupiła zwykłą stertę gazet, weszła do Bertaux i usiadła. Jak większość dziennikarek, czytała gazety piorunem i potem nigdy nie pamiętała z nich ani słowa.

Właśnie maczała *croissant* w kawie, kiedy usłyszała pytanie:

- Przepraszam, czy pani Penny Buffery?

- Penny Warren, dla ścisłości - odrzekła. Buffy ostatnio powiedział kwaśno, że nie rozumie, dlaczego wszystkie jego eks z takim nieprzyzwoitym pośpiechem zaraz po rozstaniu odrzuciły jego nazwisko i wróciły do swoich nazwisk panieńskich. Wyjaśniła mu, że jeśli chodzi o nią, to dała się poznać właśnie pod panieńskim nazwiskiem jako dziennikarka. A co do tamtych, no, która by nie odrzuciła Buffery, mając po temu możliwość. „To bardzo stare nazwisko hugonockie - powiedział - znakomite”. Kłamstwo, rzecz jasna.

- Mogę się przysiąc?

- Oczywiście. Proszę.

Była to młoda topielica o twarzy w kształcie serca i zdziwionych gęstych brwiach wymagających skubania. Dosyć ładna, tylko, o Boże, te ciuchy. Straszna anodyna. Taki wypełzły puszysty sweter wkłada się wtedy, gdy się śpiewa w chórze kościelnym na prowincji. Jej cera wprost woła o mocne kolory.

- To nadzwyczajne, że widzę panią tutaj - powiedziała topielica. - Pani jest tą dziennikarką, prawda?

Penny przytaknęła skromnie.

- Ojej, cudownie. Czytałam, pani rozumie, mnóstwo artykułów i różnych rzeczy.

- Później Penny miała się zastanowić, skąd to stworzenie nie znające nazwiska Warren wiedziało, że ona jest dziennikarką. I jeszcze później, o wiele później miała zrozumieć, że ich spotkanie nie było przypadkowe. Na razie jednak śmiesznie gładko przełykała pochlebstwa.

- Pani pisze rzeczywiście wspaniale.

- Miło mi. - Roześmiała się. - Czytelniczki prawdopodobnie pamiętają moje felietony lepiej niż ja.

- Mogłaby pani dać jakieś rady?

Spojrzała na dziewczynę. Wypchane ramiona zrównoważyłyby tę szyję, przydałoby fasonu *la gamine*.

- To znaczy rady, jak pisać.

- Chyba mi pani nie powie, że chce zostać dziennikarką.

- Chcę. - Dziewczyna przytaknęła.

Wygląda na nastolatkę, ale zapewne ma powyżej dwudziestu lat. Coś w niej jest bez daty, bez stylu, coś, co sprawia, że wydaje się młodziutka i ... - Penny poszukała słowa. Niewinna. - Trochę potrwało odnalezienie tego określenia, bo od dawna nie spotkała osoby, do której mogłoby pasować. Jakaż słodycz! Poczula ciepły przypływ serdeczności macierzyńskiej, nowość!

- Jesteś tego pewna, moje dziecko? - zapytała. - Karl Kraus stwierdził: *dziennikarze piszą dlatego, że nie mają nic do powiedzenia, a nie mają nic do powiedzenia dlatego, że piszą.*

- Czy to prawda?

- Nigdy nie miałam czasu, żeby to rozpatrywać. - Roześmiała się znowu.

- Rzecz w tym, że pewnie wierzysz we wszystko, co czytasz w gazetach.

- Kiedyś wierzyłam. Teraz nie wiem, w co wierzę.

- Acha! Pierwszy warunek kwalifikujący na dziennikarkę. Dobry początek.

- Jak to?

- Masz wiarę do dyspozycji. A trzeba wierzyć w to, co się pisze. To tak jak mężczyzna szepczący kobiecie bzdury, dopóki jest z nią w łóżku. Pisanie felietonu jest aktem uwodzenia.

Dziewczyna wyraźnie się zgorszyła.

- To strasznie cyniczne.

- Ja uważam, że raczej mobilizujące. Nadal chcesz być dziennikarką?

Przytaknęła. Patrzyła na nią z jakimś żarliwym skupieniem, które jej sprawiało przyjemność. Jak gdyby pożerała wzrokiem każdy szczegół jej wyglądu.

W kurtce Kenzo elegancka Penny czuła się wobec tej młodej adeptki wyczelowaną, doświadczoną kobietą światową.

Rozmawiały przez jakiś czas. Penny opowiadała o początkach swojego dziennikarstwa. Dziewczyna tak odświeżająco, tak bardzo interesuje się tym zawodem. Ponadto wydaje się posłuszna. Co za szczęśliwy traf, natknąć się na taką! Czy może to szczęśliwy traf dla niej!

Gestem wzywając kelnerkę, żeby zapłacić, Penny zapytała:

- Chcesz zacząć od razu? Dostać pracę zleconą ode mnie?

\*

Penny zabrała Celeste do mieszkania, już dowiedziała się jej imienia i nazwiska. Celeste była w spodniach od dresu i różowych trampkach, ojoj! Jak prezenterka Telewizji dla Dzieci na Wesołej Wycieczce. Trzeba tę małą doprowadzić do porządku. Penny czuła się jak matka biorąca córkę za rękę. Macierzyństwo było jeszcze jedną z tych spraw, na które nie miała czasu, zbyt zajęta samym pisaniem o nich.

- Zaczęłam od rubryki „Grosik za pomysł”. Czytałaś to kiedy? Jest w „Moim”.

- W „Moim”?

- „Mój” to magazyn. Czytasz go?

- Och, tak - odpowiedziała Celeste. - Tak, oczywiście.

Z pewnością wyglądała na typową czytelniczkę „Mojego”. Z tej właśnie grupy społeczno-ekonomicznej „Mój” był umiarkowanie poczytnym tygodnikiem dla kobiet, mającym współzawodniczyć z „Najlepszym”, z „Pogawędką”. Przepisy, plotki o gwiazdach i gwiazdorch i broń Boże nic dłuższego niż półtora cala szpalty. „Grosik za pomysł” okazał się złotym jabłkiem, bo Penny w tej rubryce musiała tylko komentować ich porady: *Żeby powiększyć ilość potrawy, należy dołączyć do duszonego mięsa makaron z puszki i będziemy mieć kolację rodzinną po włosku.* Czy też to, co wprawiało Buffy'ego w największy zachwyt: *żeby mokry beton bardziej się poddawał, dodaj przy mieszaniu trochę płynu do zmywania statków.* Za taki przepis czytelniczka otrzymała przekaz pocztowy na pięć funtów, a Penny musiała tylko napisać: *Doskonały pomysł pani B z Boulton! Albo: Zgadzam się, ale żeby to było niskokaloryczne, proponowałabym w zastępstwie jogurt.* *Buffy oczywiście dopatrywał się w tym wszystkim hysterii*

*i sam wymyślał świetne przepisy, na przykład: Czy zastanawiamy się co zrobić z naszymi zużytymi przeponami? Spróbujmy zrobić z nich poręczne poduszki i klękajmy na nich przy pracy w ogródku!*

Weszły po schodach na górę. Penny otworzyła drzwi mieszkania.

- Pomyślałam sobie, że warto pobudzić w czytelniczkach pomysłowość. Recycling teraz w modzie, chociaż to strasznie ciumciowate, prawda? Więc przyszło mi na myśl, że niech one przysyłają swoje propozycje, a Colin i ja zrobimy z tego książkę, *Stylowe przestosoowanie do powtórnego użytku*, coś w tym guście. Colin będzie fotografował. On jest superfoto- grafem.

- Przystosowanie? Czego?

- Wszystkiego.

- To znaczy jakich rzeczy?

- Niepotrzebnych. - Penny parsknęła śmiechem. - Jak eks-mężowie. Już ja to wiem. Sto nowych zastosowań eks-męża. Połóż go na podłodze, nie będzie wiało. Postaw go na czworakach, świetny stolik przy łóżku.

Celeste wybałuszyła oczy.

- Naprawdę?

- Przecież żartuję. - Penny znów się roześmiała. - Nie, chodzi o takie rzeczy jak uprawa avocado w twoim starym fordzie Escort na przykład - poprowadziła Celeste do sypialni. - Rozumiesz, prosiłam czytelniczki o pomysły i one przysyłały. Dosłownie w tym toniemy. - Drzwi były zatarasowane stertą paczek. - Nie możemy się ruszać, Colin się piekli. Masz gdzieś u siebie trochę miejsca?

Celeste przytaknęła.

- Mieszkam na Kilburn.

- No, chyba ktoś tam musi mieszkać. - Penny zawahała się. Spojrzała jej w oczy. - Chcesz mieć u mnie pracę?

- To znaczy co?

- Wzięłabyś to wszystko do siebie i podzieliła na kategorie. Ja ci zapłacę, rzecz jasna.

Celeste wpatrywała się w Penny. Powoli skinęła głową.

- Więc załatwione. - Penny uścisnęła jej rękę, małą i zdumiewająco zimną. Co za ulga! Bo tę książkę trzeba wydać szybko. Tyle zleceń jej

uciekło, odkąd wyszło na jaw, że podrabia reportaże z podróży, a potrzebowała pieniędzy. Poza tym to uciecha, pracować z Colinem. Tylko że praca, która się zaczęła jako niewątpliwe wyciskanie gotówki z powietrza, raptownie się zmieniła w powód tarć między nimi przez te cholerne paczki wszędzie co krok w mieszkaniu.

- Zamówię ci taksówkę. Możesz zabrać to wszystko teraz?

Już podniosła słuchawkę telefonu, kiedy Celeste odchrząknęła i zapytała: - Jaki był pani eks-mąż?

Skąd ta dziewczyna wie, że ona ma eks? Ach, pewnie wywnioskowała z jej żartu o spożytkowaniu eks-mężów.

Penny usiadła.

- Właściwie to ja go raczej lubię. Russell mu na imię. Colin mówi, że to rozpity stary oszust, ale Colin plecie trzy po trzy. On zarabia na życie tym, że wstrzykuje piwo w płyn do zmywania naczyń tak, że na tej reklamie wszystko się pieni.

- Jaki jest?

- Colin?

- Pani eks-mąż.

- A dlaczego to ciebie, na Boga, interesuje?

- Interesuje, po prostu.

Ten akcent ze środkowych hrabstw. Jeneresuje. Pod swoją delikatną urodą ta dziewczyna ma w sobie jakąś szaloną bezpośredniość. Może one wszystkie w tej głuszy gdzieś tam są takie otwarte, pełne ciekawości. Jej, Penny, koleżanki nigdy nie były ciekawe niczego poza tym, o czym miały coś napisać. Takie szczere zainteresowanie dosyć Penny pochlebilo.

- Opowiem ci jego najukochańszą scenę filmową. To film Truffanta, wiesz, kto to Truffant?

Celeste potrząsnęła głową, co miało znaczyć, że nie wie.

- No w każdym razie baby sitter przychodzi wieczorem do pewnego mieszkania. Młoda, bardzo ładna. Otwiera jej mężczyzna w średnim wieku, wita ją i wprowadza. Nic nie świadczy o tym, że ma wyjść i zostawić pod jej opieką dziecko, którego nawet jej nie pokazuje. Więc w końcu ona pyta:



gdzie jest to maleństwo? A on z uśmiechem odpowiada: *C'est moi*. Oto cały Buffy.

Celeste także już usiadła. Na stylowym krześle. Słuchała chciwie. Dziwne stworzenie patrzące prosto w oczy. Penny zaczynało to się podobać. Colin nigdy nie pytał o Buffy'ego, albo zbyt boleśnie zazdrosny o jej przeszłość, albo zgoła nie zainteresowany. Miała nadzieję, rzecz jasna, że zazdrosny, ale żywiła swoje podejrzenia. Przyjemnie mieć teraz tak pilną słuchaczkę. Brakowało Penny chaotycznych, niefrasobliwych rozmów z poprzedniego życia.

Usadowiła się na kanapie, wspominając, jak poznała Buffy'ego. Stało się to w samolocie z Los Angeles. Po przeprowadzeniu w L.A. wywiadu z gwiazdą filmową, szczególnie zidiociałą, tęskniła do Anglii. Ironia nie dociera do Kalifornijczyków na skróty, myślała. I właśnie wtedy zjawił się ten błyskotliwy kolos, który ją rozśmieszył.

- On jest starszy ode mnie - powiedziała. - Nasza pierwsza randka była wyprawą do optyka po mocniejsze okulary dla niego. - Przypomniała sobie kolację potem i zaproszenie, żeby wypróbowała Materac Zapewniający Zdrowy Wypoczynek. Ten sposób uwodzenia był tak niezwykły, że dała się uwieść. Nastąpiło przeżycie całkiem erotyczne w przytulnych warunkach. - Zdawało mi się, że starszy, więc mądrzejszy, no, no. Tylko dlatego, że on widział pierwsze wersje wielu filmów. Czy nawet grał w niektórych, o ile się orientuję. Obracał się w innym świecie niż ja. Między innymi to mnie pociągało. Miał przeszłość przez duże P.

- Jaką przeszłość?

- Jak każdy z nich. Inaczej mówiąc, mnóstwo bałaganu. Mieszkał w nieopisanym wprost chlewie, dopóki ja się nie zjawiłam. Kiedy pierwszy raz poszłam z nim do łóżka, znalazłam grzanekę.

- W łóżku?

Przytaknęła.

- I to z marmoladą. Niechlujny leń. Straszny nedorajda... i z tym swoim paleniem i piciem. W jego pokoleniu wszyscy palili i pili, tylko że on nie przestał. Kiedyś odegrał Ericha von Stroheima w roli kamerdynera w *Pożądaniu* z Gretą Garbo. Widziałaś ten film?

- Nie.

- Ja też nie, wtedy. No, pokazał mi, jak Erich von Ten Tam zagrał to, prawie się nie ruszając... samo tylko drganie nadgarstka, błysk w oczach. Później sapał, myślałby kto, że po biegu na olimpiadzie.

- Pani go kochała?

Penny zawahała się.

- Chyba tak - powiedziała z uśmiechem. - Kobiety go lubią, bo interesuje się kobiecymi sprawami. Plotkuje. Siedzi i opowiada o ludziach. Buffy mówił, że dla niego ideał życia to mieszkać w burdelu, być niejako maskotką jak Toulouse Lautrec, tyle że większą, i patrzeć, jak te dziewczyny się stroją, słyszeć, jak trajkoczą o swoich klientach. Albo chciał być subiektem u Harveya Nicholasa, w dziale bielizny. Z lubością wymyślał sobie różne scenariusze.

Jej matka uwielbiała Buffy'ego. I nadal go uwielbia. Uważa, że ona ma źle w głowie, bo jak można od kogoś takiego odejść. No, ale nie mieszkała z nim, prawda? Nie holowała go z knajpy

czwartej po południu, nie mówiła kłamstw przez telefon rozwścieczonym producentom, nie potykała się o tego okropnego psa, w dodatku leżącego na dywan.

- On miał obrzydliwe małe psisko jak chodząca peruka.

1 strasznie prowadził samochód: wił się po całej jezdni, o zmierzchu zaczynał świecić w oczy wszystkim kierowcom z przeciwka, wojowniczy drań, a sam jechał bez świateł. Typowe. Albo chciał im zaświecić, a tylko włączał spryskiwacze przedniej szyby.

- Rzuciła go pani, bo nie był dobrym kierowcą?

- Nie, nie. Rzuciłam go, bo zakochałam się w Colinie.

- Jak to się stało?

Penny spojrzała. Dziewczyna pochylała się ku niej, blada na tle czarnego skórzanego oparcia krzesła.

- Teraz rozumiem, dlaczego chcesz zostać dziennikarką. Dziwne, nie wyglądałaś mi na ciekawską.

- Ojej, przepraszam. Pani się gniewa?

Penny potrząsnęła głową.

- Mieliśmy domek w Suffolk. Jeszcze mamy, chociaż teraz jest wystawiony na sprzedaż. Tak czy owak, dobudowałam tam cieplarnię, właściwie za reportaż. Zawsze to zły omen, budowanie cieplarni.

- Dlaczego?

- Bo to jest jakieś przemieszczenie. Stanowczo uważam, że adwokaci rozwodowi powinni wchodzić w spółki z budowniczymi cieplarni. - Umilkła. Czy wymyśliła to sama, czy przeczytała gdzieś? W każdym razie, dobry temat. Dałoby się rozciągnąć do ośmiuset słów? - No, dobudowałam... cieplarnia pierwsza klasa, stolarz Pierś, także pierwsza klasa. Więc Colin przyjechał, żeby to sfotografować. Pociąg fizyczny od pierwszego wejrzenia.

- Sadiła pani marchew?

Penny oniemiała. Jakiś seksualny eufemizm? Celeste wyjaśniła.

- To znaczy... to znaczy czy miała pani ogród warzywny?

Penny przytaknęła.

- To całe kopanie spadało na mnie, rzecz jasna. Buffy się wykręcał swoim krzyżem. - Uśmiechnęła się. - Kiedy zobaczyliśmy ten film *Batman*, człowiek-nietoperz, wymyślił sobie nazwę. Już jest gotów do śmiałego wyczynu, muzyka gra darada de, a on raptem jęczy, łapie się za krzyż „Człowiek Niedopieszcz!” - Śmiała się teraz. - W każdym razie, tylko ja pracowałam w ogrodzie, a on oczywiście zasługę przypisywał sobie. Chyba święcie wierzył, że sam robi to wszystko. Ma bezgraniczną zdolność do oszukiwania siebie.

- Naprawdę?

- Bezgraniczną. Nie ma rzeczy, której by sobie nie potrafił wmówić. Jest aktorem, rozumiesz. Zapomniałam ci o tym powiedzieć. Aktorzy są jeszcze gorsi niż dziennikarze. Muszą kłamać i wierzyć w swoje kłamstwa. Tak zarabiają na utrzymanie. Tylko że frrr!... forsa ulatuje. W ich przypadku w powietrze. Nawet nie w opakowanie ryby z frytkami.

- Mówi pani, że on kłamie? - Celeste się zachłysnęła, - Mogę prosić o szklanek wody?

- Rzeczywiście jesteś blada. - Penny zerwała się i weszła do kuchni. Otworzyła lodówkę, popatrzyła na butelki z wodą mineralną. - Gazowana,

nie gazowana, podwójnie nie gazowana, podwójnie - podwójnie nie gazowana z cytryną? - zawołała z kuchni.

- Słucham.

- Czy po prostu woda z kranu?

Dała Celeste szklanek wody. Dziewczynie ręce się trzęsły. Może ona ma jakiś uraz? Muszę sobie przesłać memo, żeby ją zapytać, pomyślała. Była w takim właśnie nastroju - filuternym.

Podjechała taksówka i zniosły te paczki na dół. Pożegnały się. Penny wróciła do mieszkania.

To sprawiło opowiadanie o Buffym. Z jednej strony czuła głęboką ulgę na myśl, że już nie ma go w jej życiu - od dzieciństwa za nic nie dziękowała Bogu tak żarliwie. Z drugiej strony bardzo jej go brakowało. Przewrotność, prawda?

Siedziała na łóżku - tego japońskiego materaca ostatecznie się pozbyli. Patrząc na dywan, rozległy teraz bez paczek, wspomniała pewne popołudnie latem, kiedy jeszcze była zameżna. Kochała się z Colinem na jakimś polu i nagle parsknęła śmiechem. „O co chodzi?” - zapytał Colin zbity z tropu. A jej po prostu się przypomniało, co Buffy mówił o takich właśnie polach rzepaku: „pachną jak owulujące gerbille”. Tego nie mogła Colinowi powiedzieć, więc po prostu odpowiedziała: „Jestem taka szczęśliwa”, co było prawdą. Tak się tylko składało, że uszczęśliwili ją jednocześnie dwaj mężczyźni - jeden fizycznie, drugi intelektualnie.

Zdrada małżeńska. Aspekt pozytywny. Mogłaby o tym napisać. Wkrótce, być może.

Teraz to zbyt bolesne.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

---

Czy to nie pana wczoraj słyszałem w telewizji? - zapytał doktor Wootley. - Poznałem ten głos.

Buffy leżał w gabinecie lekarskim w Hans Crescent. Poddawał się badaniu prostaty. Leżał skulony na boku, wpatrując się w tapetę - imitację tkaniny, czując łechtający palec Wootleya. Uczucie niegodne ze wszech miar, ale też i nie przykre.

- Powiedziałem żonie: to on. Reklamował pan coś tam... nie napinać się, proszę. Tak lepiej. Czego zalety pan wychwalał tym razem?

- Sucharków Przypiekanych.

- Ja nigdy nie pamiętam, o czym to. Ciekawe, czy w ogóle ktoś pamięta, żeby to kupić. - Palec wsunął się głębiej.

- Jak? - zapytał Buffy.

- Powiększony, owszem. Ale nienadzwyczajnie.

Buffy już sprecyzował swoje trudności przy oddawaniu moczu - to określenie wydawało mu się niejasno biblijne i lubił go używać w rozmowach z lekarzami. Ostatnio cały ów proces, rozrzut niczym z kartacza trwał tak długo, że kiedy się kończył, właściwie nadchodziła pora, żeby znów się zaczął. May West oświadczyła: „lubię mężczyzn, którzy się nie śpieszą”. Ale powolne tempo takiej czynności śmieszny.

- No i to gnicie.

- Co? - Buffy zdrewniał.

- Gnicie, nie? Od wilgoci, te sprawy.

- Co? Gdzie?

- Zawsze problem w starych <sup>85</sup>budynkach. Wilgoć, gnicie.

Przez chwilę Buffy myślał, że słyszy szkaradną metaforę. Co facet usiłuje mu przekazać? Po chwili zrozumiał.

- Ach, tak - powiedział. - Mówi pan o tej reklamie Dania Barowe Odporne na Wilgoć i Substancje Gnilne.

- Trzeba trzymać wilki daleko od domu. Powiedziałem żonie: z tym głosem nasz pan Buffery może sprzedawać tabletki odchudzające Somalijczykom.

Buffy zaczął znów oddychać normalnie. Nie po raz pierwszy zastanowił się, dlaczego prywatni konsultanci mają taki ciężki dowcip. Im kosztowniejsi, tym gorzej z ich poczuciem humoru. I wyraźnie są zadowoleni z siebie, te ich połyskliwe oblicza nad muszkami. Nic dziwnego, właściwie. Czy człowiek może takiego usadzić, kiedy ma usta napchane watą albo leży bezlitośnie okładany po stosie pacierzowym pięściami? Czy może przerwać tę zgoła niezabawną gadaninę, za którą płaci własnym ciałem niejako? Buffy nabrał już gruntownego doświadczenia, jeśli chodzi o lekarzy - jego serce, jego zęby, jego dziąsła, jego wodociąg. Akurat wtedy, gdy się myśli, że to załatwione, inna część starego cielska raptem doskwiera. Wszystkie nieruchomości wystawione na sprzedaż znał dokładnie z ogłoszeń w „Country Life”, które czytał zdenerwowany w poczekalniach lekarskich od Knightsbridge aż do Wigmore Street. Nawet wiedział, kto z kim się żeni wśród najwyżej urodzonych.

- W tej chwili nie ma potrzeby rozwijać akcji - orzekł doktor Wootley - ale proszę znów się pokazać za pół roku.

- Jaką akcję ma pan doktor na myśli?

- Rzeczywiście pan chce, żebym ją panu opisał szczegółowo?

- Och, nie, nie - powiedział Buffy prędko.

Palec się wycofał; gumowa rękawiczka plasnęła przy zdejmowaniu z ręki.

- Hemoroidy w porządku? - zapytał Buffy.

- Idealnym. Nic panu zanadto nie dolega, naprawdę, staruszkę. To tylko przypadłości, jakich można się spodziewać...

- W moim wieku, wiem, wiem.

Buffy zapłacił recepcjonistce okazałym czekiem i wyszedł w blask słońca. Na ulicy czekały jaguary z włączonymi silnikami. Był zarówno pełen ulgi, jak mętnie rozczarowany tym, że w gruncie rzeczy nic mu nie jest. Zwyczajnie starość go ograbia.

Szedł ulicą. Niezupełnie to ściśle, że człowiek się starzeje. Nie takie to proste. Człowiek tylko coraz bardziej się irytuje, spotykając się ze zjawiskami, których celem jest sprawiać kłopot i frustrować. Na przykład, ten niemożliwie zalepiony plastik na kanapce od Marksa i Spencera; wydawanie książek coraz mniejszym drukiem. Te raptowne przejścia w radiowym programie trzecim, kiedy człowiek już słucha czegoś, a to ni stąd ni zowąd się zmienia w muzykę organów. Prawdopodobnie zmieniało się i w dawnych czasach, ale nie tak regularnie i triumfalnie. Czy innych też drażnią takie rzeczy, czy on jest w tym odosobniony? No, teraz, kiedy płaci się za coś banknotem dwudziestofuntowym, ekspedientka podnosi ten banknot pod światło, ogląda długo i niezycyliwie. Czy on, Buffy, wygląda podejrzanie? Końca chyba nie ma tym małym zniewagom, których człowiekowi nie szczędzi dzisiejszy świat. Te płyty chodnika, na przykład, żeby było o co się potykać. No i wczoraj. Poszedł do pobliskiej składnicy szkła - późno, ale z entuzjazmem nawrócił się na sprzedawanie pustych butelek - i kiedy patrząc spode łba, jak facet obok starannie wkłada zielone butelki w ten czysty pojemnik, wrzucał swoje niedbale, nagle poczuł pod rękawem zimną strużkę wina. Całą rękę miał mokrą. Kto by pomyślał, że w butelkach tyle wina zostaje? Zwłaszcza w jego butelkach.

Irytowałby się tak, nawet gdyby nie spotykał się z Celeste, ale ona sprawia, że wszystko widać w ostrzejszym świetle. Czuł się niewiarygodnie staro i zarazem dzięki niej niewiarygodnie młodo. Jedno i drugie równocześnie. Serce podskakuje, zapiera dech możliwość odnowy, bardzo odmładzająca. Świat jaśnieje odrodzony, bo oglądany jej świeżymi, młodymi oczami. Cudowna perspektywa dla starego silnika z kaszlem dającego się znowu włączyć. Jak gdyby on był starym Hispano-Suizą prawie zardzewiałym, prawie zbutwiałym w jakimś garażu, Celeste zdjęła plandekę, wypolerowała go i patrzcie, podziwiajcie. Ryknął, wrócił do życia. Jest tak dobrze - ona, szeroko otwierając oczy, słucha anegdot, które dawno już ludzi znudziły. Tak dobrze! A jednak sama jej młodość mu urąga. Tydzień temu zabrał ją do Covent Garden, żeby posłuchać *Cosi*, jakże ona skakała po schodach, gibka, bezmyślna wprost źrebięco. Jakże czuł się sędziwy, kiedy u szczytu schodów czekała na niego, człapiącego powoli. A

już pytaniem, co to jest Pospolite Ruszenie, pchnęła go, samotny przeżytek, w zamierzchną Historię.

Uświadamiał sobie w tym wszystkim aspekt: sędziwy *bon-viveur* z młodziutką podopieczną. Ludzie myślą albo że jest zboczonym starym szczęściarzem, albo że oprowadza po mieście wpatrzoną w niego siostrzenicę. Ale rzeczywiście nic jeszcze się nie stało. Znają się zaledwie od dwóch tygodni. Całowali się, ona głaskała go po brodzie, on przesuwiał dłonie po jej rękach jędrnych - och, jej naskórek! Taki gładki i elastyczny! Cóż, kiedy wyslizgiwała się z jego objęć jak piskorz i mówiła, że musi już wrócić do domu. Chociaż rozplomieniony - mężczyzna z krwi i kości, ostatecznie - w głębi duszy oddychał z ulgą. Czyż mógłby się porównać z tymi młodymi, których ona na pewno знаła? (Nie zdobyłby się na to, by ją o to zapytać), Oczywiście posiadał bogactwo doświadczenia, ma za sobą małżeństwa i wiele, wiele romansów. Podejrzywał jednak, że to się już nie liczy. Jego stare ciało nie jest tym, czym było; zresztą może ci młodzi obecnie robią wszystko inaczej. Dzięki Penny i wielu godzinom lektury w poczekalniach lekarskich był *au courant* spraw opisywanych w kobiecych czasopismach i aż za dobrze wiedział, że obecne wymagania seksualne młodych kobiet są ... no, wysokie. Ten ich wigor, te piskliwe urągliwe okrzyki bojowe! To nagłośnione wściekle prawo do wielokrotnych orgazmów osiągniętych metodami coraz bardziej gimnastycznymi. Czy one nie słyszały o przepuklinie?

Celeste nie taka, oczywiście. Nie czytuje „Cosmopolitan”. To jeden z jej powabów. Ale nadal widział plusy w układzie *a la* Dante-i-Beatrice, w tęsknotach nie spełnionych. Możliwości przecież są tak nieskończone jak system słoneczny, są bez granic i nic nie ściągnie człowieka na ziemię. Nie mając wytkniętego celu, nie potrzebuje się uwieńczenia, a uwieńczeń w jego życiu było aż nadto. Do licha, tak! Sfuszerowanych, szpetnych, pijackich - całe noce na karuzeli wzajemnego obwiniania się i bolesnych prawd, kiedy uczestniczkom też brak energii, żeby zatrzymać ten mechanizm i zejść z karuzeli. Wiele przemawia za spokojnym celibatem i podręcznym kufrem Horlicks. Buffy wiedział, kiedy osiągnął punkt zwrotny. Stało się to rzeczywiście rok temu wtedy, gdy zabrał Penny na musical *Chandra nocą*.



Na scenę wyszła przepyszna czarna dziewczyna w jedwabnej bieliznie brzoskwiniowej, a on szepnął do żony: „Nie moglibyśmy z czegoś takiego mieć zasłon w saloniku?”.

Szedł chodnikiem Knightsbridge. Susami mijały go dziewczyny arystokratyczne jak sztamowe róże. Paniom załatwiającym sprawunki towarzyszyły maleńkie pieski. W tej okolicy można było przelotnie zobaczyć nawet ów rzadki zagrożony okaz - kobietę w futrze. Nieraz uważał tę ulicę za swój duchowy dom. Też mógłby nie parać się pracą, mieszkać na Montague Square i w porze obiadowej kupować *objets d'art*, gdyby nie był okaleczony alimentami.

Wyglądające dostatnio pary z Kontynentu zatrzymywały się przed wystawami Jaegera. Mężczyźni w skórzanych trenczach, kobiety z włosami jak wypolerowany metal i w butach z cholewami od Gucciego, wyraźnie rozpieszczone i bezlitosne. Z pewnością mają romanse na boku. Skąd Francuzi biorą taką zręczność w sprawach sercowych? Radzą z tym sobie jak ze swoim trawieniem. Jego, Buffy'ego, życie w porównaniu z życiem Francuzów wydaje się taką gmatwaniną - Pobojowisko Flodden w porównaniu z ich ogrodami w Wersalu.

Z drugiej strony, on żył pełnią bogatego życia, szczęśliwy drań! Tak można na to popatrzeć. Fakt, że małżeństwo się kończy, czy oznacza, że było nieudane? Ostatecznie samo życie się kończy w tym czy innym momencie. I czy dlatego musi być klęską?

W takim właśnie refleksyjnym nastroju, zwykłym po wizycie u doktora, Buffy wstąpił do pseudomahoniowego baru gdzieś przy Beauchamp Place na whisky słodową. Nie opodal siedzieli dwaj prawnicy.

- . .nieduże pole manewru, ale masz tych Japońców dla siebie - mówił jeden z nich.

Buffy potrafił wyczuć adwokata z daleka. Znał ich już tyłu. Ci dwaj oczywiście mają mniej więcej po dwanaście lat, to jednak normalne teraz. Przypomniał sobie, jak w sądzie rozwodowym poradził młodziutkiemu adwokatowi Jacquetty, żeby przed rozprawą zrobił siusiu. Żadne z nich dwojga się nie roześmiało, cóż kiedy Jacquetta nie została pobłogosławiona poczuciem humoru.

Adwokaci, agencje wynajmu mieszkań, pracownicy przedsiębiorstw przeprowadzkowych - jak dobrze w ciągu tych lat on ich poznał, jakim solidnym był ich klientem! Dyrekcja Pickfor- da nawet przysłała mu raz życzenia na Gwiazdkę.

Wypił jeszcze jedną Glenfiddich. Chciał kupić Celeste jakiś prezent... coś szalonego u Harrodsa. Rano dostał pokaźną tantiemę, czuł się więc bardzo zamożny. Dziwne - od czasu do czasu zarabia sporo pieniędzy, zwykle za coś, czego nie mógł sobie przypomnieć, ale te pieniądze nie trzymają się go długo. Wszystkie żony ubolewały nad tym, że on gra w totalizatora. „To takie głupie” - mówiły. „Nie samo stawianie jest głupie - odpowiadał - tylko przegrywanie!”

Wyszedł z baru. Już zmierzchało. Szybko ściemnia się późną jesienią. Minął jakieś Obuwie i z czułością pomyślało Celeste ciężko pracującej w różowym kitlu z nylonu. Kiedy ją pozna bliżej, porwie ją z tego sklepu, jeżeli ona mu pozwoli. Strategii jeszcze nie obmyślił, bo rzeczywiście nie wiedział, o co jej chodzi. Mówiła o sobie bardzo mało. Co prawda, on też nie mówił jej dużo o swoim życiu, chociaż wypytywała go dosyć często o Penny. Jej zainteresowanie bardziej niż serdeczność budziło nadzieję.

Cóż za przygoda, zaczynać znowu! Nowa kobieta, nowe życie. Poczul przyływ optymizmu i energii. Taki przyływ, że oblał to jeszcze jedną małą whisky w knajpie po drugiej stronie ulicy. Będzie mógł słuchać jej dziejów. Znów nauczy się na pamięć imion krewnych, znów dowie się przeżyć z dzieciństwa, żałując, że nie był ich świadkiem z pozycji muchy na ścianie. I usłyszy, że ojciec nigdy należycie nie okazywał jej uczucia - to mówiła każda, którą kiedykolwiek znał. I dzięki jej pochodzeniu zaznajomi się z jakimś zakątkiem Anglii dotychczas choćby z nazwy mu nie znanym, ale odtąd już mającym być ciepłym światelkiem na mapie - nawet wówczas, gdy więź się rozerwała, owe miejscowości zachowywały spatynowane znaczenie. Pierwsze rowery, pierwsze staniki. Ogromnie lubił słuchać o tym. Z udreką w sercu dowiadywał się o pierwszym pod-

pałaniu się do chłopca z sąsiedztwa i z jeszcze większą udręką o pierwszym romansie z mężczyzną, przy którym może kiedyś, nieświadom tego, siedział w autobusie.

Jakże tajemnicze są te najazdy na przeszłość! Za pośrednictwem kobiet wkraczał w koziółkujące po wzgórzu dzieciństwo pod latarnią morską w Brecon i w zasobne chłodne domostwo w Leamington Spa. Lekcje historii najczulszego rodzaju. Nagromadzenie ich było w rezultacie jak piosenka: *Stary MacDonald farmę miał* opowieść plus opowieść, *kwak-kwak* tu, *bee-bee* tam, coraz tego więcej z biegiem czasu, aż ta piosenka stała się tak długa, że nieomal nie do zapamiętania. Szczególnie po kilku znakomitych czystych słodowych.

Buffy przeszedł przez jezdnię z powrotem. Znow będzie młody, znow na chodzie, cokolwiek to znaczy. Jeżeli ona zechce, będzie nawet tańczył i zrobi z siebie kompletnego smarkacza. W zamian wprowadzi ją w błogi świat opery, jak wiedział ze swego doświadczenia, dość atrakcyjnej dla młodych. Chociaż nie wszystkie kobiety, które kochał, były tak surowo świeże jak Celeste, żadna z nich nie rozumiała, jaką radością jest Verdi, to miały ze sobą coś wspólnego. Ale dzięki niemu przynajmniej siedem kobiet obecnie na świecie potrafi zanucić całe kawałki z *Rigoletta*. Poniekąd osiągnięcie, czyż nie?

Zbliżając się do Harrodsa, Buffy w pół kroku się zatrzymał. Za jedną z szyb młody dekorator urządzał wystawę gwiazdkową: właśnie obciągał balową suknię na biuście manekina, odsłaniając rowek, i cofał się, żeby obejrzeć efekt. Wydawał się znajomy. Po chwili Buffy już wiedział. To przecież Quentin, jego syn.

\*

91

Jaki on wysoki! Wysoki i zgrabny! Ani jego ojciec, ani matka nie byli smukli, nawet w tamtych dawnych czasach, jakże cudowne jest to strzeliste drzewko, które wykiełkowało z ich łądzwi. Quentin był ubrany na czarno niczym tancerz w balecie nowoczesnym. Usta miał błyszczące od szpilek.

Buffy nie widywał go przez kilka ostatnich miesięcy. No, lat. Na nowo musiał się oswoić z niesamowitością imienia własnego syna. To Popsi

uparła się przy tym imieniu. Wydając go na świat - Buffy'ego przy tym nie było, ale w tamtych czasach wszyscy faceci przeczekiwali te wydarzenia w knajpach - podobno powiedziała: „to jest Quentin”. Na ogół wcale nie uparta, w tym jednym wypadku nie ustąpiła. „Po prostu Quentin”.

Buffy pomachał ręką, ale nie przyciągnął wzroku syna za szybę. Zawołałby: Quentin!, gdyby nagle nie poczuł skrepowania. Jakaś trzymająca się pod rękę para przystanęła zagapiona. Może oni myślą, że jest żalonym starym pedziem, który usiłuje zwrócić na siebie uwagę tego przystojnego dekoratora.

Quentin ukląkł, żeby przymocować tkaninę zszywaczem. Pełen wdzięku, pochłonięty tym, co robi. Ta wystawa obrazowała przeszłość Gwiazdek rodzinnych ^ dwa urodziwe manekiny - rodzice i trzy mniejsze manekinki w aksamitnych spodenkach otoczone pseudoantykami. Blaski elektrycznych świec padały na ich połyskliwe niewidome twarze. Wydawało się, że uśmieшки igrają na ich ustach, kiedy nie widząc patrzyły gdzieś za Buffy'ego. Ileż w nich poczucia wyższości! Buffy w mroku spróbował zebrać myśli. Kiedy ostatnio widział się z Quentinem, chłopak studiował w Akademii Sztuk Pięknych, czyż nie? Rzeczywiście to było aż tak dawno?

Znów pomachał ręką bez skutku. Postukał w szybę - też daremnie. Quentin z głową przechyloną przypinał wstążkę, odwrócony plecami do szyby. Hermetycznie zamknięty w tym akwarium. Pamiętasz mnie? - chciał zawołać Buffy. - Popatrz, to ja, twój ojciec!

Jeszcze parę osób przystanęło, żeby się na niego pogapić. Więc nie zawołał. Po jezdni przejeżdżały samochody. Stuknął w szybę ponownie, ale syn mówił coś bezgłośnie do swego kolegi, który przyniósł zwój czerwonej wstążki. Pokiwali do siebie głowami, roześmieli się i akurat przed następnym stuknięciem Quentin wsunął się za przepierzenie i zniknął.

Buffy wszedł do Harrodsa, przepychając się wśród kupujących. Ekspedientka, czy może nie ekspedientka, wycelowała w niego coś, spryskała go wonnością. Którędy trafić do tej wystawy od strony sklepu? Widział tylko szaliki i torebki, półki zastawione pachnidłami.

- Czym mogę służyć? - ktoś zapytał.

Buffy uderzył w stoisko galanterii skórzanej. Rękawiczki opadły wokół niego jak liście z drzewa. - Może to nie ta strona sklepu? Stracił orientację, jeśli chodzi o obieranie właściwego kierunku, nigdy, nawet w swoich najlepszych czasach, nie mógł na sobie polegać. Znalazł się nagle zaklinowany za ladą.

- Przepraszam pana. - Portier w liberii wziął go za ramię.

- Tylko szukam wyjścia - powiedział portierowi ze śmiechem.

I po chwili był już na ulicy, zatrzymał taksówkę. Usiadł na tylnym siedzeniu, do cna wyczerpany jechał do domu. Tak czy owak, myślał, mogę się zobaczyć z Quentinem w każdej chwili. Mogę wpaść do niego kiedyś wieczorem na kieliszek wina. Quentin mieszka w Leytonstone... czy może to Maxine tam mieszka, córka Popsi i tego, no jak mu tam,... Terry chyba... który się z Popsi po mnie ożenił? Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, aż w głowie kołowało. Właściwie ile ja mam dzieci? Jest Nyange, oczywiście, moja córka Nyange. Jej też nie widział spory kawał czasu, ona mieszka gdzieś tak samo nieszykownie, adres prawie tak fatalny jak Leytonstone. Tylko gdzie? Carmela, jej matka, kiedy przypadkiem spotkali się na Shaftesbury, podała mu adres, z pewnością zapisał sobie na kartce...

Zatrzymał taksówkę przed rogiem. Rozpaczliwie ni stąd ni zowąd zapragnął zobaczyć Celeste. Tylko zobaczyć, nawet nie po to, by porozmawiać. Tylko zobaczyć jej twarzyczkę.

Pośpieszył na drugą stronę ulicy do składu aptecznego. Zamknęli już, oczywiście, jak było do przewidzenia. Spojrzał na zegarek: dwadzieścia po szóstej. Zapatrzył się w cieniste wnętrze sklepu. Nic tam się nie poruszało. Tylko gapily się twarze kobiet z rzędów opakowań. Postukał w szybę. Nie miało to sensu, oczywiście, ale coś zrobić musiał. I taki to już dzień stukania w szyby wystawowe.

93

- Pan tam czegoś zapomniał? - Paddy, jeden z tych stałych gości „U Trzech Grajków”, też się zatrzymał przed składem aptecznym, żeby zajrzeć.

- Tak!

- Jejej, ale od pana zalatuje! Chuch jak z burdelu. - Paddy się' wzdrygnął.

- Pójdzie pan na jednego?

RS

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

---

W tamten wieczór, kiedy Buffy siedział „U Trzech Grajków”, Celeste na Frith Street naciskała dzwonek przy drzwiach Penny. Nie знаła numeru jej telefonu, więc miała pretekst, żeby ją odwiedzić. Bogu dzięki, Penny była w domu. Otworzyła drzwi, twarz miała oblepioną czymś żółtym.

- Nic mi nie jest. To Muł Nilu. Nie doprowadź mnie do śmiechu ani do płaczu, bo się odłuszczy. - Zabrała Celeste na górę. - Miły widok ta twoja czysta młoda buzia. Dzień dzisiaj po prostu upiorny.

Wyjęła z lodówki butelkę wina. Była w płaszczu kąpielowym frotte z wytłoczonym *Hotel Cipriani* na kieszeni.

- Wszystko nawaliło. Ekspres do kawy, fax.

- Może można by je przestrosować, żeby w nich rosła gorczyca i rzeżucha.

Roześmiała się i zaraz z przestachem złapała się za policzek.

- Nie!

- Rozpakowałam wczoraj wieczorem wszystkie paczki - zameldowała Celeste.

- Już? To cudownie.

- Niektóre z tych wynalazków są szalenie pomysłowe. Ktoś przysłał kaptur do prysznic z plastikowych majtek niemowlęcych pospinanych zszywaczem. Ale to będzie wymagało czasu, bo wiele jest dość skomplikowanych. Na przykład durszlak połączony ze starymi torbami z odkurzacza. Pojęcia nie mam, do czego to ma być.

- Jesteś aniołem. Już widzę, jak stajesz się nieodzowna.

Jakoś łatwiej było rozmawiać z tą kobietą teraz w żółtej masce. Wyglądała tak nieprzemakalnie. Celeste zdecydowała się od razu przystąpić do rzeczy.

i - Skoro już mowa o rośnięciu, czy pani i pani eks-mąż... jak on się nazywa?

- Buffy.

- Czy pani i Buffy macie dzieci?

- O Boże, nie! Z niego okropny ojciec.

Celeste przełknęła ślinę.

- Jak to? Czy był przedtem żonaty?

- Czy był przedtem żonaty! Przejęłam Buffy'ego tak, jakbym przejmowała dom pełen zasiedziałych lokatorów. - Penny napełniła winem dwa kieliszki. - I to dopominających się odszkodowania.

- Z kim był żonaty?

- Z upiorną znerwicowaną wydrą, niejaką Jacquetta. Mają dwóch synów, którzy przyjeżdżali w każdy weekend i demolowali mieszkanie. Musiałam, rzecz jasna, być dla nich dobra, żeby nie być złą macochą. Chyba nie najgorszy temat. Mnóstwo o tym napisałam.

- Jacy oni byli?

- Przez cały dzień rozpierali się przed telewizorem i oglądali *Sąsiadów*, aż dziwne, że nie nabrali akcentu austriackiego. Opakowania chrupek wszędzie, pod poduszkami jakieś lepkie okropności. Przy stole, rzecz jasna, zachowywali się jak pawiany. Kiedy byli mali, wszędzie wały się zabawki z wyczerpanymi bateriami. Buffy kupował im bardzo skomplikowane zestawy, z poczucia winy naturalnie, ale nigdy nie wiedział, co z czym i jak złożyć, beznadziejny pod tym względem, i w dodatku instrukcje były po tajwańsku czy po jakimś. Potem zaczęły się walkmany, wciąż nadeptywałam na słuchawki, a oni przez cały czas się nudzili i łazienkę zamieniali w bagno, ręczniki ociekały, aż trzeba było je wyżymać. Dorastający chłopcy! Leżeli na podłodze, te wielkie bose stopy, i tylko przełączali kanały TV tymi swoimi okropnymi zrogowaciałymi paluchami.

Umilkła, zdyszana. *Hotel Cipriani* podnosił się i opadał na jej piersi. Celeste nie odrywała od niej wzroku. Zadawanie jej pytań było jak pociąganie za lewarek automatu, z którego wylatuje mnóstwo pieniędzy. Ona nie potrafi być samotna, taka otrzaskana kobieta. Nie wie, jak to jest siedzieć w samotności i słuchać odgłosów z góry, gdzie szaleje Waxie.

Penny pociągnęła łyk wina.

- I podwędzili mi piankę do włosów, paznokcie czyścili moimi widelcami. - Przymrużyła oczy. - A telefon, oni wisieli przy telefonie, nikt się nie mógł dodzwonić, kiedy bez końca mamrotali monosylaby tym



straszonym akcentem ulicy. Mieszkają w Primrose Hill, wiesz. Tam dzieci wszystkich mają taki plebejski akcent.

- To jakaś biedna dzielnica?

Penny parsknęła śmiechem, płatki maseczki osunęły się jak gips.

- O Boże, nie! Rodzice tam są bogaci i liberalni. Dlatego dzieci takie straszne. Na szczęście, pod koniec oni nie przyjeżdżali często. Mówili, że za nudno. Chcieli przyjść z kolegami. Wsuwali się do nas gęsiego ci koledzy. Niemi, w czarnych płaszczach jak przedsiębiorcy pogrzebowi. Niemowy kompletne, czp^rne płaszcze do pięt. Zabierali się wszyscy do Camden Lock, masy ich jak jeden wielki czarny ceratowy deszczowiec. Naprawdę, Celia, odczuwam teraz taką ulgę.

- Celeste.

- Przepraszam, Celeste.

- Jaka ona była, jego eks żona?

- Ooo, Jacquetta. - Zaległo milczenie.

- Jacquetta.

- Skończyło się tym, że wyszła za swojego psycholarza. Pewnie żeby zaoszczędzić na jego rachunkach. Tak jak alkoholiczki wychodzą za swoich dostawców win. On jest nawet sławny... Leon Buckman. Słyszałaś o nim?

Celeste potrząsnęła głową.

- Wciąż w telewizji. Buffy, kiedy go poznałam, miał zepsuty telewizor. Bo kopnął ekran, kiedy Leon występował w jakimś programie o zniechęceniu seksualnym. - Penny zanurzyła palec w kieliszku, wyciągnęła z wina płatek maski i otarła palec o płaszcz kąpielowy. - Dziwne, teraz mogę o niej mówić. Ona już jest niczym. To tak, jakbym patrzyła na fotografię Cliffa Richardsa.

- Wygląda jak Cliff Richards?

- Nie, nie. Po prostu przed laty, kiedy byłam młoda, dostawałam gęsiej skórki, tak obłądnie go pragnęłam, a teraz on to tylko jeden z pomniejszych bliźnich z teatralnym makijażem. Nie do uwierzenia jak te uczucia umarły, a były takie płomienne w tamtym czasie.

- To znaczy, zazdrość?

Penny przytaknęła.

- Byłaś kiedy zazdrosna?

Celeste otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Penny na odpowiedź nie czekała. Już nabrała rozpędu. Mówiła gorączkowo, jakby po raz pierwszy od dawna miała do kogo mówić.

- Przejeżdżałam koło jej domu.

- Na Primrose Hill?

- Właśnie. Stary dom Buffy'ego, w którym mieszkali razem i w którym ona nadal mieszka. Zaglądałam do jej samochodu, jeżeli stał przed domem, patrzyłam, co leży za tylną szybą. Ogryzki jabłek, broszurki propagujące holizm. Cokolwiek leżało, nawet rzeczy jej dzieciaków, było jakoś naładowane elektrycznością, aż słabłam. Pewnie myślisz, że jestem niemądra...

- Nie, naprawdę nie...

- Nigdy o tym nikomu nie mówiłam. Dziwne, co? Patrzyłam na ten dom i wyobrażałam sobie, jak oni tam żyli. Sypialnia na drugim piętrze. Patrzyłam na to okno i usiłowałam wyliczyć, ile razy oni tam mogli się kochać. Setki? Tysiące? Przez siedem lat, trzysta sześćdziesiąt sześć dni i nocy w roku. Powiedzmy, przeciętnie dwa razy na tydzień...

- W sumie siedemset dwadzieścia osiem razy.

- Ale powiedzmy, że przez pierwsze dwa lata robili to częściej. Powiedzmy, pięć razy na tydzień, przez pierwsze trzy miesiące...

- W sumie sześćdziesiąt razy.

- Do licha! - Penny się skrzywiła. - I powiedzmy, trzy razy na tydzień przez następne półtora roku.

- Dwieście szesnaście - obliczyła Celeste. - I plus tamte sześćdziesiąt to w sumie dwieście siedemdziesiąt sześć razy przez dwa lata.

- Hej, szybko liczysz! - Penny spojrzała na nią z podziwem.

- Geniusz matematyczny. Jesteś zaskakująca. - Roześmiała się.

- Gdybyś znała Buffy'ego, bardzo by cię to śmieszyło, ale ja wtedy byłam w nim zakochana, rozumiesz. Myślałam wtedy: może ją o wiele bardziej kochał, może ona jakaś cudowna w łóżku. Zastanawiałam się, czy

on nas porównuje, i jakie ona ma ciało. - Urwała. - Strasznie to głupie. Dla ciebie nic ciekawego.

- Bardzo ciekawe. Proszę mówić dalej. Nigdy pani jej nie widziała?

- Och, widziałam. Nieraz. Kiedy odwoziłam tych chłopców z powrotem. Do licha, ależ mam używanie. Dobrze, że Colina nie ma. - Wychyliła kieliszek do dna. - Zwykle też nie piję.

- Jak ona wyglądała?

- Raczej piękna, rą}iszę przyznać. Nie chciałam tego przyznawać, rzecz jasna. Chociaż dziwnie dodawało to Buffy'emij blasku. To, że przedtem miał piękną żonę. Ona była koścista i uduchowiona. Włosy gęste, kręjące się, taka grzywa, kiedy te moje zawsze były proste. Figury raczej nie widziałam, bo nakładała na siebie tyle warstw, malarskie ciuchy, szale jak pajęczyna. Ale wyobrażałam sobie jej figurę. Zastanawiałam się, czy ma uda smuklejsze niż moje! I czy jest c ia ś n i e j s z a , wiesz, dzięki swoim *t'ai chi*.

- Co to takiego?

- Chińska sztuka wojenna. Wyrabia giętkość ciała i spokój ducha. Strasznie modne w latach siedemdziesiątych. - Napelniła znowu kieliszki.

Celeste, oszołomiona, usiłowała chłonać wszystko, co Penny mówi, ale zbyt wartko płynął ten potok słów. Teraz odłuszczały się większe kawałki opakowania jej twarzy, już widać było cerę.

- O wiele bardziej, rzecz jasna, dręczyłam się w domku.

- W tej posiadłości w Suffolk? Z tą marchwią?

Penny przytaknęła.

- Tam zostały jej wszystkie resztki, a ja musiałam żyć z nimi. Rośliny, które zasadziła w ogrodzie, wciąż mi ją przypominały. Drzew i krzewów nie mogłam wyrwać. Raz próbowałam, ale korzenie wrosły za głęboko. - Westchnęła. - I firanki, które wybierała razem z Buffym. Rzeczy, które kupowali na aukcjach, kiedy chyba byli szczęśliwi, czy też tak szczęśliwi, jak to jest możliwe z taką krową zapatrzoną w siebie jak ona. Urządziłam tam wszystko inaczej, rzecz jasna... Napisałam artykuł o unowocześnianiu mojego drugiego domu, więc roboty mi wykonali za darmo. Nawet kazałam

opróżnić dół kloaczny. Powiedziałam Buffy'emu: „Nie chcę odchodów żadnej dawnej żony”.

Siedziały przez chwilę w milczeniu. Z ulicy poniżej okien dolatywały klaksony samochodów na zakorkowanej jezdni. Pod podłogą ludzie pewnie wcinali makaron. Wszyscy pracowicie spędzali wieczór poza domem. Celeste starała się podzielać siłą woli na tego nieznanego Colina, żeby jeszcze nie wrócił stamtąd, gdziekolwiek jest.

- Wszystko, co znalazłam w kredensach i szufladach, wyrzuciłam, rzecz jasna - powiedziała Penny. - Spinki do włosów, pudełka Tampaxu, jej zakurzone stare paczki indyjskiej fasoli. Kasety z jej niechlujnymi adnotacjami. Joan Baez, słowo daję!

- Kto to jest?

- Ckliwa piosenkarka ludowa. Typowe dla Jacquetty. Za młoda jesteś, żeby znać Joan Baez. - Umilkła, wspominając. - I muszelki z wakacji rodzinnych i stare espadrille jeszcze z piaskiem w środku. I fotografie, rzecz jasna. To było najgorsze.

Celeste przytaknęła.

- Wiem.

- Któregoś dnia, kiedy Buffy wyjechał, znalazłam jej zdjęcie, jak opalała się na trawniku. Spaliłam je. I następnego dnia rozkopałam trawnik, posadziłam tam warzywa, żeby się jej pozbyć.

- I marchew?

- Później kazałam dobudować cieplarnię. Końcowy egzorcyzm. Wykadzenie. Bóg wie co. Ale wtedy ona już, i tak utraciła swoją moc, bo ja się w Buffym odkochałam. - Penny wstała raptownie. - Do licha, szkoda, że nie notujesz. Muszę to wszystko zapisać, dopóki pamiętam.

- Dlaczego?

Nie słuchała.

- Sally przeszła do „Nowej Kobiety” - mruknęła, sięgając po długopis. - Czy może do „Dziennika Kobiety”? Jej się podobał mój felieton o zbytecznym penisie. Pociąć go na wstążki, rzecz jasna, tylko że... - Chwyciła notatnik. - Zawsze jest Louise, coś mi przecież winna po tym rwetesie, kiedy napisała o menopauzie... - Urwała. - Niech to diabli, przecież

ją zwolnili. - Łuszcząca się maska patrzyła w zamyśleniu gdzieś poprzez Celeste. - „Opcje” może mi przyjąć. Podałam im tyle nazwisk do tej ankiety „jak utraciłam dziewictwo”... - Po- stuknęła się długopisem po zębach.

Celeste wstała.

- Czy ja mam robić to dalej?

- Co?

- To z tym ponownym użyciem.

- Oczywiście, złotko. Jeszcze trochę przyszło dziś rano. Posłałam ci przez gońca.

Celeste skierowała się do drzwi. Jak gdyby stała na huśtawce, podłoga kołysała się lekko z boku na bok.

- No to do widzenia.

- Zaczekaj. - Penny zniknęła i wróciła z kurtką. Weź. Saint Laurent.

- Nie mogłabym...

- W porządku. Nic mnie nie kosztowała. Robiliśmy zdjęcia z rewii mody. O wiele lepiej wygląda na młodej dziewczynie. - Sama rzeczywiście wyglądała w ten wieczór bardzo staro. Jak pomnik z popękaną twarzą.

- Czy na pewno?

Włożyła kurtkę na Celeste.

- Wypchane ramiona. Wiedziałam, że będzie ei w niej dobrze. Ciuch wystrzałowiy.

\*

Celeste zdołała wsiąść do autobusu. Drzwi z sykiem zamknęły się za nią. Czepiając się słupka, usiadła. Myślała: co się ze mną dzieje? Jestem pijana i w kurtce jego eks-żony. Dowiaduję się rzeczy, których nigdy bym się nie domyśliła.

Siedzący obok mężczyzna pochylił się ku niej.

- Niech popatrzę na te cycuszki.

- Odwal się! - powiedziała głośno.

Wysiadł na następnym przystanku, a ona siedziała zarumieniona. Jak mogła to powiedzieć! W życiu swoim nie mówiła tak ordynarnie. Skąd się wzięły te słowa? Zachichotała i przyłożyła rękę do ust.

Potem szła przez Kilburn Hugh Road, mijając hałaśliwe irlandzkie puby i jaśniejące różowo zasłony Towarzystwa Sauny i Masażu. Była godzina dziewiąta. Oparty o latarnię członek ruchu Rastafari jadł obwisły trójkąt pizzy. Londyn teraz nie przerażał jej tak bardzo. Nauczyła się radzić sobie z Londynem. Zatrzymała się przed swoim domem, zaczęła szukać kluczy. Uczę się kłamać, pomyślała ze zdumieniem. No, uczę się taić prawdę. Uczę się pić Sancerre i nosić wystrzałowe kurtki.

W sieni potknęła się o dużą paczkę. Na paczce zobaczyła przyklepioną kartkę: *Czyje to? Waxie*. Wzięła paczkę do mieszkania i zapaliła światło. Ale nie rozpakowała tego ani nawet nie spojrzała na sterty przedmiotów ustawione na podłodze jak towar na jakiś obłądny handel starzyzną. Poszła prosto po książkę telefoniczną. Otworzyła na literze B.

W pewnym sensie wszystko stawało się coraz bardziej zawiłe. Ale i z tym można się uporać. Buckman, Leon. Znalazła adres na Primrose Hill i przez chwilę siedziała nieruchomo. Serce jej łomotało. Popatrzyła na swoją kurtkę, szafirową, skrojoną pięknie, nawet ona to widziała. Nigdy dotąd nie była tak świetnie ubrana. Tam w domu sąsiedzi by jej nie poznali. Myśleliby, że przyjechała, żeby dokonać jakichś pomiarów czy czegoś.

Skubnęła palcami usztywnione wyłogi. To właśnie robią aktorzy. Wystroją się i zaraz stają się kimś innym. Buffy to umie; na tym polega jego praca.

Nagle strasznie zachciało jej się jeść. Przygotowała sobie parę grzanek, podgrzała pieczony bób i wszystko spałaszowała. Siedząc patrzyła na swoją nową jaźń powieszoną starannie na oparciu krzesła. Czuła się silna i zaradna. Nieśmiała? Nie, już nie. Już nigdy.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

---

W gabinecie konsultacyjnym w suterenie Leon słuchał zwierzeń pacjentki. Na zewnątrz dzieci wrzeszczały na Primrose Hill. Wewnątrz świstał przeciągły oddech.

- Już jestem gotowa porozmawiać o moim ojcu - oznajmiła pacjentka.

Leon przytaknął.

- Co pani chce mi powiedzieć?

- Trzymałam to pogrzebane, pan rozumie, przez te wszystkie lata. To, co on mi zrobił. Wiem, że mi zrobił, bo nie mogę sobie tego przypomnieć. - Pacjentka zaciągnęła się dymem papierosa. - Pogrzebałam to. Teraz wiem. Zadawałam sama sobie kłam, bo to jest takie bolesne...

Siedziała w obłokach dymu. No i znów, pomyślał Leon. Zastanowił się, czy nadejdzie czas, kiedy jego dwie dorosłe córki w Ameryce ni stąd ni zowąd oskarżą go, że wykorzystywał je seksualnie, i potraktują jego protesty jako jeszcze jeden dowód winy. Wszystkie obecnie na siłę to walcują. Nawet Jacquetta próbowała. Powiedziała mu, że jej ojciec, jękający się, łagodny naukowiec, pieścił ją w kąpielni, kiedy nie patrzyła. Przypomniało mu to lata sześćdziesiąte: właściwie każda, którą wtedy znał, powoływała się na swoje kontakty seksualne z Jimmym Hendrixem.

- ...brał mnie na kolana, pan rozumie, i czytał mi *Kubusia Puchatka*. Czytał mi co wieczór. Powinnam była się zorientować, że to jest zapowiedź niebezpieczeństwa. Chciał mnie mieć przy sobie, chciał władzy nade mną...

Drzwi frontowe trzasnęły. Po suficie przesunęło się szuranie czegoś. Mają u siebie robotników budowlanych. On i Jacquetta. To znaczy on nie, Jacquetta ich ma. Wpadła na pomysł, żeby zbudować cieplarnię w ogrodzie. Daleki głos ryknął:

- Stavros! Gdzie są, kurwa, te dwa na trzy?

Pacjentka zapaliła następnego papierosa.

- Teraz, naturalnie, to rozumiem. Teraz, kiedy przychodzę tutaj. Cała moja postawa życiowa podyktowana jest tym, że czuję się ofiarą. Datuje się

to od tamtych czasów, kiedy siedziałam na kolanach ojca i on mnie obejmował, a potem zamykał książkę, przytulał mnie i całował... - Głos jej drżał.

Leon się trząsał. W pokoju hulał przeciąg. Czy ktoś zostawił drzwi od ogrodu otwarte?

Pacjentka się rozplakała.

- Ten uścisk. Teraz wiem, że to nie był uścisk. O nie, to był rodzaj gwałtu, potwierdzenie jego władzy nade mną, jego męskiej władzy, wykorzystywał moje zaufanie, zaufanie małej dziewczynki.

Leon podniósł wzrok. Do gabinetu wtargnął drażal w kombinezonie, bardzo zakurzony.

- Koleś, przepraszam. Tylko szukam gniazdka do przedłużacza.

\*

Leon nigdy się nie kłócił z Jacquetta; zawsze wszystko omawiał. Kiedy przyszedł z sutereny na obiad, Jacquetta zalewała wrzątkiem torebkę herbaty Ginseng. Podszedł do niej, pocałował ją w czoło.

- Koteczku, naprawdę musimy coś poradzić na te hałasy.

- Dajesz do zrozumienia, że ja muszę.

Z ogrodu dolatywały ryki radia i walenie młotków. Otworzył drzwiczki piecyka. Maria zadbała o gruborurkowy makaron dla niego. Boże, błogosław tę Portugalkę. Moja żona - pomyślał - zbyt uduchowiona, żeby zajmować się kuchnią. Zbyt uduchowiona, żeby płacić mandaty za parkowanie – dodał w myśli, bo zobaczył jeszcze dwa wśród poczty na stole. Włożył je do kieszeni i usiadł.

- Ci robotnicy korzystają z toalety dla pacjentów - powiedział. - Sedes wciąż otwarty i pływają w nim niedopałki.

- Wiedziałaś, że nie chcesz ciepłarni. Wiedziałaś, że w twoim przekonaniu to za duży koszt.

- Tego przecież nie mówię. - Swego czasu tylko zapytał, czy na pewno ciepłarnia jest jej potrzebna. A nie dawniej niż wczoraj przeczytał w gazecie, że ciepłarnia to sygnał ostrzegawczy świadczący o małżeńskim niedosycie. Na stronicy dla kobiet. Coś o spółkach adwokatów



rozwodowych z budowniczymi. Przeczytał to tylko dlatego, że było obok artykułu o orgazmie niefunkcjonalnym, jednej z jego specjalności.

- Leon, ty nie rozumiesz. Ty możesz się izolować w tej swojej, tej swojej... - Wskazała palcem podłogę, pod podłogą suterene. - W tej swojej wieży z kości słoniowej. Ja jestem kobietą. Mam dzieci. Raz po raz czegoś wymagają ode mnie, rozdrabniam się. Tylko daję, daję, daję. Tutaj - krągłym ruchem ręki wskazała kuchnię wokoło - tutaj czuję się jak w kojcu, Leonie, zamknięta. - Wskazała okno, zielone zbocze Primrose Hill. - Wśród betonowej dżungli, tych wszystkich ludzi. Po prostu muszę czasami być sobą. Muszę mieć miejsce, gdzie będę mogła przebywać intymnie z tym, co rośnie...

- Intymnie w cieplarni to niemożliwe. Taka jest zasada cieplarni. Szkło. Ze wszystkich stron widać.

Westchnęła. Po raz pierwszy zauważył nitki siwizny w jej włosach. Ściśle mówiąc, nie po raz pierwszy, za każdym jednak razem doznawał wstrząsu na nowo. Wciąż jeszcze ona jest piękną kobietą - sprężysta, drobnej budowy kostnej - ale nie ulega wątpliwości, że oboje się starzeją. Jemu grzywa zupełnie osiwiła, i to nagle, ledwie się pobrali. Dobrze przynajmniej, że zachował *charm* Normana Mailera, jedna z pacjentek ostatnio tak go określiła.

Jacquetta odwróciła się do niego, korale na niej się rozhuśtały. Była w garsonce z dżerseju w kolorze morwy - sam kupił jej tę garsonkę w firmie Monsoon. Po ślubie usiłował delikatnie stonować jej garderobę. Dla jej dobra, ale też dla swojego - przecież nie mógłby na Zjazd Psychiatrów w Sztokholmie zabrać żony wyglądającej jak pomarszczone jakieś dziecko-kwiat. Potem jednak się okazało, że ona nie ma zamiaru jeździć z nim na zjazdu. Nie dla niej rola przydatku. Czy też, ujmijmy to inaczej, rola żony-podpory.

- Wiem, że nie mamy poszczególnie istnieć tutaj - powiedziała. - Wiem, że nie mamy mieć poszczególnego życia. Kiedy byłam twoją pacjentką, nie mogłam znieść tego, że ty masz życie. Pamiętam, jak słyszałam radio za ścianą, ta twoja niewiarygodnie straszna żona słuchała „Archerów”.

- To nie ona. Ona nigdy nie słuchała „Archerów”. To nasza pomoc domowa. - Tamta żona była w istocie analityczką lokat na Wall Street, ale Jacquetta nie lubiła przypomnienia o tym. Nawet teraz, po dziewięciu latach, nigdy nie wymawia imienia jego eks. Ma imponującą zdolność oszukiwania siebie, coś, co ledwie zaczął z nią rozpracowywać, kiedy ich relacje lekarz duszy - pacjentka przerodziły się w więź osobistą. Położył się obok niej na leżance (właściwie na podłodze) i psychoanaliza przedwcześnie się skończyła.

Jacquetta ogryzała kawałek selera po swojemu, z roztargnieniem, jakby bardzo daleka od czynności tak przyziemnej jak jedzenie. Czasami, zależnie od nastroju, to mu się podobało. Kochał ją, o tym nie wątpił, ale z drugiej strony był człowiekiem nauki. Co to jest miłość? Spazm mięśniowy? Utwierdzenie siebie? Potrzeba światła w oknach, kiedy się wraca do domu po ciemku? Nie mógł tego poruszać z Jacquettą, bo zaraz się obrażała. Nad wyraz drażliwa. Płomienna, myślał z początku, *usposobienie artystyczne*, ale teraz myślał: drażliwa. Trudna, tak mówili inni. Pomimo wszystkich „pomimo” uważał jednak nadal, że jest godna miłości. Kontrowersyjna, ale godna miłości. Jeżeli po tym całym czasie wiedział, co to jest miłość.

Przeżył już niejedno małżeństwo, podobnie jak ona. Przynajmniej to ich łączyło. Zbliżało ich do siebie jak dzieci wojskowych wychowywane w różnych kolejno punktach zapalnych na świecie. Oczywiście on odczuwał szczyptę zazdrości, ale będąc prezydentem programu (kanał czwarty) na ten temat, ostatecznie odarł zazdrość z wszelkiego znaczenia nawet dla siebie. Chwilami jeszcze nieco go żenowało to, że mieszka w domu Jacquetty z jej poprzedniego małżeństwa i pracuje na samym dole niczym górnik, kiedy kopie w głębinach podświadomości, natrafiwszy na swoją żyłę złota. Ale gdzież lepsze usytuowanie niż w tej okolicy pełnej znerwicowanych żon i pieniędzy? Jacquetta zdołała dom zatrzymać bezlitośnie, a zarazem po swojemu, z roztargnieniem tak jakoś, jakby walka o wulgarną sprawę pieniędzy była nudą i poniżała wszystkich, w tym przypadku biedaka Buffy'ego. Tak to zrobiła jak ogryzała selery, niejasno odrzekając się odpowiedzialności za to, co robi. Jemu przypadła pozycja spekulanta, więc chociaż został wyrzucony kopniakiem przez poprzednią

żonę, która zaraz potem sprzedała jego dom i wróciła do Stanów - nie sprzymierzył się z Buffym w owym braterstwie my-mężczyźni-pospołu. Zresztą nie miał w sobie nic z barowego kumpla. Zawsze lepiej mu szło z kobietami. No i przecież sypiał z żoną Buffy'ego.

Wyskrobał resztki makaronu z talerza, postawił talerz na stercie w zlewozmywaku. Jacquetta stała przy oknie, wpatrzona w teren budowy cieplarni. Nie miała na nosie okularów, wciąż je gdzieś w domu gubiła. Poszukiwanie jej okularów było jedyną domową czynnością, w której brała udział cała rodzina.

Robotnicy nagle zniknęli tak, jak zwykle znikają tacy fachowcy. Może poszli na obiad, może na całe tygodnie. Skręcała kosmyk włosów na palcu. Albo rwała się do walki, albo po prostu czekała, żeby on wyszedł.

- Wiem, że India jest trudna - powiedziała - ale ty mógłbyś być bardziej pomocny.

- Jestem ogromnie do Indii przywiązany. Jestem ogromnie przywiązany do wszystkich twoich dzieci.

- Wściekasz się, kiedy ona korzysta z naszej łazienki.

- Tylko dlatego, że tam przesiaduje przez całe wieki.

- Jest niepewna swojego wyglądu. Więc jej się nie dziw.

- Nie dziwię się, ale wolałbym, żeby była niepewna w łazience chłopców.

- Nie może. W takim obrzydliwym bałaganie.

To fakt. Nawet Maria, perła służących, nie chce wchodzić do łazienki chłopców. Ostatnio nie chce wchodzić także do ich pokoi. W zeszłym tygodniu zignorowała wywieszkę *Prosimy o ciszę. Odbywa się egzamin*, którą Bruno ukradł w szkole i umieścił na swoich drzwiach, weszła i zastała go w łóżku z dziewczyną z pralni chemicznej.

- Ona szuka sobie mieszkania - powiedziała Jacquetta.

India się nie wyprowadzi, pomyślał Leon. Na pewno nie, jeżeli ma choć trochę oleju w głowie. Już niczyje dzieci się nie wyprowadzają. Rzeczywiście bardzo się przywiązał do Indii. Była owocem pierwszego małżeństwa Jacquetty z niejakim Alanem. Widział ich na bolesnych dla niego, ale wesołych zdjęciach z lat sześćdziesiątych - dwoje

hippisów w spodniach-dzwonach. Swoją córkę nazwali India, bo została poczęta w jakimś *ashram* niedaleko Bangalore. Nieraz się zastanawiał, czy trudności Indii nie wynikają w pewnej mierze z ciągłego przypominania jej o ogniu zmysłów, z którego powstała przed dwudziestu trzema laty. Wydaje się to, naj- łagodniej mówiąc, żenujące. Alan, jej ojciec, od dawna rozwija działalność w przemyśle tekstylnym.

- Nie chodzi o Indię - powiedział. - Chodzi o chłopców. Któryś z nich używa mojego komputera. Próbowałem wczoraj wyciągnąć dane... dane pacjentki, która miała przyjść... i zamiast tego miałem *Plusy i minusy polityki Bismarcka*.

Jacquetta pokręciła ramionami, jakby nękał ją komar. Właściwie nie słuchała.

Mówił dalej:

- Jak na milczków, którzy nigdy z nami nie rozmawiają, robią nadzwyczaj dużo hałasu. I musimy coś zrobić z tymi królikami.

- Tych królików nie możemy się pozbyć. Są i c h.

- Wcale ich nie interesują. Oni nawet nie wychodzą do ogrodu. Nigdy nie odsłaniają klatek. W ogóle o tych królikach zapomnieli.

- Przypomnieliby sobie, gdyby przepadły. Strasznie by się przejęli, wiem. Pamiętasz, co było z ich patyczakami?

- To z winy Buffy'ego - powiedział. - W każdym razie te patyczaki nie żyły już od lat. Były zmumifikowane. Wszyscy o nich zapomnieli.

- Chłopcom pozostał uraz, Leojiie! Omawiałam to z moją grupą. Nie mogłabym dopuścić, żeby znów coś takiego ich spotkało.

- Ale te króliki wciąż się rozmnażają, kochanie, i wydostają się z klatek. Tam jest pandemonium, odkąd ci budowłani przyszli. W zeszłym tygodniu jedna z moich pacjentek właśnie zaczęła po raz pierwszy się otwierać... a zabrało mi to parę miesięcy... właśnie zaczynała mówić... mówić swobodnie, kiedy przez okno wskoczył młody królik, przysiadł i mył sobie uszy.

Jacquetta wyglądała przez okno.

- Dobrze. Ale tej starej pa<sup>108</sup>ry nie możemy im odebrać. Nie możemy dzieciom z rozbitego domu. To byłoby zbyt symboliczne.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

---

Nocą temperatura spadła. Zamknął się las przy domku Lorny bezlistny już, zimowy. W koleinach woda zamarzała. Nic się nie poruszało; okolice były zamknięte. Pierwszy mróz zamyka też zmysły; niemożliwością jest wyobrazić sobie, że cokolwiek się zmieni. Ale Lorna, leżąc w łóżku, wiedziała o nadchodzącej zmianie. Przeczytała pismo zwędzone z ksero. Nie potrzebowała zasnąć, żeby mieć koszmar, bo koszmar już się zaczął na jawie. Mój las, mój potajemny las, powtarzała, jak oni mogą? Przewracała się z boku na bok, patrzyła w sufit. Jak oni mogą buldożerami zrównać go z ziemią, zmienić w Eksperyment Urlopowy?

Brendzie śniły się sukienki na urlop, przerzucanie stron katalogu. Nazajutrz nie pamiętała swoich snów. No, tyle zawsze jest do roboty. Nie ustawać, nie ustawać, nie ustawać!

Miles przy niej spał. Spirala zwiewnie opadł w jakieś miejsce, do którego ona nie mogła dotrzeć. Nikt nie mógł poza jego nieproszonymi gośćmi, co noc tak zdumiewającymi, a przecież zjawiającymi się nieuchronnie. Miles leżał uwięziony przez Brendę i spał uwolniony przez swoje sny. Na dworze buczały samochody, paliły się światła łukowe. Za rondem spało miasto Swindon.

Umarły dla świata, Miles śnił, czerpiąc z zapasów swojej przeszłości. Żadnej z osób występujących w tej opowieści nie znał, w ogóle nie wiedział o ich istnieniu, chociaż niewykluczone, że otarł się kiedyś ramieniem o kogoś, kto otarł się o którąś z nich; czy nawet sam kiedyś otarł się o którąś. Może samochód wiozący kogoś, kto kiedyś zalecał się do którejś z tych osób, właśnie teraz wjeżdżał na rondo tam, skąd światło przenikało przez zasłony w oknach na skuloną Brendę - światło płaskie i bez cienia.

Wysoko nad pomarańczową łuną Swindon, wysoko nad siedzibami ich wszystkich świecił księżyc. Otulał poświatą las przy domku Lorny, odbijał się w zamarzniętych kałużach. Pobielał kościec cieplarni Jacquetty, wygięty

jak zebra wieloryba na tle czarnego zmierzwionego ogrodu. Nigdzie nic nie jest bardziej tajemnicze niż ogród w Londynie. Ten otoczony skałami domów, w których lampy gasły jedna po drugiej, strzeże swoich wspomnień - o dzieciach Buffy'ego i dzieciach przed nimi, dzieciach dawno już postarzałych i zmarłych. W zoo za domami wilki wyły.

\*

Jacquetta miała sny niewiarygodnie żywe i pamiętne. Była z nich dumna jak matka ze zdumiewająco wysportowanego potomstwa i lubiła opowiadać je szczegółowo nazajutrz rano mężczyźnie, z którym w danym czasie mieszkała. Jej pierwszy mąż, Alan, przewracał wtedy oczami i mówił „Ho ho!”, ale on mówił „ho ho!” na wszystko. Niejaki Otton usiłował jej przerywać i opowiadać swoje sny. Buffy, już po pierwszych miesiącach małżeństwa, zaczął się niecierpliwić. „Niech to diabli, mylą mi się ci wszyscy. Zwolnij trochę. To jak jakaś cholerna skandynawska saga.” No, ale Buffy nigdy naprawdę jej nie rozumiał.

Leon, owszem. Leon rozumiał jej twórczą podświadomość, jej potrzeby i niepewność, jej wątle poczucie samej siebie. Rozumiał, że ona na drodze swoich, katastrofalnych zresztą, związków z mężczyznami usiłuje odnaleźć w sobie to dziecko, jakim jest, tę małą dziewczynkę zabiegającą o miłość zimnego, obojętnego ojca, który według wszelkiego prawdopodobieństwa nadużywał jej w przeszłości. Leon to wyjaśnił. Ona zawsze szukała uspokojenia u mężczyzn, wybierając ich bezbłędnie na własną szkodę. Musi rozbijać dawne układy z dzieciństwa. W grupie dyskusyjnej nazywa się to Pisanie Scenariusza Rodzinnego Na Nowo.

Kłopot z Leonem, jeśli w ogóle był jakiś, polegał na tym, że Leon rozumiał za dużo. Coś zupełnie innego niż dyskusowanie z grupą. Kiedyś miała romans z ginekologiem, do którego chodziła z powodu comiesięcznych boleści. Pomijając fakt, że okazał się jeszcze jednym nikczemnym sadystą, okropne było wrażenie, że on zna jej wdzięki lepiej niż ona sama. Czuła się obezwładniona, bezradna wobec jego zharmonizowania z jej organami. Co do Leona, nieraz jej się wydawało, że ten robi to głową.

Leon był cudowny, oczywiście. Był uprzejmym, utalentowanym kochankiem. Regularnie bywał w miejscowej sali gimnastycznej, więc w przeciwieństwie do niejednego mężczyzny, którego znała, nie zdegenerował się, nie zmienił w kloc nadwagi. To, że bardzo dużo zarabiał, nie miało dla niej znaczenia. Jej przecież nigdy nie zależało na posiadaniu, ale jego światowe sukcesy sprawiają mu satysfakcję, więc ją to cieszy, bo jest gotowa tylko dawać - hojna spod znaku Strzelca.

Niestety, Leon rozumiał wszystkich. Zawodowo. Nazywał siebie uzdolniaczem ślusarzem. Nie ofiarowywał ludziom kluczy. On uzdolniał ich do tego, by sami sobie klucze wykuwali i samodzielnie rozpracowywali kombinacje swoich zamków. Z okna na górze Jacquetta widziała czubki głów pacjentek, kiedy schodziły po schodkach do gabinetu konsultacyjnego w suterenie. W pięćdziesiąt minut później wychodziły, starsze, mądrzejsze, białowłose. Siwiznę niewątpliwie powodowało opadanie pyłu czy gipsu, zwykle kręcili się tam robotnicy już to coś remontując, już to coś budując. Tak czy inaczej, dla niej, wizualistki, te odchodzące białe głowy były symbolem.

Więc Leon rozumiał prawie za dużo. Czasami czuła się - wiedząc, że to śmieszne - jak bardzo utrudzona powieściopisarka, która żyje z kimś, kto umie napisać tę powieść lepiej niż ona. Tak dobrze Leon znał bohaterkę, jej wszystkie dziecięce urazy i wynikające z nich późniejsze postępowanie. Za to nie mogłaby się na niego gniewać, prawda? Zresztą sam Leon nigdy się nie gniewał. Łagodnie jej wyjaśniał, co ona myśli, a potem pytał:

- Uspokoilem cię?

Czasem wspominała swoje kłótnie z mężczyznami, rozrzewniona jak emerytowany matador, któremu brak trocin, zaduchu i krwi.

Nic dziwnego, że miewa takie przejmujące fantazje seksualne o swoich budowlanych - Grekach z bolesnym wzwodem i rumianych młodych londyńczykach - tacy niczego od niej by nie chcieli poza uległością jej niemłodego ciała, paliliby skręty i mówili o drużynach piłki nożnej, o jakich nigdy w życiu nie słyszała. I wcale by jej nie rozumieli. Kiedy patrzyła, jak oni w jej domu harują, aż piersi mają śliskie od potu, wszystko w niej miękło. To nieokrziesanie, ten wigor, te mięśnie grające pod skórą przy

podważaniu klepki posadzki. Wymyślała coraz to nowe ulepszenia w domu. Łazienki kazała zainstalować już trzy, projektowała czwartą - dla Indii.

Między innymi i to również omawiała ze swoją grupą. Spotykały się, ta grupa sześciu kobiet, nad sklepem wideo na Muswell Hill. Mogła tam rozmawiać o Leonie, o swoim pociągu do budowlanych, o czym tylko chciała. Nie było w tym nielojalności, bo Leon rozumiał, dlaczego ona tam się zwierza. Kiedy mu powiedziała, że grupa odgrywa psychodramat - każda z nich kolejno występuje w jego roli - nie poczuł się zagrożony, tylko się zainteresował. Zresztą coraz mniej miała sposobności do opowiadania mu o wszystkim, bo był zawsze bardzo zajęty.

Od czasu do czasu robiła coś wiedząc, że to jest krzyk, sposób domagania się uwagi, potrzeba wywołania w mężu jakiejś prymitywnej reakcji. Teraz właśnie dochodziła do siebie po krótkim, ale gorącym romansie z budowniczym cieplarni. Dysponował on kluczami do jednego z salonów wystawowych na Battersee, więc jeździli tam po godzinach. Salon był rozradowująco nie w j e j stylu - firanki z falbankami, makiety wnętrza na stołach. Uwolniona od wymagań swoich trojga dzieci, od tego ciągłego szarpania marionetkowych drutów jej życia, od pełnego zrozumienia ze strony Leona, czuła rozkoszne dreszcze. W makiemie kuchni były gipsowe owoce. Jak Hunca Muna w opowiadaniu Beatrix Patter zwiedzała bezprawnie dom dla lalek.

Zdarzały się też inne epizody, sporo epizodów rzeczywiście - na ogół z rozczarowanymi mężami znajomych, raz był to jej nauczyciel garncarstwa. Kiedy ze łzami się do tego przyznawała, Leon rozumiał. Zawsze rozumiał. Brał ją w objęcia. O romansie z budowniczym powiedział, że to zupełnie naturalne i że nam wszystkim są potrzebne prywatne makiety mieszkań w głowach, i że - co więcej - napisał rozprawę o tym i przeczytał ją na zjeździe dwóch tysięcy psychoterapeutów w Baden Baden.

Buffy, oczywiście, ryczałby i wygadywał, i upiłby się na umór. Inni mężczyźni, których znała, chyba by ją „zbili”, Leon jednak tylko pogłaskał ją po policzku i zaraz zszedł do sutereny, gdzie dyktował sekretarce swoją najnowszą książkę. Był autorem już kilku bestsellerów. *Grę w zrzucanie winy i jak my w to gramy* przełożono na dwanaście języków i dopiero co



wyszła jego ostatnia rewelacja - *Poczucie winy. Przewodnik dla użytkownika*. Chlubił się tymi swoimi książkami, mówiąc o nich „moje dzieciaczki” i będąc na ich punkcie prawie drażliwy. W zeszły poniedziałek, kiedy występował w programie „Początek Tygodnia”, a ona zajęta swymi medytacjami zapomniała mu to nagrać, omal rzeczywiście się nie rozgniewał.

Niejasno doznawała wrażenia, że i w dzisiejszy wieczór Leon ma wystąpić w telewizji. Za oknami był mróz. Widziała szarą parę dobywającą się z ust budowlanych, którzy mozolnie w ogrodzie ciągnęli tafle szkła owinięte brązowym papierem. Siedziała w swojej pracowni na górze - w swoim sanctum. Godziny jej pracy! Pracowała.

Siedziała przy biurku. Sęk w tym, że miała zbyt wiele różnych pomysłów. Właśnie ukończyła kurs pisania twórczego i zamierzała napisać cykl białych wierszy o porach roku w ich wiejskim domu - coś tak jakby współczesna *Księga Godzin* - i opatrzyć te wiersze ilustracjami. Cóż, kiedy jeździła do tego domu w stylu toskańskim tylko latem. Rozważała więc też od pewnego czasu inny pomysł, a mianowicie ekologiczne opowiadania dla dzieci oparte na *Tybetańskiej Księdze Zmarłych*, ale zasiąść do tego musiałyby w należyтым nastroju. Jeszcze inne pomysły powstały w związku z kursem aromaterapii. Snuł się także zamiar opisanie delfinów. Może trzeba by zapytać grupę, czy ona już jest predestynowana.

Usłyszała dzwonek do drzwi frontowych. Po chwili ciszy

- chyba nikogo oprócz niej nie było, żeby otworzyć - wyszła z pracowni, zeszła na dół. W przejściu przeczytała nalepkę na drzwiach pokoju Brunona: STÓJ!!! NIE WAŻ SIĘ RUSZAĆ TEGO WOZU. Jedna z tych nalepek samochodowych. Oni wciąż przynoszą coś skradzionego z ulicy - plastikowe pacholki drogowe, takie tam szkaradzieństwa - i nie wiedzą, co z tym zrobić. Dorastający chłopcy... nawet nie zaczynała ich rozumieć. Byli takim jakimś obcym gatunkiem, że czasami na kilka dni zapomniała o ich istnieniu.

Lawirując ominęła kładki budowlanych zwalone w hallu i otworzyła drzwi frontowe. Na progu stała biała młoda dziewczyna.

- Dzień dobry - powiedziała. - Ja w sprawie tych królików.

\*

Jacquetta, odległa myślami o całe miłe, przez długą chwilę musiała je zbierać.

- Tu jest ogłoszenie na zewnątrz - powiedziała dziewczyna.

- „Młode króliki. Za darmo w dobre ręce”. Właśnie przechodziłam, wie pani, i zobaczyłam. Kocham króliki.

- Ja też. To straszne, że nie możemy ich trzymać, ale mój mąż się uparł.

Sierota podrzucona na jej próg? Wyraźnie przemarznięta! Twarz woskowo biała, tylko te małe nozdrza różowe! Jacquetta wprowadziła tę dziewczynę do kuchni, gdzie stało biedactwo przy piecu, żeby ogrzać ręce. Rzeczywiście trzęsie się z zimna. Pod rozchylnym płaszczem dojrzała na łańcuszku złotą rybkę.

- Właśnie jest Rok Ryby - powiedziała a propos. - Przynajmniej tak mi się zdaje. Czy może Rok Małpy. Przelatują coraz szybciej. Te lata, kiedy się starzejemy. To przerażające.

Wprost przylepił się do niej wzrok tej dziewczyny. Aż się zastanowiła, czy nie ma kleksa farby na nosie. Zdjęła okulary i w kuchni wszystko się rozmazało. Włożyła je znowu. Jakie ciemne i błyszczące ta dziewczyna ma oczy! Nawiedzona.

I zbudowana zwiewnie jak baletnica, w dodatku. Cudownie byłoby to narysować.

Dziewczyna po chwili zaczęła się rozglądać po kuchni, jakby nigdy dotąd nie widziała takiej - no bo kredens pełny jej, Jacquetty, garnków i kalendarz wisi też nie byle jaki. Ubrana banalnie, a przecież ma w sobie jakąś malowniczość, jakieś stężenie - chyba dusza pokrewna.

- Czy mogę prosić o szklankę wody?

Może bliska zemdlenia. Jacquetta napełniła szklankę i podała. Ale szklanka wysunęła się dziewczynie z rozdygotanej ręki.

- Och, przepraszam.

Jacquetta podniosła szklankę z podłogi. Nie stłuczona dzięki warstwie kurzu pozostawionemu przez budowlanych.

- Ostatnia z kompletu, który kupiłam w Wenecji - powiedziała. - Pamiątka z jednej z moich podróży poślubnych właściwie.

- Z jednej z ...?

Nie zaraz Jacquetta sobie przypomniała, który to był mąż. Uwielbiała Wenecję, jeździła tam tyle już razy.

- Ach, tak. Z moim drugim mężem. - To był Russell. Przez cały czas nic, tylko jadł. W Wenecji! Nie jeździ się do Wenecji po to, żeby jeść! Jak mogła nie zdawać sobie wtedy sprawy, że wcale nie są dla siebie stworzeni!

- Jaki on był?

Niekonwencjonalne pytanie.

- Spod znaku Byka. Dla mnie beznadziejny.

Jacquetta włożyła pelerynę i obie zeszły po schodkach do ogrodu. Był mróz, zaczynało się ściemniać. Budowlani kończyli swoją dniówkę.

- Co za nudziarstwo - jęknęła Jacquetta patrząc na klatki królików. - Znowu się wydostały.

- Są tam gdzieś pod spodem - powiedział najstarszy z budowlanych. Chyba, tak jej się wydawało, miał na imię Paddy. Wskazał zamarznąłą ziemię. - Wyryły sobie norę.

- Co zrobimy?

- No, chłopaki! - zawołał - odkopmy je!

Ziemia była jednak za twarda. Któryś poradził, żeby zagotować wodę. Rada została przyjęta. Wylali na ziemię ten czajnik. Podniosła się para. Znow zaczęli kopać.

Ten imieniem Paddy powiedział:

- Wiecie, co tam mamy. Króliki na gorąco!

Jacquetta, otulona peleryną, wzdychała. Kiedy się ma dzieci, wszystko jest takie skomplikowane. Nawet pozbycie się ich zwierzątek okazuje się poważną operacją. I na pewno chłopcy narobią o to szumu, kiedy wrócą ze szkoły. Czasem żałowała, że nie może spakować swoich farb i pędzli i wyjechać na Goa czy gdzie inndziej, żeby po prostu b y ć. Podniosła wzrok w zaczerwienione niebo. Odgłos łopat wydawał się bardzo daleki.

- Stavros, wolnego! Żeby nie pokaleczyć tego draństwa!

Kochała taką przedwieczorną porę. Światło z kuchni, padając na zastrzały ciepłarni, przypomniało jej świątynię w Karnak. Była tam raz na widowisku *Son et Lumiere* z niejakim Austinem. Bardzo krótko Austin wydawał jej się tym, którego szukała przez całe życie, nieuleczalna romantyczka. Siedziała w egipskim półmroku, on obejmował ją ramieniem, a tu jak nie huknie głos Buffy'ego:

*Dawno temu, gdy Teby były u szczytu chwały, gdy bogowie byli ludźmi, i gdy Izis złośliwocka była ukochaną Ozyrysa...*

Ależ wstrząsu doznała! Tak ni stąd ni zowąd go usłyszeć! Jakże grubiańsko jego głos rozbił jej nastrój. Co jeszcze gorsze, była wtedy jego żoną.

*Rozwińmy zwoje Czasu, powędrujmy w przeszłość, przejdźmy znów drogami, które zbudował Ramzes i odbudowali Ptolemeusze...*

Gdybyż przedtem wiedziała, że on nagrał tę ścieżkę dźwiękową! Jakież nietakt z jego strony! Przez chwilę wtedy myślała, że specjalnie to uknuł, żeby zepsuć jej schadzkę wśród tych ruin.

- Jeden jest! Pani przytrzyma, pani Buckman.

Wepchnęli jej w ręce szamoczącego się królika. Drugi królik kicał w ciemność, któryś z budowlanych rzucił się za nim. W drzwiach konsultacyjnej sutereny ukazał się Leon, zaniepokojony tymi hałasami.

- Co się dzieje, na Boga?

Jacquetta jeszcze nie pamiętała, dlaczego to robią. Ale przypominała sobie, kiedy jej wzrok padł na dziewczynę. Jak widmo ta dziewczyna siedziała na schodkach szkieletu ciepłarni i tylko głową kręciła: to w stronę Leona, to w jej stronę. Jak gdyby króliki wcale jej nie interesowały.

- Dwa są! - wrzeszczał Paddy. - Jeden zwiewa!

- Ale tych dwóch dużych nie łapcie - powiedziała Jacquetta.

- To rodzice. Zostaną tutaj.

Popatrzyła znów na dziewczynę. Wiem, pomyślała, jest jak dziecko nie narodzone, bezpieczne w klatce z żeber wszechobejmującej matki. Namaluję to śmiało, farbami akrylowymi. Szamoczący się królik podrapał

ją po nadgarstkach, ale te zadrapania odkryła dopiero później. Teraz wszystko jej przesłaniało płomienne twórcze natchnienie.

\*

W końcu złapali trzy małe króliczki. Jacquetta i dziewczyna przeniosły je do kuchni i położyły na stole. Patrzyły, jak one się kiwają z wąsikami roziskrzonymi. Jak podnoszą się na tylnych łapkach i wachają miedziany lichtarz, siedzą-na „Independent” i myją łapkami pyszczki.

- Widzi pani, światło prześwituje im przez uszy! - wykrzyknęła Jacquetta. - Ta nerwacja żyłek! Prawda, że są piękne? To już koniec dzieciństwa moich chłopców, ostatnie zwierzątka mają odejść. Rzeczywiście trudno mi znieść fakt, że pani je zabiera.

- Jeszcze tu będą rodzice. Te duże.

- Ale czy to nie jest symboliczne? Młode odchodzą, zostaje smutna stara matka.

- Wszyscy musimy kiedyś odejść z domu. Ja odeszłam.

- Co pani może wiedzieć o utracie? - powiedziała Jacquetta.

- O wiele pani na to za młoda.

- Ależ nie.

Dziewczyna siedziała na krześle windsor i wpijała się w nią wzrokiem. Ma taki raptowny głos. Ze śmiesznym akcentem. I te uniesione gęste brwi, twarz w kształcie serca. W kuchni nic się nie poruszało poza tym, że wahadło starego zegara po Buffym kołysało się w prawo i w lewo, i na stole wierciły się króliki. Jeden z nich znalazł skórkę jabłka z obiadu i już ją ogryzał.

Budowlani z tupotem przedfilowali przez kuchnię w drodze na swój fajrant.

- Ddzenia! - wołali.

Potem z hallu dobiegło głośnie ich dowcipkowanie.

- Co u ciebie na obiad, Stavros?

- Cynaderki królicze. A co u ciebie, bracie?

- Moja pani upichci to, co najbardziej lubię.

- To się znaczy, co?

- Kotlety z królika z frytkami. Drzwi frontowe trzasnęły.
- Cieszę się, że pani przyszła dzisiaj - powiedziała Jacquetta.
- Ale pani nie rozumie doniosłości tego wydarzenia.
- Jak to? - zapytała dziewczyna.

- Dla mnie to punkt zwrotny. Takie chwile trzeba zaznaczać, zatwierdzać. - Dziewczyna słuchała pilnie. Miło. Czasami w grupie Jacquetta doznawała wrażenia, że one nie tyle jej słuchają, co czekają na swoją kolej, żeby mówić o sobie.

- Moje życie jest zaprzęgnięte w dzieci, pani rozumie. Dyktowane ich potrzebami.

- Ile pani ma?
- Czego?
- Dzieci.

Jacquetta musiała się zastanowić. To takie skomplikowane.

- Troje, zasadniczo.
- Zasadniczo? Jak to, zasadniczo?
- No, są te wszystkie pasierby.
- Ile?

- Och, mnóstwo. - Jacquetta popatrzyła na skórkę jabłka znikającą w przegubowym pyszczku królika. - Ale dziś zostaję uwolniona. Zaczynam proces oddzielania się, pani rozumie, powracania do samej siebie. Po tych wszystkich latach, kiedy byłam widzialna tylko przez pryzmat innych ludzi.

- Umilkła, po czym oznajmiła: - Teraz z całą pewnością będę mogła malować.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

---

Frontowe drzwi znów trzasnęły. Po chwili weszli do kuchni dwaj kilkunastoletni chłopcy, ubrani na czarno i z torbami szkolnymi.

- Kurewsko zimno na dworze - powiedział jeden z nich. - Nawaliło ogrzewanie globalne?

Celeste nie odważyła się im przyjrzeć. Przetupali przez kuchnię i otworzyli lodówkę.

- Pół cholernej puszki whiskas. Nic nie ma do żarcia w tym piekielnym domu. Nigdy nic nie ma do żarcia.

Synowie Buffy'ego. Teraz popatrzyła na nich. Jak dwie wrony, pochyleni wtykali głowy w lodówkę. Odwrócili się. Twarze mieli kredowo białe i pryszczate.

- Żadna z ciebie matka.

- Pracowałam - powiedziała Jacquetta.

- Och, czyżby? Ty nigdy nie pracujesz.

Jeden z nich miał tył głowy ogolony i pętle z łańcuszków w uchu tak połączone, że wyglądały jak ogrodzenie z ogniw. Drugi miał wielką, kołtuniastą, czarną czuprynę. Jak strach na wróble, pomyślała Celeste. Nie dopatrzyła się w nich podobieństwa do Buffy'ego, no ale nie знаła go, kiedy był młody. Chude długie ręce wyłaziły im z rękawów.

Jacquetta wskazała stół.

- Ta pani, przepraszam, nie wiem, jak pani się nazywa, weźmie wasze króliczki.

- Jakie króliczki?

- Wasze zwierzątka.

Popatrzyli na króliki, które teraz, dysząc, siedziały przytulone do siebie. Na gazecie „Independent” lśniła kałuża.

- Nie denerwujcie się - powiedziała Jacquetta.

- Ja się nie denerwuję - powiedział jeden z chłopców.

- Nie wiedziałem, że one się okróliczyły - powiedział drugi. Owrócił się do matki. - Daj mi forsy.

- Na co?

- Idę przekłuć sobie nos.

Starszy parsknął śmiechem - przerażającym, chrypliwym jak nawoływanie derkacza.

- Nikt już sobie nie przekłują nosa. Tylko ci z East Finchley.

- Tuaregowie przekłuwają - powiedziała matka.

- Mieszkają w East Finchley?

- W Afryce - pouczyła go. - To jest plemię. Czy może Nubijczycy. Niewiarygodnie posągowi i piękni.

- Tasmin Phillipot zaczęła nosić kółko w nosie - powiedział starszy. - Wygląda jak świnia.

Młodszy otworzył puszkę z pokrojonym grapefruitem. Jadł łyżką kuchenną.

- Moja klasowa pytała, dlaczego nie przyszedłeś na wywiadówkę.

- Na wywiadówkę? - zapytała Jacquetta.

- Nigdy nie przychodzisz. - Pogrzebał w torbie i spośród książek wyciągnął wilgotną rozpadającą się kartkę. - Tutaj jest przypomnienie.

- Tata nie był?

- Buffy? Rany koguta, nie! Myśmy mu nie powiedzieli. Ostatnim razem popijał z piersiówki. Zresztą on nigdy nie wie, jakich przedmiotów się uczymy. - Wsypał do puszek trochę płatków kukurydzianych i zamieszał. - Ty także nie wiesz.

- Ja wiem! - oświadczyła Jacquetta.

- Oboje jesteście beznadziejni. Ale to lepiej, że nie przyszedłeś. Znowu byłaby z tobą jakaś żalność.

- O czym ty mówisz?

Prychnął w płatki kukurydziane i wytarł nos rękawem.



- Miałaś na głowie tę opaskę nie-opaskę z cekinów. Wszyscy się na ciebie gapili. A potem powiedziałaś naszemu dyrowi, że ci się śnił erotycznie.

- Ja?

Spałaszował resztki płatków.

- Moja klasowa chciała, żebyś przyszła, tylko jeżeli przyprowadzisz Leona. Widziała go w telewizji, pali się do niego.

- Rzucił puszkę w kierunku pojemnika na śmieci otwieranego pedałem. - Jest żalosna.

Na kolana Celeste wskoczył brudny biały kot. Był zdumiewająco ciężki. Pogłaskała go. Pomrukiwał miarowo, jego pazury wbijały jej się w uda. Nie śmiała zepchnąć go z kolan, nie śmiała się poruszyć. Za ledwie godzinę temu stała drżąca przed tym domem, kremową fortecą, i patrzyła tak jak swego czasu Penny. *Kiedyś patrzyłam na ten dom i wyobrażałam sobie ich życie.* Potem zauważyła ogłoszenie: *Młode króliki za darmo w dobre ręce* i nacisnęła dzwonek. Popędliwie, tak właśnie. I tyle już się stało w takim tempie, w atmosferze takiej wariackiej intymności, że aż ją mdliło. Jakież to było łatwe! Czowała się jak włamywacz, który włamując się stwierdza, że drzwi nie są zamknięte. Wiele miała pytań do zadania, ale z drugiej strony nie chciała, żeby zwrócili na nią uwagę. Więc siedziała cicha niczym ukryta kamera w zatłoczonym sklepie.

Kiedy oni sobie dogryzali, rozglądała się. W tej ogromnej kuchni wisiało na ścianach mnóstwo obrazów abstrakcyjnych - jaskrawych, nachlapanych, jakby farby chlusnęły z garnka, w którym ktoś zbyt energicznie mieszał. I na każdej powierzchni stało albo leżało mnóstwo rzeczy. Zupełnie tu inaczej niż w jej schludnym domku w Melton Mowbray! Zastanowiła się, ile zmian zaszło w tej kuchni od czasów, kiedy mieszkał tu Buffy. No, ale nie знаła gustu Buffy'ego. Jeszcze nie była w jego mieszkaniu, nie dawała się zaprosić. Natłok wrażeń i myśli nagle ją zmógł. Gasła jak ruszt elektryczny pod zbyt wysokim napięciem. A właśnie padło pytanie chyba skierowane do niej:

- Tylko w czym się je weźmie?

Jacquetta uniosła brwi nad niebieską oprawą okularów. Na głowie miała chłopską chustkę, na szyi sznury i sznury koralu. Dopiero teraz Celeste jakoś odważyła się jej przyjrzeć. Luźna szata cała w zygzaki i długi czerwony blezer. Z tą obfitością koralu istna kapłanka.

- W czym? - zapytała głupio. Zapomniała pod jakim pretekstem się tu znalazła.

- Może w tym - powiedział jeden z chłopców. Wskazał pudło z tektury. - Przysłali w tym bujanie gości. Egzemplarze autorskie Leona.

- To nie jest bujanie gości - upomniała go Jacquetta zdawkowo.

Wsadzili króliki w tekturowe pudło. Na pudle była nalepka. *Poczucie winy. Przewodnik dla użytkownika, Leon Buckman, 8 egz.* Któryś z chłopców przyniósł taśmę do klejenia.

Właśnie przyklejali pokrywę, kiedy rozległ się dzwonek. Jacquetta poszła otworzyć. Wszedł jakiś czarny olbrzym.

- Samochód dla pana Buckmana - powiedział w hallu. -BBC.

W tej samej chwili zeszła ze schodów przysadzista dziewczyna, ziewając.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Leon ma być w TV - powiedziała Jacquetta. - Niech ktoś pójdzie i mu przypomni. On jest na dole. A ta pani bierze nasze króliki.

- Jedzie pan do White City? - zapytała ziewająca kierowcę. - Może pan mnie podwieźć? Wyrzucić po drodze? - Odwróciła się do Celeste. - Cześć! Jestem India.

Celeste powiedziała, że tylko zabiera króliki. India zapytała, czy samochodem. Celeste potrząsnęła głową.

- A w którą stronę? - zapytała India.

- Na Kilburn.

- Chcesz podjechać? On cię podrzuci. - India podniosła pudło. - Chodź - powiedziała. - Leon domuska swoją koafiurę i zaraz przyjdzie.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytała ją matka.

- Och, zwyczajnie, do koleżanki.

India z pudłem pod pachą wzięła jeden z płaszczy wiszących w hallu. Celeste odwróciła się, żeby powiedzieć do widzenia, ale Jacquetta była zajęta synami. Oni też wkładali płaszcze.

- Idziemy kołędować - powiedział starszy.

- Przecież jeszcze nie grudzień - powiedziała. - Zresztą nie umiecie śpiewać.

Parsknął tym swoim śmiechem derkacza.

- No właśnie. Tak się nas zleką, że będą dawać pieniądze.

India i Celeste wsiadły do limuzyny i czekały na Leona. Pudło z królikami położyły na przednim siedzeniu. Celeste nie miała pojęcia, co z nimi robi. Czuła się całkowicie bezradna, zdana na rozwój wypadków, nad którym straciła kontrolę. U jednej eks-żony, teraz u drugiej! Przychodziła z zimnego powietrza i siedziała w ich domach. Żadna z nich nie uznała tego za dziwne czy nachalne. Pojawiły się dzieci, pasierby. I króliki... co na Boga ona robi z tymi królikami? Otworzyła przeszłość Buffy'ego jak jakąś skomplikowaną grę na szachownicy, wyciągnęła kilka pionków, ale nikt jej nie przeczytał instrukcji do tej gry. Dziwnie ją to cieszyło.

- Dlaczego masz na imię India? - zapytała.

India wyjęła z torebki kartę.

- Proszę. - Karta była drukowana kursywą.

- Rozumiem - powiedziała Celeste, jeszcze raz czytając „Poczęta w Ashram w Bangalore”. - Do licha, bardzo egzotyczne.

- Tak mama uważa. Ja uważam, że cholernie wstydliwe.

- Więc kto jest twoim ojcem?

- Alan. Pracuje w Strasburgu. Rozmawia tylko ze swoim komputerem. - India prychnęła. - Ze mną się nie komunikuje. Nie jestem komputerem. - Wytarła nos. - Ojcowie! Kto by ich chciał mieć!

Alan. O kimś takim Celeste nie słyszała. Jak tu wkracza Buffy? Tego się nie zdąży zbadać. Leon przyjdzie lada chwila.

Siedziała, patrząc na fałdzisty kark kierowcy w czapce z daszkiem. Czuła się z Indią swojsko. Bo po pierwsze: India wyglądała mniej więcej na jej rówieśnicę, a po drugie: wydawała się jakoś nieszczęśliwie szczerą. Miała kwadratową twarz i tłustą cerę, nie odziedziczyła urody matki. Była w

welbianej czapce i czarnym męskim płaszczu. Płaszcz pachniał naftaliną. Paznokcie miała bardzo obgryzione. Celeste obgryzała tylko na kantach, ale i tak to wytwarzało pewną więź.

India pochyliła się naprzód do kierowcy.

To co on nawija tym razem?

- Pan Buckman? Ja go tylko tam wiozę, panienko.

- Prawdopodobnie będzie głądził o swojej książce. - Wskazała pudło na przednim siedzeniu. - O tej.

Kierowca przeczytał nalepkę.

- *Poczucie winy. Przewodnik dla użytkownika.*

- Niech pan tego posłucha.

- Czego? - zapytał.

- No, tu.

Kierowca pochylił się nad pudłem i posłuchał.

- Coś się rusza.

India zachichotała.

- I pachnie trochę dracznie, no nie?

Kierowca powęszył.

- Rzeczywiście.

W tej samej chwili drzwi frontowe się otworzyły i wyszedł Leon. Ten właśnie, którego Celeste widziała z ogrodu. Zbiegł po schodkach i żwawo podszedł do limuzyny.

- Dobrze - powiedział wesoło. - Usiądę na przednim.

Kierowca przestawił pudło na podłogę.

- Co jest w środku? - Przekrzywił pudło. Dał się słyszeć odgłos zsuwania.

Ruszyli. Leon odwrócił się i zza oparcia siedzenia uścisnął rękę Celeste.

- Witam - powiedział. - Bardzo mi przyjemnie. Ale z kim?

Celeste powiedziała, jak się nazywa. Leon nie zaraz wycofał dłoń, suchą i serdeczną. Nawet po ciemku widziała jego fantastyczną opaleniznę. Nic dziwnego, że Buffy kopnął go w twarz na ekranie telewizora.

- Pani nie z Londynu, prawda? - zapytał. - Jak na Londyn, o wiele za zdrowo pani wygląda.

Celeste powiedziała, że przyjechała z Leicestershire. Powiedziała, że pracuje w sklepie - gdzie i w jakim, pominęła - i że dziś przypada jej wolny dzień.

- Ma pani tu jakąś rodzinę?

Potrząsnęła głową. Niechby już przestał pytać. Po tych wszystkich tygodniach właściwie po raz pierwszy ktoś jej zadawał pytania. Buffy przeważnie mówił, jak bardzo jest piękna, jakim jest światłem jego życia i jakim niewiarygodnym szczęściem dla niego, starca, życiowego bankruta. Na odwrót, to ona jego wypytywała o przeszłość, i jak poznał Gene'a Kelly, i o tysiące tysięcy interesujących rzeczy, które robił, i o ludzi, z którymi pracował, a których nazwiska знаła tylko z czasopism, jeśli w ogóle. Godzinami siedzieli w herbaciarniach, dopóki kelnerki nie zaczynały sprzątać. Chodzili do teatru i do knajp, gdzie też przesiadywali rozmawiając, dopóki nie zamykano. Więcej dowiedziała się w ciągu tych paru tygodni niż przez całe dotychczasowe życie. Buffy był napakowany swoją bogatą przeszłością, jak puszka konserwą mięsną. Nawet lepiej, bo się nie wyczerpywał.

Natomiast teraz to Leon jej zadawał pytania. Ciemne drzewa Regent's Park migają wzdłuż samochodu, a on patrzył na nią z tkliwą ciekawością. Czowała się niemal jednym z królików w pudle. Zahipnotyzowały ją reflektory tych oczu. Nic dziwnego, że jego pacjentki wracają po coś jeszcze. Chyba mu powiedziała, że jest sierotą. Powinna być ostrożna. Każde kłamstwo on wykryje swoim profesjonalnym radarem.

- Więc jak się pani Londyn podoba? - zapytał.

- No, pełno tu niespodzianek.

Uśmiechnął się.

- Miłych?

Odpowiedziała z wahaniem.

- Raczej niespodziewanych.

- To oczywiste, skoro są niespodziankami.

Zatrzymali się na Edgware Road. India i Celeste wysiadły z tekturowym pudłem.

- Spotkajmy się znowu - powiedział Leon, wychylając głowę przez okno. - Widzę, że moja rodzina poczuła do pani sympatię. - Limuzynę porwał prąd ruchu na jezdni.

India beknęła i udała, że wymiotuje do ścieku.

- Prawda, że on jest skandaliczny? - powiedziała. - Prawie tak straszny jak mama. Zasługują na siebie.

- Dlaczego skandaliczny?

- Nie czułaś, jak na ciebie leci? Taki jest z każdą. Mnie wypytuje o moje życie seksualne. Nie mam życia seksualnego, ale zmyślam różne rzeczy naprawdę obrzydliwe, żeby się zgorszył.

- I gorszy się?

Potrząsnęła głową.

- Wzbogaca swoją wiedzę. Ma fioła na punkcie seksu. Wciąż mnie dotyka, brrr! Pacjentki przelatuje i wmawia im, że to terapia.

Celeste wybałuszyła oczy.

- Twoja mama wie o tym?

India potrząsnęła głową.

- Mama nigdy nic nie wie. Zbyt zaabsorbowana należeniem do grup i mówieniem o grupach.

- Skąd ty wiesz?

- Znalazłam jego prezerwatywy. Trzyma je w Słowniku Niebezpiecznych Leków. Zeszłam tam na dół po coś. Pożyczam sobie klucze do jego szafki, rozumiesz, biorę stamtąd wszystko, co chcę i właśnie sprawdzałam w tym słowniku, czy nie zrobiłam rzeczywiście głupstwa...

- Jak to?

- Och, z mieszaniem ich. No wiesz.

- Kradniesz mu leki?

- LSD i librium czy tak jakoś - powiedziała India. - Nie pamiętam. Więc zajrzałam do tego słownika i patrzę, a tu opakowanie między stronicami. Chyba na literę P. Ze sześć ich, jurny dziwkarz.

Stały na chodniku. Samochody przejeżdżały. Celeste trzymała pudło. Było jak koło ratunkowe nie dające jej utonąć.

- Idziesz w tę stronę? - zapytała India.

Celeste przytaknęła. Ruszyły.

- Takie niewypały, no nie? - zapytała India. - Rodzice.

- Niewypały?

- Przebałaganiają życie. Piekielnie nieodpowiedzialni.

Celeste już chciała zaprotestować, ale się zreflektowała. Jej

rodzice też byli tacy na swój sposób. Na swój zupełnie inny sposób.

Dziwne, ale jej i Indii poglądy na wychowywanie dzieci mają ze sobą coś wspólnego.

- Piekielnie dziecinni - mówiła dalej India. Szła z rękami w kieszeniach, wpatrując się w chodnik. - Mama ukradła mi Przytulaka na swoją Terapię Podstawową.

- Co to jest Przytulak?

- Mój miś. Brała go, żeby jej pomógł cofać się w dzieciństwo. Ona się cofała w dzieciństwo, a to ja byłem dzieckiem! I to był mój cholerny miś! Potem już wcale nie taki sam! Kiedy wrócił, jedno oko mu się ruszało. - Ostro skręciła w lewo i pomaszerowała przez jezdnię.

Ciężarówka, zgrzytając, zahamowała. Celeste pobiegła za Indią i bez tchu dołączyła do niej na chodniku po drugiej stronie ulicy.

- Leon jest mega-głupek - powiedziała India. - M e g a.

Czy wiesz, jego automatyczna sekretarka odzywa się po angielsku, po niemiecku i w języku Urdu! Oni oboje myślą, że tak idą z duchem czasu, ale naprawdę są tylko żałośnie samotni.

- Wcale nie lubisz swojej mamy?

- Mama nie umie być normalna. Rodzice powinni być normalni. Po to w ogóle ich się ma.

- Moi byli - powiedziała Celeste. Oczywiście nie byli, teraz zdała sobie z tego sprawę. Ale w tamtych czasach wydawali się jej normalni. Właściwie nudni, chociaż wtedy na pewno by ich nie określiła takim słowem.

- Widzi tylko czubek własnego nosa - powiedziała India.

- Cały cholerny świat musi się koło niej kręcić. Zawsze wszystkim wymawia swoją pracę. Moja praca, mówi tym cierpiętniczym artystycznym głosem. Każda kobieta, która tak mówi o swojej pracy, na pewno nie pracuje. A już jeżeli coś zrobi, to na pewno coś okropnego,

widziałaś jej obrazy? Ona tylko spija krew z mężczyzn, wysysa z nich alimenty, wysysa z nich wszystko, a potem opowiada, jaka to z niej feministka. I opala się w ogrodzie zupełnie nago, cycuszki na widoku. I pyta konduktorów w autobusach o ich znaki zodiaku i takie tam głupie rzeczy. I jak bomba wylatuje do Tunezji na trzy miesiące. Na trzy miesiące! Zostawiła nas z naszą nianią! Naprawdę ty masz szczęście.

- Skąd wiesz?

- Stąd, że twój po prostu nie mogli być tacy fatalni jak moi.

- Zatrzymała się. - Boże, ale się rozgadałam. Okropnie cię znudziłam.

Celeste potrząsnęła głową.

- Ja tutaj wchodzę - powiedziała India. - A dokąd ty idziesz?

- Do domu. Mieszkam na Kilburn.

- Och, to pewnie znasz kogoś, kto też tam mieszka?

- Kogo?

- On się nazywa Waxie. Sprzedaje mi kokę.

- Kokę! Jeździsz taki kawał drogi? - Celeste patrzyła na nią zdumiona.

Czy cała ta rodzina ma kręcka? - Nie możesz brać z automatu?

India parsknęła śmiechem.

- Z automatu?

- Czy ze sklepu gdzieś bliżej ciebie?

India przestała się śmiać.

- Nie, perełko. Ja mówię nie o coca-coli. Mówię o kokainie.

Celeste nie wiedziała, co na to powiedzieć. W pudle króliki się wierciły. Zsuwały się w bok, słychać było, jak drapią tekturę. Jej paznokcie podobnie drapały trr trr klawisze maszyny, kiedy pisała rachunki w Szast Prast.

India niezręcznie objęła ją ramieniem.

- Czuję się przy tobie strasznie stara. - Wierzchem rękawiczki wytarła nos; było mroźno. - W mojej tak zwanej rodzinie wszyscy młodzi są starzy. A starzy są infantylni.

- Czy dlatego zażywasz narkotyki? Nie powinnaś, wiesz. Do kogo teraz idziesz? Do innego handlarza narkotyków?

India się roześmiała.



- Nie, nie. Do mojego ojczyzna. No, do jednego z ojczymów.

Nastąpiła chwila milczenia. Stały przed kamienicą. Celeste podniosła wzrok; ten budynek majaczył na tle rumianego nieba monumentalny i ponury. Wejście było oświetlone. LOMFIELD MANSIONS - głosił napis. Początkowego B brakowało.

Buffy! Omal nie wypowiedziała tego imienia głośno. Z tego wszystkiego nie zauważyła, gdzie stoją.

- Zawsze mówię, że idę do koleżanki, bo chcę trzymać Buffy'ego oddzielnie - wyjaśniła India. - Inaczej by tylko psychologizowali. - Stała, kuląc się w płaszczu. - Lubię go, rozumiesz. Jesteśmy rzeczywiście przyjaciółmi. Mama dawała mu do wiwatu. Naprawdę żał mi go. On przynajmniej jest ludzki. Jeżeli mam jakiś problem, przynajmniej nie wyjeżdża z tym cholernym „Uważam, że powinnaś...”. Zabiera mnie do

RS

knajpy. Tak czy owak zawsze mnie rozśmieszy. - Pomyślała chwilę. - Słuchaj, może chodź ze mną na górę, to go poznasz.

- Nie! - Celeste się cofnęła, kurczowo trzymając pudło. - To znaczy, chyba jest bardzo miły, ale...

Trzeba odejść. Może on wygląda przez okno. Może widzi je, kiedy tak stoją razem. I jak mu to wyjaśnić?

Odwróciła głowę do Indii. Ale India już odeszła. Nagle pełna energii, w podskokach już pobiegła tam po schodkach i płaszcz jej się rozwiewał.

RS

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

---

-Ty stary głupi! - wykrzyknęła India. - Ty mamucie! Jak ona się nazywa?

- Nie powiem - uciał Buffy. - Nie powiem, jeżeli przybierasz taki ton.

- Ile ma lat?

- Jest w twoim wieku.

India, kwicząc ze śmiechu, poczęstowała się papierosem.

- To niesmaczne. Sypiasz z nią?

- Nie. Niestety.

- Myślę, że stety. To groteskowe.

- Uwielbiam ją! - powiedział. - Nigdy dotąd tak się nie czułem.

- Zawsze to mówiłeś. Prawdopodobnie i wtedy, kiedy uwielbiałeś mamę.

- Czy nie zasługuję na odrobinę szczęścia? - beczał. - Po tych wszystkich latach? Nawet przestaję pić. Mniej więcej.

Siedzieli w dymie papierosów. Pogłaskała go po kolanie.

- Buffy, ze względu na ciebie naprawdę się cieszę. Może to ta prawdziwa miłość. Czy ona wie o twoich wszystkich odrażających dolegliwościach?

Przytaknął.

- Jak nikt. Wie o moich hemoroidach i obstrukcji, i o haluksie.

- Rety! Czy ona jest lekarką?

Buffy potrząsnął głową.

- Nie powiem.

India zatoczyła łuk ręką.

- Może ci posprząta. Spójrz tylko! Kiedy jesteś zdany na siebie, wracasz do swoich zwyczajów. Pamiętasz, jak po waszym rozwodzie przyszedłem tu prosto ze szkoły, żeby zrobić porządek?

- W majtkach gimnastycznych. Ze ściereczką - powiedział Buffy mój aniele miłosierdzia, pamiętam. Rozplakałem się wtedy.

- Pewnie. Byłeś zalany w pestkę. - Rozejrzała się. - To mieszkanie. Nigdy nie ruszysz z miejsca, jeżeli czegoś z tym nie zrobisz. Prawie nie możesz otworzyć tych drzwi, a co dopiero otworzyć tak, żeby wciągnąć tu jakąś kobietę.

Dosyć długo milczeli. Z sypialni dolatywały trzaski chrupanej kości. George najwidoczniej dobrał się do resztek Smażonego Kuraka Kentucky z wczorajszej kolacji.

- Co u ciebie? - zapytał Buffy. - Co na Nieznanym Łądzie?

- Gdyby ktoś był, tobie pierwszemu bym o tym powiedziała. Ale nie ma.

- Wszystko w porządku?

India patrzyła na swoje ręce. Zauważył na jej palcach żółte plamy nikotyny.

- Wolałbym, żebyś nie paliła. Czuję się winny.

- Nie.

- Co nie?

- Nie czuj się winny.

- Boże, żadna mi tego nigdy nie mówiła! Dlaczego miałbym nie czuć się winny?

India siedziała na dywanie. Zgarnęła walające się okruchy w niedużą kupkę.

- Pamiętasz te twoje straszne, straszne awantury z mamą?

Buffy pamiętał.

- I jak Bruno wstawał wtedy z łóżeczka i płakał, i potrzasał prętami, aż grzechotały - ciągnęła. - Ja leżałam w łóżku i mocno zamykałam oczy, ale to nic nie dawało, bo wrzeszczałeś wniebogłosy. Jeszcze dziś mi to brzmi w uszach.

- Niech nie brzmi.

- Awantury zupełnie takie jak mamy i mojego ojca, tylko że jeszcze gorsze. Może dlatego, że już byłam starsza i rozumiałam to, coście wrzeszczeli. - Spłaszczyła piramidkę okruchów palcami. - Potem przychodziłeś, zamykałeś drzwi i siadałeś przy moim łóżku. Przybierałeś głos Chomisia... nie przybierałeś, byłeś Chomisiem. Albo Nornicą czy kimś tam; tymi wszystkimi głupimi zwierzętami. Brałeś mnie gdzieś ze sobą.

Odlatywaliśmy na przygody. - Podniosła wzrok. - Byłeś jedynym, który to potrafił. Uciekałam dzięki tobie.

Westchnął.

- Sam też uciekałem.

- Ty masz szczęście. Jesteś aktorem. Możesz wciąż uciekać.

- Cóż, kiedy uciekam, cholera, za często. Wszystkie mi to mówiły. Twoja mama i inne.

Zgniotła okruchy i wstała.

- Ja nie mogę, rozumiesz. Już nie mogę. - Raptownie włożyła swoją wełnianą czapkę i sięgnęła po płaszcz.

- "Nie odchodź! - krzyknął. - Pójdziemy na spaghetti.

Staneła przy drzwiach.

- Muszę się z kimś zobaczyć.

- Z kim?

- To tylko znajomy. - Odepchnęła nogą kilka plastikowych toreb i otworzyła drzwi.

Buffy wstał, ruszył za nią.

- Kto?

Nie poszła do windy, puściła się biegiem po schodach. Jej głos jak echo docierał do niego.

- Ktoś, kto się nazywa Waxie!

I już jej nie było.

\*

Buffy z powrotem usiadł w fotelu. Nagle ogarnęło go straszne przygnębienie. Zapragnął zobaczyć jasną, młodą twarzą Celeste. Ale nie wiedział, gdzie ona jest. Na ten dzień, swój dzień wolny od pracy, nie chciała się z nim umówić. Zamierzał wziąć ją do Tate, przedstawić ją obrazom Bonnarda, ona jednak powiedziała, że już ma coś zaplanowanego. Tak samo było z jej wolnym dniem w zeszłym tygodniu. Daremnie dwa razy telefonował do jej mieszkania.

Może ona spotyka się nie<sub>33</sub>tylko z nim. Może spotyka się z jakimś energicznym młodym mężczyzną, który nie jest beznadziejnym

nieudacznikiem, bo jeszcze nie miał takiej możliwości. Bo przyszłe klęski jeszcze nie są mu nawet pisane. Bo jego ułomności pozostają jeszcze w formie embrionalnej.

Celeste się zmienia. Ubiera się modnie, śmiało, kolorowo. W zeszłym tygodniu, kiedy zaprosił ją wieczorem do restauracji, była w kurtce prawie zuchwałej i w czarnej sukience rzeczywiście dosyć uwodzicielskiej. Czy dostosowuje się do Londynu, czy może to ma jakieś niepożądane znaczenie?

Żałował, że India tak ni stąd ni zowąd wybiegła. Za pięć minut ósma. Słońce już się schowało. W istocie, od paru godzin jest czarny mrok. Nie zaszkodzi mała szkocka. Dźwignął się z fotela i poczłapał w rannych pantoflach do kuchni. Było mroźno. Zajrzał do bojlera. Ciemno.

Diabli nadali. Penny potrafi sobie radzić z bojlerem, ale jej nie ma. Napotykać na ścieżce życia różne przeszkody, Buffy nieraz odczuwał brak poszczególnych kobiet, z którymi swego czasu mieszkał, tej czy tamtej, w zależności od powodu zdenerwowania. Kiedy miał kłopot z aparatem fotograficznym, myślał o Penny: ona, fotografując chodnik, nie zapomniaby odsunąć przesłony. I Penny w dodatku zawsze zapalała silnik; teraz samochód rdzewieje na parkingu lokatorów, akumulator dawno się wyczerpał. Wszelkie nieszczęścia z elektrycznością przywodziły Buffy'emu na myśl Phoebe, projektantkę mody, z którą mieszkał krótko i w niezupełnej harmonii, ale która przejawiała niesłychaną zręczność wobec bezpieczników. Kiedy jego rośliny w doniczkach usychały - a usychały już wszystkie - wspominał Jacquettę przemawiającą do roślin czy też stosującą inne jakieś zbytkowane sposoby, zawsze skuteczne. Lorna też miała do roślin dobrą rękę... Lorna, Boże drogi, nie myślał o niej od tylu lat. Pewnie to już kobieta w średnim wieku. Lorna... czy nie mówił kiedyś, że Lorna jest miłością jego życia?

Wychylił szklanekę szkockiej i nalał sobie następną „na drugą nogę”. Powinien był nauczyć się tych rzeczy, bezpieczników i tak dalej, wtedy, gdy miał po temu okazję. Niestety, w danym czasie nie przychodziło mu to do głowy, a kiedy następowała ta ostateczna eksplozja, ta straszliwa plajta miłości, jakoś nie składało się, żeby powiedzieć: a propos, zanim odejdziesz, czy mogłabyś mi pokazać, jak się nastawia czas na magnetowidzie?

Czego one nauczyły się od niego, czego on nauczył się od nich? Popsi służyła mu przepisem na babkę migdałową, najlepszą z babek wszystkich jego eks-żon. Lorna знаła nazwy mnóstwa ptaków: makolągwa i tak dalej, i wskazywała mu te ptaki, tylko że on przeważnie wtedy nie uważał. Niejaka Miriam nauczyła go tekstów piosenek z musicalu *Faceci i Lale*. To jednak w sumie nie wydaje się dużo. Nawet wydaje się żałośnie mało. Może to wszystko, czego nauczył się od nich, zapadło tak głęboko, że w tej chwili nie da się ująć tego w słowa.

Rozejrzył się po swojej kuchni. Na półce stał na pół wykończony słoik Marmite, pozostałość po Penny. Lorna też bardzo lubiła Marmite. Tak samo prawie każda inna, którą znał w dostatecznie domowej oprawie, żeby o tym wiedzieć. Żaden z jego znajomych mężczyzn nie lubi Marmite, widocznie wyciąg z drożdży odpowiada tylko kobietom. Popatrzył na nieład słoików i innych pojemników. Czy i Celeste będzie lubiła Marmite? Prawdopodobnie on nigdy się nie dowie. Nie udało mu się z tymi swoimi żonami i swoimi dziećmi i ich dziećmi, jakże więc mógłby podkreślić się, wywindować na wyżynę tak uroczego młodego stworzenia jak Celeste? Jak mógłby skazać ją na kogoś takiego jak on? Jeżeli - to znaczy - ona w ogóle chce być na niego skazana, co do czego zaczynał mieć wątpliwości.

Gdzie i z kim Celeste wciąż znika? Może jego rolą było tylko wprawienie jej w ruch. Zupełnie tak, jakby się wynajęło letnie mieszkanie w Hiszpanii. Będzie tam prowiant "na początek: dwie torebki herbaty, bułka, może pomarańcze. To właśnie on. Celeste go zjadła i teraz, kiedy już się nauczyła tego obcego języka, wypuszcza się w plener samodzielnie.

Przeszedł do saloniku, potrącając nogą kubek po herbacie Indii, z którego chlusnęło na dywan. Ona prawie nie piła tej herbaty? Czy to znów jego wina? Ale India poniekąd dała do zrozumienia, że on żadnej winy nie ponosi. Do głębi go tym wzruszyła.

Włączył telewizor. Na ekranie rozkwitło oblicze Leona.

- ... musimy, Gavin, zdawać sobie sprawę, że dla wielu osób poczucie winy jest paliwem. Bez poczucia winy po prostu nie mogą funkcjonować...

Kołtun. Buffy wyłączył telewizor. Już nie chciał kopnąć go w ekran. Twarz Leona - teraz bardziej mięsista i nawet bardziej irytująco urodziwa -

już nie mogła go rozwścieczyć. Już była bez zapalnika. Och, te koszty duchowe. Wszyscy są już bez zapalników. Nawet Penny, którą niedawno widział przelotnie na Tottenham Court Road, kiedy przywoływała taksówkę - nawet Penny prawie stała się z powrotem elegancką efektowną kobietą, i to w nieznanym mu czarnym płaszczu. Osiem lat dzielenia łóża, sprzeczenia się nad mapą w samochodzie, osiem lat wszystkiego ot tak, zwyczajnie ulotniło się. Sprawa bardzo niepokojąca. Tak się ulotniły te lata, jakby nigdy ich nie było. Czy też, mówiąc ściśle, straciły znaczenie, są pełne Dźwięku i Furii, w ogóle nic nie znacząc. Ale o tym nie można powiedzieć Celeste. Nie można takich horrorów opowiadać młodym; to by im nie dawało w nocy zasnąć. Młodym opowiadajmy nadał

o stworzeniach leśnych.

Nie był pijany. Był tylko Otwarty na wszechświat. Włączył adapter, kwartet Brahmsa. Zimno, włożył płaszcz i usiadł przed zmartwiałym telewizorem. Przypomniawszy sobie, jak pewien facet, którego poznał w Nowym Jorku, opowiadał, że kiedyś przechodził z Mią Farrow koło sklepu z nagrajami. Na wystawie był komplet płyt Franka Sinatry. Mia się zatrzymała

już prawie weszła tam, żeby kupić jedną z tych płyt. I dopiero wtedy sobie uprzytomniła, że przecież swego czasu była żoną Franka Sinatry.

Teraz Buffy zrobił przegląd wszystkich kobiet, które znał. Oczywiście je pamiętał. Szalone udręki mogą się ulatniać, ale wspomnienia pozostają. Od lat czerpał pożywkę ze wspomnień, jak wielbłąd z wodą zmagazynowaną w garbie: Popsi, na przykład, nabierała Nescafe pokrywką, a nie łyżeczką - zwyczaj albo miły, albo okropny, zależnie od jego nastroju. Czy inni też tak nabierają neskę? Nie znał nikogo takiego. A to pensjonarskie wicie się Penny co rano, kiedy wkładała swoje zdumiewająco purytańskie bawełniane majtki. A Carmela, kiedy imponująco zręcznie tasowała karty - jakież to były szczęśliwe godziny: grał z nią w remi, a Nyange spała smacznie w łóżeczku. Z kim teraz Carmela gra w karty? Gdzie jest jego córka, Nyange? Czy Penny nosi majtki ładniejsze i bardziej koronkowe, i wkłada je przy tym strasznym zdjęciu jakoś lubiej?



Nieraz się zastanawiał, co one mogą mieć ze sobą wspólnego, te kobiety poniekąd podobne do siebie tylko pod tym względem, że chwilowo go kochały. Poznał życie z każdą z nich, to jest jego sekret. Jak komputer z jednorodnymi informacjami, których nie ma na żadnych taśmach, dyskietkach, nigdzie! Na przykład sposób, w jaki Jacquetta myje zęby, wysysa wilgoć ze szczoteczki i spluwa, nigdy nie płucząc ust wodą z kubka. Każda, z którą mieszkał, myła zęby inaczej. Ach, te chwile intymności w tyłu łazienkach! Lorna... właśnie, Lorna, teraz sobie przypomniał, osypywała się talkiem, chmurami talku, przy czym biodra wysuwała naprzód. Lornę i Popsi, chociaż one o tym nie wiedziały, łączył wesóły brak zahamowań. Tak jedna, jak druga w łazience robiła siusiu, kiedy on się golił (nie miał wtedy brody). Tak jedna, jak i druga wycierała się delikatnie raczej od przodu niż od tyłu, jedyne dwie ze wszystkich mu znanych. Popsi nawet wciągała przeponę, kiedy był w łazience, wcierała w nią krem nonszalancko, umiejętnie, jak cukiernik namaszczający ciastko.

Temperatura spadała, zapalił znów papierosa rękami niezdarnymi w rękawiczkach. No i te pieszczoty, och, te pieszczoty. Nie powinien myśleć o łózkach, ale nie mógł się powstrzymać. Nawet w tym mroźnym zimnie twarz go paliła. Te ciepłe ciała, te chłodne palce nóg, ślepa ekstaza i wilgotne zakłopotanie... Pracowite szczupłe ciało Jacquetty, jej skomlenie w szczytowym momencie, kiedy odwracała głowę, jakby to doznanie było zbyt cenne, żeby mogła je z nim, Buffym, dzielić. Penny: zdrowe gimnastyczne podejście, przynajmniej w pierwszych latach, jej jedwabiste, ale mocne uda ściskające jak imadło i jej szept, przedziwnie ordynarne słowa, których nigdy by nie wymówiła w świetle dnia, akurat takie, jakie człowiek słyszy w najbardziej podejrzanych nocnych lokalach. Popsi: jej alkoholowy oddech i satysfakcjonująco wielokrotne orgazmy... Och, ileż kobiet on miał. Ciężar ich piersi, miękkie brzuchy, twarde łopatki... ta skóra... te palce... Dziewczyna imieniem Annabel w pokoju hotelowym w Rye... Rozpaczliwe, cudzołożne kopulacje na tylnych siedzeniach samochodów, szyby zaparowane... te bezceństwa, te gołe pośladki... Mażeńskie koleżeństwo, chichoty, swojskie układy ciała przy ciele, nogi przy nodze rok po roku. Oooch! A na urlopach, kiedy one były spieczone

słońcem, te ich drogie tajne zakamarki znane teraz intruzom, chociaż nie, to już nie są intruzi, to on sam teraz jest...

Dość! Mógłby tak rozmyślać wiecznie. Nie ma komu, oczywiście, tego wszystkiego opowiadać. I każda jego kobieta też miała takie sekrety zamknięte - o mężczyznach, o których myśl była dla niego w owym czasie nie do zniesienia - takie sekrety się blokuje. Co one robią teraz? Phoebe, Annabel, Popsi i te wszystkie inne? Pozostają zastygłe, wcale nie starsze niż wtedy, gdy je znał, na tym polega egocentryzm pamięci. W jego wspomnieniach są nadal młode, chociaż niektóre z nich chyba mają wnuki. Co one robią teraz? Zaparzają komuś herbatę, otwierają puszki z pożywieniem dla kota? Na pewno nie siedzą przed wyłączonym telewizorem i nie myślą o nim.

Poniekąd to sprawia ulgę, oczywiście. Ulgę, bo już nie trzeba odwiedzać starego ojca Penny w Ascot, już nie trzeba udawać przed samym sobą, że obrazy malowane przez Jacquettę są cokolwiek warte. Teraz to są cudze obowiązki. Czasami ciepłą wdzięczność żywił do swoich następców, tak jakby przekazał kłopotliwy samochód, w którym dziwnie coś stukało, i wcześniej czy później znów zacznie stukać. To nie jest metafora męskiego szowinisty, tak samo odnosi się do niego samego. On się czuje sfelerowanym samochodem. Te pretensje do niego! Kobiety zużywały go i przekazywały dalej, bezlitośnie w niejednym przypadku! Plądrując po drodze jak odchodzący żołnierze, odzierały go z ogniska domowego i dzieci.

Nie zawsze jednak czuł się bardzo dotknięty. Bo niektóre, Jacquetta na przykład, nigdy rzeczywiście nie przyjmowały go do wiadomości. Jacquetta nie oglądała jego zdjęć migawkowych z dzieciństwa, nie okazywała, że choć trochę interesuje się jego przeszłością. Była albo roztargniona, albo kolczasta. Kiedy na przykład wracali do domu z wieczornego przyjęcia i on łagodnie komentował: „Czy to nie dziwne, że ktoś, kto tak cudownie gotuje, parzy tak strasznie kawę i vice versa?”, ona, zamiast jak dobry kumpel podyskutować na ten temat, od razu szczekała: „Co chcesz przez to powiedzieć? Że ja nie umiem gotować?”. I niejedna z nich, nie tak znerwicowana, ale w takim samym stopniu zdrowo egocentryczna, czekała błogo, aż on zapłaci za wszystko, po czym wysuwała się w ruch uliczny, w

objęcia innego. Czasami czuł się jak przechodnia butelka wina dawana w prezencie z jednego domu do drugiego, bo to wino jest tak niepijalne, że nikt jej nie chce otworzyć. Hirondele, powiedzmy, albo to paskudztwo, *Czerwone Wino Stołowe. Produkt niejednego kraju.*

Wychylił szklankę do dna. Penny kiedyś powiedziała: „Jesteś po prostu starym moczymordą, za mało masz odwagi na to, żeby być alkoholikiem!”. Wtedy uznał tę uwagę za błyskotliwą i bezsensowną, typową dla dziennikarki.

Lorna nie była taka. Co się stało z Lorną, która kochała wieś, obserwowała ptaki? Kochał ją kiedyś. Mógłby się rozmazgać, myśląc o tamtych przeoczonych sposobnościach. Właściwa kobieta w niewłaściwym czasie i - Boże mój - na odwrót. Ale nie w tym rzecz. Teraz jest sam. Nie ma nikogo, kto by przynajmniej był w pobliżu, gdzieś w tym mieszkaniu, kiedy on otwiera upomnienie z urzędu skarbowego. W pewnych chwilach kobieta nie będąca, ostoja jest lepsza niż żadna. Powinien pójść do tego cholernego dozorczy w sprawie tego cholernego ogrzewania.

Spróbował podnieść się z fotela. George, który siedział przy fotelu, walnął ogonem w podłogę i, gramoląc się, wstał. Buffy opadł w fotel z powrotem. Cała ta operacja wydawała się na razie zbyt skomplikowana. George z powrotem osunął się na podłogę.

Celeste... och, Celeste...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

---

Celeste siedziała w blasku świec i piła wino. Kupiła świece pod wrażeniem, jakie na niej zrobiło domostwo Jacquetty. Kupiła je w nocnym sklepie i rozstawiła na spodkach wszędzie w pokoju. Jakież to czarowne! Nie widać już zacieków na ścianach ani śladów po obrazach poprzednich lokatorów. Nie nosiła teraz krzyżyka i zachwiała się w swojej wierze, próbnej zresztą, stojącej na płytkich fundamentach, a przecież pokój wydawał się jej tymi świecami uświęcony, jakoś religijnie spokojny, chociaż giętko płaśły cienie, a po dywanie kicały króliki. Zwyczaj picia wina przejęła od Penny - kieliszek czy dwa kieliszki wieczorem i na tym koniec. Suncerre, bo Penny piła to wino, a żadnego innego ona nie знаła. Przechyliła kieliszek, wypiła do dna. Jeżeli eks Buffy'ego tak mogą, czemuż bym ja nie mogła?

W ciągu tego tygodnia po wizycie u Penny, otrzymała jeszcze dwa duże pudła sprzętu. Rozpakowała i rozłożyła te rzeczy na wszystkich możliwych półkach i blatach. Nie wiedziała gdzie i kiedy będą fotografowane - ani o tym nie było mowy, ani też o wysokości honorarium za jej wkład - ale musiała mieć je na wierzchu, żeby posegregować i każdą opisać.

Jedną z grup były *Ogrodnicze*. Doniczki zrobione ze wszystkiego, co miało kształt bodaj w przybliżeniu walcowaty, nie wyłączając sfatygowanych abażurów. Tacki do sadzonek zrobione z pudełek po czekoladkach, papierowych kubków i obciętych palców gumowych rękawiczek. Dziurkując dno torby na narzędzia, jakaś pomysłodawczyni wykreowała Torbę Na Warzywa, opatrzoną w „wygodne uchwyty podróżne”, jak wyjaśniała załączona kartka, chociaż bez odpowiedzi pozostawało pytanie, kto podróżuje z warzywami. Inną grupę stanowiły *Zabezpieczenia Pomocnicze*. Wśród nich znajdowały dwa pływaki do nauki pływania dla dziecka, sporządzone ze styropianu, który pochodził z opakowania aparatury hi-fi, i uzupełnione paskami z posupłanych kawałków gumek do majtek<sup>140</sup>. Ogólna nazwa Praktyczne Sposoby

obejmowała takie rzeczy jak kapturki na filizanki uszyte ze starych swetrów oraz nawilżacz do przyklejania znaczków wykonany z kulkowej buteleczki po dezodorancie.

Już sam widok tych wynalazków jakoś niejasno znużył Celeste. Zaczynała pojmować, że żadne ich zakwalifikowanie nie jest rzeczywiście możliwe, nawet dla osoby tak logicznej jak ona. Niektóre z nich miały chyba kilka zastosowań, a niektóre najwyraźniej nie miały służyć do niczego. I jeśli nawet któryś mógłby do czegoś służyć, kto by ich, na Boga, używał? A jeszcze nie rozpracowała finezji z durszlakiem. Uszeregowane w blasku świec te rzeczy wyglądały trochę jak ofiary złożone przez jakieś zgromadzenie do głębi zdeorientowanych wiernych. Jeden z królików już skubał wiązkę pociętych rajstop, do której dołączony długi wyjaśniający list gdzieś się zapodział.

Podejrzewała, że cała ta sprawa wymyka jej się z rąk. Ponadto coś jeszcze ją niepokoiło - kryjące się w tym wszystkim znaczenie symboliczne, którego wolałaby nie rozpatrywać. Jak gdyby to miało jakiś związek z Buffym i jej miejscem w życiu Buffy'ego. Co Penny mówiła o stu zastosowaniach wyrzuconego męża? Może Buffy ją widzi jako nowy pęd wyrastający ze śmietnika jego przeszłości - śmietnika, które z dnia na dzień się powiększa, w miarę jak ona coraz więcej się o nim dowiaduje. Stare rajstopy i w ogóle.

Nie powinna tak myśleć. Nie teraz. Tęskniła do niego rozpaczliwie, prawie gotowa podnieść słuchawkę telefonu. Ale nie można, jeszcze nie. Więc zamiast zatelefonować patrzyła na króliki jego synów. Jeden jadł lekkostrawny herbatnik, który położyła na talerzyku z liśćmi sałaty i plasterkami ogórka.

Tekturowe pudło królików stało pod stołem. Dno było wilgotne po ich długiej podróży i usiane odchodami, jakby ktoś tam sypnął rodzynek. Nalepka *Poczucie winy. Przewodnik dla użytkownika* się odklejała. Nic dziwnego, że króliki nie chcą wrócić do pudła. Gdybyż któraś z tych wynalazczyń przysłała coś rzeczywiście przydatnego, co mogłoby być klatką dla królików! Jutro trzeba kupić im klatkę w czasie przerwy na obiad, jeżeli jest gdzieś blisko sklep zoologiczny. Króliki były całe czarne i

większe niż z początku myślała, właściwie nie takie młode. Ale cieszyło ją ich towarzystwo. Zawsze lubiła zwierzęta, a w dzieciństwie bardzo się przywiązała do Jonathana, swojej świnki morskiej. Jonathan zdechł. To był pierwszy dla niej smutek żałoby. Kiedy musiała powstrzymać się od chichotu - w czasie szkolnej modlitwy na przykład - wystarczało wspomnienie jego sztywnego ciała, żeby z dreszczem spoważniała.

Znów napełniła sobie kieliszek winem. Potrzebowała rozmowy z Buffym jak najrychlej. Jego głos brzmiał jej w uszach. Buffy był taki swojski, jakby znała go od początku życia, jakby jego głos nie cichł, odkąd siedziała tam w fotelu i ssała kciuk. Na wszystkie pytania snujące jej się po głowie Buffy mógłby odpowiedzieć, czy przynajmniej spróbować odpowiedzieć. Kochała go za to; nigdy przedtem nie znała mężczyzny gadatliwego. Dlaczego każdy walkman, który się słyszy na ulicy, gra jedną i tę samą melodię? Zeszłego lata zastanawiało ją to nieraz i nie spotkała nikogo przygotowanego do udzielenia jej jakiegokolwiek odpowiedzi. Dlaczego wszyscy Francuzi mają taki sam charakter pisma? (Jej cała klasa swego czasu korespondowała z młodzieżą francuską).

Ale też były pytania o wiele bardziej palące - pytania tak trudne, że coś jej się ścisnęło w żołądku. Kłopot polegał na tym, że nie mogła ich zadać Buffy'emu - uznałby ją za wariatkę, wariatkę, która szaleje z zazdrości. Nawet by mu to nie pochlebiło. Dlaczego masz takiego bzika na punkcie moich byłych żon? Nie można mu powiedzieć - jeszcze nie.

\*

Tylko jedną osobę mogłaby zapytać. Jacqueline.

Zatelefonować? Numer znała. Królik przycupnięty na zadku skubał roślinę w doniczce. Siedziała przy telefonie nie poruszając się. Godzina dziewiąta wybiła gdzieś i minęła. Z klatki schodowej India weszła i zeszła, ale ona o tym nie wiedziała. Czas płynął. Sufit trzeszczał, muzyka dudniła. Dom był rozszeptany transakcjami.

Celeste nie zatelefonowała, nie miała odwagi. Zdmuchnęła świecę i położyła się spać. W tym domu pełnym sekretów leżała z oczami zamkniętymi, lekko wstrząsana przejazdami podziemnych pociągów.

Króliki w pokoju obok rozwijały ożywioną działalność. W pewnej chwili chyba słyszała stłumiony łoskot doniczki spadającej na dywan.

\*

Nazajutrz, pobudzona jasnością składu aptecznego i pracą, Celeste nabrała śmiałości. W powietrzu szumiało. Najstarsza córka pana Singha zdawała egzamin do prywatnej szkoły, więc pan Singh raz po raz telefonował, pytał, czy już wróciła z egzaminu. Twarze kobiece na opakowaniach dodawały Celeste odwagi. Taka uroda, takie cuda. Bądź Wampem! Bądź Blondynką! Dostań się do prywatnej szkoły! Potrząśnij flakonikiem i wszystko się spełni. Każde opakowanie zawierało możliwości. Ona może zmienić swoje życie, swój akcent...

Pan Singh odszedł od telefonu. Zapytała, czy może zadzwonić.

Ale już z ręką na słuchawce stchórzyła. No, bo jaki pretekst tym razem? W końcu nawet ktoś taki jak Jacquetta mógłby coś podejrzewać.

I właśnie wtedy, gdy stchórzyła przy telefonie, piing! drzwi się otworzyły, dryblas cały na czarno wszedł do sklepu. Kołtunia- ste włosy stały mu dęba akurat tak, jak karykaturzyści rysują zdumienie.

To był Tobias. Czy Bruno? W każdym razie któryś z synów Buffy'ego. Przez chwilę w ostrym świetle widziała podobieństwo - ten nos, ta postawa.

- Och! - I bąknął, zdumiony: - Cześć!

\*

Tobias poszedł z wizytą do swojego taty. Chodził do taty potajemnie, wykradając się z domu jak mąż-cudzołóżca. Co nie znaczy, żeby mama czy Leon potępiali te wizyty. Ależ skąd! Leon nawet zachęcał do podtrzymywania więzi z ojcem - i głównie dlatego, oczywiście, należało taić, że się ją podtrzymuje. Leon! Co za bizon!

Tobias wiedział, że India, jego przyrodnia siostra bywa w Blomfield Mansions dosyć często. Życie taty to taki bałagan, że nawet on czuje się tam pozbierany. I kiedy się patrzy, jaki z tego groźnego taty nedorajda, ma się cudowne poczucie własnej dojrzałości. Poza tym teraz, kiedy Penny tam nie ma, biedny jest ten stary żłopa<sup>43</sup>. Była w rozlazłym życiu Buffy'ego jakaś

prostota pociągająca Tobiasa. W domu wszystko takie mętne - mama taka wykřetna i nie z tego świata, ojczym pełen śmierzącego zrozumienia. Co zrobisz, jeżeli jakiś facet da ci prezerwatywy? Dokąd pójdziesz? Czy Leon nie zdaje sobie sprawy, że kiedy ma się szesnaście lat, musi się być niezrozumianym?

Och, i nie tylko to. Jest mnóstwo zadziorów, których lepiej nie analizować. I tak dosyć już tych bredni psychologicznych w domu. Zasadniczo on dzisiaj wagaruje, więc potrzebuje trochę szmalu. Tata zawsze daje pieniądze - jeżeli ma - bo jest miękki i w każdym razie czuje się winny, bo ojciec z niego parszywy. Oto *kwit pro quo*.

Więc Tobias, dzwoniąc daremnie do drzwi Byffy'ego i słysząc tylko szczekanie psa, doznał rozczarowania z kilku powodów (Buffy z okropnym kacem był w BBC i nagrywał komentarz do filmu o pigmejach, ale nikt poza nim i BBC o tym nie wiedział).

Ostatecznie Tobias zjechał windą na parter, wyszedł i udał się za róg do składu aptecznego. Musiał kupić phisomed na swoje pryszcze. I w tymże sklepie stanął oko w oko z osobą, która zabrała jego króliki.

- Och, cześć - bąknął. Wytarł nos wierzchem dłoni, szurnął nogami. Wściekle głupia sprawa. Tutaj przyszedł ze swoimi pryszczami, bo myślał, że nikt go tu nie zna. No, gdyby chodziło o kupno jakiegoś sprayu, przypuśćmy, na osłabienie mocnej męskiej woni bijącej od niego...

Bokiem przesunął się do drugiej ekspedientki, dużej i nieładnej. Ta siedziała na stołku, czytając kobiecy magazyn. Sponad jej ramienia zobaczył tytuł artykułu: *Spinanie Brzucha: Za i Przeciw: Ale* to się na nic nie zdało, tamta podeszła do niego.

- Cześć. - Uśmiechnęła się. - Wasze króliki mają się naprawdę dobrze. Co dzień większe. Czym mogę ci służyć?

Tobias czuł, jak twarz go pali. Chce człowiek zachować zimną krew i co się dzieje? Czerwienisz się, idioto. To ci wpadka! Celeste podobała mu się. Starsza, co prawda, od dziewczyn, które znał, dwudziestoparoletnia. Ale to właśnie dziewczyny w jego wieku wydawały mu się stare. Stare w tych swoich butach z cholewami,<sup>146</sup> głośne i lekceważące, i wciąż okropnie znudzone, nawet kiedy śmieją się nie wiadomo z czego. Noszą plakietki z



napisem: *Uprawiam bezpieczny seks*, takich mężczyzn jak on w ogóle ignorują. Niektóre z nich znał od wczesnego dzieciństwa, inaczej by nie uwierzył, że były kiedykolwiek młode.

Nie mógł poprosić Celeste o płyn na pryszczę, o nie! Więc zaczął mamrotać towarzysko. Chociaż rzadko zdarzało mu się słyszeć, co mówi jego wapno, na szczęście, miał wiadomość z domu.

- Mama mówiła o tobie. Powiedziała, że chce, żebyś posiedziała dla niej.

- Posiedziała? Gdzie?

- No niby... - Przewrócił oczami jak zawsze, kiedy mówił o pracy mamy.

- Niby że chce cię malować.

Wybałuszyła oczy. Teraz ona się zarumieniła. Twarz miała różową pod kolor tego swojego kitla.

- Chce? Naprawdę?

RS

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

---

„Palce Lizać” pora obiadowa była przez cały dzień i pora śniadania także. Posiłki, powtarzając się jak melodie z Muzaka, splatały się i rozplatały. Lorna chodziła z kuchni do sali, z sali do kuchni. W głowie jej szumiało od nazw różnych roślin. Na ptakach się znała, ale rośliny... dopiero się o nich uczyła. Nogi ją bolały. Jest chyba już za stara, żeby tak biegać.

\*

Po drugiej stronie Anglii, gdzieś pod Swindon, Miles siedział w „Kuchareczce”, zbierał ketchup z talerza kawałkiem chleba. Na szosie buczały przejeżdżające samochody. Przełknął ostatni kęs, zapalił papierosa. Znow zaczął palić. Wiedział, że pretensji o to nie powinien mieć do swojej żony, ale miał. Bo ostatecznie nie ma nikogo, kto by go od palenia powstrzymywał. Jego małżeństwo ledwie się zaczęło, upadło na pysk i przestało oddychać. Nikt tego nie zauważył, a już na pewno nie jego żona.

Ludzie wokoło wcinali groszek.

\*

Tymczasem w Londynie Penny siedziała w Klubie Groucho i jadła po troszeczkę pizzę z kozim serem. Przeprowadzała wywiad. Kiedy ten straszliwie rewolucyjny pisarz bezbarwnym głosem udzielał jej długich nudnych odpowiedzi, patrzyła na taśmę swego magnetofonu kasetowego. Taśma nakręcała się, napelniając jego słowami. Teraz opowiadał o rezydencji, którą miał w Cotswolds. I o korcie tenisowym. Bogaci, nagle pomyślała Penny, nie muszą znaczyć piłek swoimi inicjałami. Uznała, że to trafne i dowcipne. Muszę dziś wieczorem powiedzieć to Buffy'emu, pomyślała. Ale zaraz zdała sobie sprawę, że nie może. Serce jej się ścisnęło. Miesiące już minęły, a serce jeszcze jej się ścisnęło.

\*

Za oknami świeciło zimowe słońce. O milę dalej, na Knights-bridge, kobiety po załatwieniu sprawunków<sup>146</sup> szły do barów śniadaniowych. Wśród

nich niemłoda pani, z którą Buffy przespał się ćwierć stulecia temu - coś, o czym dawno oboje zapomnieli. Właśnie wyszła od Harrodsa, gdzie kupiła sukienkę wieczorową dla swojej wnuczki. Jej odbicie przesunęło się po szybie wystawowej; za szybą stały manekiny wystrojone przez

Quentina. Odbicie tej pani przesunęło się i znikło.

\*

Nie opodal sam Quentin siedział w kawiarni. Często tu spędzał przerwę obiadową. Czerń i chrom, na takim tle, ostrym i stylowym, wszyscy wydają się dobrze zaprojektowani. Odsączeni z przeszłości, wykreowani na nowo jako dyktat' mody. Mieszając cukier w kawie, przypomniał sobie, że kiedy był małym chłopcem, lubił udawać, że kuleje. Popsi, jego mama, ciągnęła go rozjątrzona i przyśpieszała kroku. Przechodnie szeptali „biedny maluszek” i patrzyli spode łba na jego mamę, osobę o najcieplejszym sercu na świecie. On już wtedy wiedział, że kulejąc coś osiąga, że jakoś się do niej dobiera. Zamknął oczy, żeby się skupić. Powinien poruszyć to ze swoim psychoanalitykiem. Pod zamkniętymi powiekami ujrzał cieniastą postać mężczyzny, który przyśpieszał kroku z jego matką i odwracał się, rycząc na niego „idź jak człowiek”. Czy to był Buffy czy któryś z następnych ojców?

Quentin wmieszał piankę cukru w kawę. Talbot, z którym mieszka, zawsze zgarnia piankę. Z jakiegoś powodu to się staje tak irytujące, jak zwyczaj Popsi, jego mamy, która zawsze wsypuje neskę na pokrywkę puszki zamiast nabierać łyżeczką.

Quentin podniósł wzrok i napotkał spojrzenie wysokiego młodego mężczyzny z ekwipunkiem fotograficznym. Nic a nic na tym ekranie radaru. Zresztą ten za młody. Quentin czuł nieprzeparty pociąg do starszych. Wiedział, oczywiście, dlaczego. Nie na próżno wydawał majątek na terapię. *Szukam swojego ojca przez te wszystkie lata, kuleję, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.*

\*

Z daleka Colin krótko przyjrzał się facetowi, który siedział z oczami zamkniętymi. Dobra twarz, odpowiednio go oświetlić i byłby modelem. Z równie obojętnym zainteresowaniem popatrzył na ekspres do kawy Gubbio i

zastanowił się, czy zdołałby taki ekspres postawić w swojej kuchni. „Tu w ogóle nie ma miejsca - wciąż wykrzykuje Penny. - Ja się tu nie mieszczę! Gdybym miała zawiasy, mógłbyś mnie składać i trzymać w jakiejś skrzynce!” Penny jest wysoka, chodzi długimi krokami. Właśnie to z początku tak mu się podobało.

Ale teraz chwilami nie wiedział, czy potrafi się z nią uporać.

\*

Buffy siedział w swojej pobliskiej czyli „U Trzech Grajków”. Jadł jajko po szkocku. No, szary, posypany okruskami chleba kawałek gumy odpadający od sinej gumowej kulki, jajko ugotowane na twardo prawdopodobnie za czasów jego małżeństwa z Jacquetą. Mało razy dostał nauczki o jajkach po szkocku? Dlaczego raz po raz je zamawia? Właściwie to jest trochę jak małżeństwo. Chce ci się jeść, myślisz, że tym razem podadzą ci lepsze, bo przecież niemożliwe, żeby było aż tak niedobre jak poprzednio.

W telewizji satelitarnej, Sky czy jakiejś innej, był tenis. W listopadzie. Telewizja satelitarna nie inaczej niż centralne ogrzewanie unieważnia pory roku. Patrząc, jak ta piłka lata tam i z powrotem, Buffy wspominał finał w Wimbledon dawno, dawno temu. Connors grał? Czu może jeszcze Arthur Ashe? Jacquetta wyjechała wtedy rzekomo z kilkudniową wizytą do swojej ciotki w Dorset. I, o dziwo, on ją wyraźnie zobaczył wśród widzów przy korcie centralnym. Na lewo od sędziego.

Siedziała u boku jakiegoś mężczyzny. Głowy ich obojga jednocześnie odwracały się w lewo i w prawo, a potem na dłużej odwróciły się ku sobie.

A Jacquetta nawet nie lubi tenisa. W istocie, nie cierpi tenisa. I właśnie to było najgorsze w tej całej sytuacji. Och, gdzie jest Celeste, która nic nie wie o takich sprawach? Celeste, moje niewinne dziewczętko, moja pociecha i radość! W składzie aptecznym jej nie ma. Pan Singh powiedział, że to jej wolny dzień. Gdzie ona jest? Stare serce bolało Buffy'ego.

\*

Celeste, zgarbiona, siedziała na betonie. Pośladki jej zdrętwiały. Tutaj, w ogrodzie, było mroźno. Zimowe słońce już osunęło się za dom, cieplarnia

tonęła w cieniu. Wiatr świstał w zastrzałach, jeszcze tego szkieletu nie oszklono, robotnicy zniknęli. Jacquetta powiedziała, że odeszli na długie dni.

- Budowlani - westchnęła. - Zawsze w końcu zostawią cię na lodzie. Możesz mi wierzyć. Ja wiem.

Jacquetta malowała. Włosy miała na karku ściągnięte gumką. Była w zachłapanym drelichowym kombinezonie, który, jak powiedziała, należał przedtem do znajomego hydraulika.

- Co za mężczyzna! - dodała. - Zbudowany jak perszeron.

Nieomal zmizerniała ze skupienia, błyskawicznie, śmiałymi machnięciami pędzla nakładając farby. Nuciała przy tym cicho, niemelodyjnie, tak że Celeste nie mogła się zorientować, skąd te odgłosy dolatują. Ale w końcu się zorientowała, bo ucichły, kiedy Jacquetta płukała pędzel.

Czuła na sobie uważny wzrok Jacquetty zza okularów. Czy ona wie, co ja myślę? Chyba nie, chyba widzi mnie tylko jako układ kształtów i kolorów, przedmiot do malowania.

Dla Penny jest tak samo niewiadoma - jest chętną parą rąk, osobą gotową zająć się odrzuconymi cudzymi rzeczami i nosić niepotrzebne już ciuchy samej Penny. Obie te kobiety czegoś od niej chcą, ale żadna z nich nie ma pojęcia, czego ona chce od nich. To dziwne, że nie kwestionują jej wtargnięcia do ich domów. Że zamiast się nad tym bodaj przez chwilę zastanowić, po prostu znalazły sposoby, żeby ją uczynić przydatną. Na jej szczęście, oczywiście! To, że nie są ciekawe, bardzo ułatwia całą sprawę. Nie, nie ułatwia. Wszystko jest nadal trudne. Ale przynajmniej na razie można jakoś posuwać się naprzód.

Celeste siedziała w cieplarni i zgodnie z poleceniem obejmowała oburącz kolana. Za Jacquettą wznosił się dom tej rodziny. Buffy kiedyś tam mieszkał. Zjadł tam tysiące śniadań z tą swoją żoną. Ona, Celeste, nigdy nawet nie widziała go przy śniadaniu. Nie chciała o tym myśleć. Odkąd stał się kimś tak swojskim, każda myśl o jego nieznanym życiu, o tylu tych jego życiach sprawiała jej przykrość<sup>49</sup>

Ręce ją bolały od ściskania kolan. Ale Jacquetta powiedziała: „Bądź w pozycji płodu. Ja widzę dziecko, które w klatce z żeber matki czeka, żeby się urodzić”.

Przez żebra cieplarni dmuchał wiatr. Daleko wyły wilki. Teraz, kiedy Celeste wiedziała, że wilki istnieją, ich wycie wydawało się jeszcze smutniejsze. Niosło się echem po świecie. A ona była zagubiona coraz bardziej, w miarę jak czas pozowania mijał. Patrzyła na fasadę domu wyniosłą jak skalne urwisko, na zasłonięte szerokie okno gabinetu konsultacyjnego Leona w suterenie. Dom zamknięty przed nią. W pobliżu dwa pozostałe króliki w klatce odbywały gody. Już dosyć długo, dryg, dryg, aż klatka się kołysała. Królicia miała ślepki szkliste, jak gdyby sobie mówiła „wytrzymaj to, wytrzymaj”, ale te zwierzęta przynajmniej nie były samotne.

Muszę z nią porozmawiać. Celeste otworzyła usta, w tej samej jednak chwili Jacquetta powiedziała:

- Kiedy patrzę na ciebie, popadam w zadumę. Chciałabym mieć jeszcze jedną córkę. Synowie są tacy... no, tacy męscy. - Pędzel migał tam i z powrotem - No, ale Leon uważa, że córki są takie kobiece. On ma parę, rozumiesz.

On ma parę. To tak jakby miał parę spinek do mankietów. Gdzieś je ma, trudno sobie przypomnieć, gdzie. W komodzie? Dla tych ludzi dzieci to nieomal króliki, beztrąsko produkowane i Bóg raczy wiedzieć gdzie rozrzucane. Czy to przynależność do burżuazji i wyższe wykształcenie sprawiają, że ludzie są tak ekspensywni? Oni nie muszą gromadzić, bo zawsze mogą mieć więcej. I proszę, Celeste używa takich słów jak ekspensywni. Zmieniła się. Buffy i jego świat ją zmieniają.

- Leon poświęca im wiele czasu. Swoim córkom - ciągnęła Jacquetta. - Wie, że to ważne, zna się na tym, widuje tyle uszkodzeń. Więzi нефункциjonalne. To jego specjalność. Ja byłam bardzo uszkodzona, kiedy go spotkałam, nie uwierzyłybyś. No, gdybyś poznała mojego ówczesnego męża, uwierzyłybyś na pewno. - Jacquetta umilkła. - Hm... Czy możesz się nie ruszać?

Celeste kierowała wzrok za ramię Jacquetty. Patrzyła na zasłony w suterenie. Nie zostały dokładnie zasunięte. Przez szparę widać było, że w gabinecie konsultacyjnym coś się porusza.

- On pracuje nad dzieckiem kryjącym się w głębi jaźni - powiedziała Jacquetta. - Każdy ma w sobie dziecko, dziecko, do którego trzeba dotrzeć. To właśnie i ja usiłuję zrobić w mojej twórczości. - Przymrużyła oczy, patrząc na Celeste. - Przechylasz się w bok. Czy możesz siedzieć prosto? - Malowała dalej. - On cudownie to osiąga z pacjentkami. Przy wielkim nakładzie pracy naturalnie. Przez lata nawet, z niektórymi. Bywają takie odporne, rozumiesz. Tak strasznie obwarowane.

Celeste pod dziwną hipnozą wpatrywała się w szparę między zasłonami. Błady kształt miarowo podnosił się i opadał, jakby tłoczony przez dwa miechy.

- Jest wytrwały, a przy tym wrażliwy. Uważa się za ślusarza, za tego, który uzdolnią. To znaczy służy pomocą, żeby one mogły same sobie pomóc. To może być bardzo wyczerpujące. On tyle z siebie daje, rozumiesz. Pracuje niewiarygodnie ciężko. Przychodzi na górę nieraz zupełnie wyczerpany. Biedaczek.

Ziębnięta Celeste patrzyła. Błady kształt podnosił się i upadał coraz szybciej. Usłyszała słaby okrzyk. Czy może to te wilki?

-! Prosto, możesz, kochanie? Znowu się pochylasz. - Pędzel zawisł w powietrzu. Jacquetta zaczęła się odwracać. - Co tam widzisz?

- Nic. - Celeste wskazała klatkę. - Tylko króliki.

- Acha. Dla ciebie to żenujące, prawda? - Jacquetta się roześmiała. A mnie to właśnie podoba się<sup>15</sup> w zwierzętach. Są takie niezakłamate. - Umilkła. - Przepraszam, ale czy mogłabyś otworzyć oczy?

Celeste musiała się stąd wydostać. Zresztą już zapadał zmierzch. Kiedy otworzyła oczy, w suterenie zapaliło się światło. Zasłony były zasunięte; wąska szczelina jaśniała między nimi, kreska jasności. Czy jemu nie przyszło na myśl, że widać z ogrodu?

Nie mogła teraz wypytywać Jacquetty. Chyba wymamrotała, że robi się zimno, bo malowanie się skończyło. Wbiegła po spiralnych schodach klap, klap, do kuchni i stanęła przy kuchennym piecu. Jak się dowiedzieć tego, o co jej chodzi, kiedy lada chwila może tu wejść Leon? On nie wie, że ona widziała, ale fakt pozostaje faktem. *W i d z i a ł a* i to wystarczy, żeby jej było głupio.

Drzwi frontowe trzasnęły, do kuchni wszedł Bruno, ten młodszy syn. Wlókł dużą, poobijaną metalową tablicę: AUTOBUSY - OBJAZD.

- Ty - powiedział - pomożesz mi to zanieść do mojego pokoju? Jeszcze jedna do kolekcji.

Dźwignęła koniec tablicy - zdumiewająco ciężkiej - i ruszyli na górę.

- Co z tym zrobisz? - zapytała bez tchu.

- Nie wiem.

- Co z autobusami? Nie pojedą w złą stronę?

Stali na podeście, zasapani. W całym mieście wilki wyły, króliki podrygiwały, autobusy wjeżdżały w ślepe zaułki. Jak można się z tym uporać? A i tak jest coś o wiele bardziej kłopotliwego. To jednak nie powinno dziwić, India przecież mówiła o prezerwatywach.

Dobili do pokoju Brunona. Chłopiec otworzył drzwi pchnięciem - bardzo mocnym, tyle rzeczy je zastawiało - i zapalił światło.

Przez chwilę Celeste myślała, że ten pokój jest splądrowany. Podłogę pokrywały do wysokości kostek puszek po piwie i różne sztuki męskiej garderoby. Jeszcze więcej odzieży wypadało z na pół otwartych szuflad. *Czy ja mam dzieci? Gdzieś musiały mi się zapodziać, zajrzyjmy do komody.* Potknęła się o butelkę po wódce i wpadła na pacholek zabrany z jakiejś naprawianej ulicy. Na tym śmietniku tablice ze znakami drogowymi wytwarzały jednak nastrój londyńskiej zajezdni. Poza tym dziwnie pachniało - jakby spalonym łajnem.



- Do licha - powiedziała. I pomyślała: kiedyś Buffy na palcach wchodził do tego pokoju, żeby pocałować synka na dobranoc. Jakież trzęsienie ziemi nastąpiło później! - Co za okropny bałagan.

- Dobry, no nie? Zdarzyło się raz, że spałem tu przez dwie doby bez przerwy. Tu, pod tymi rzeczami na kołdrze. Nie mogli mnie znaleźć. Aż nawet zawiadomili policję.

W Melton Mowbray chłopcy nie są tacy. Nie mają takich szop na głowach i takich tępych twarzy. I nie mieszkają tak obrzydliwie, to na pewno. Wydaje się, że im więcej kto ma pieniędzy, tym bardziej jest niechlujny. Tam, w Melton Mowbray, ludzie uskarżają się na nastolatków, oczywiście, bo oni wsiadają na rowery górskie i objeżdżają budki telefoniczne w kółko. Ale potem z dnia na dzień wyrastają na młodych pracujących w kombinezonach Tesco. Muszą.

- Tu jest prawie tak, jak u mojego taty - powiedział Bruno.

- Naprawdę?

- Powinnaś sama zobaczyć.

- Powinam?

Uśmiechnął się z czułością.

- On jest beznadziejny. Stary pierdoła.

- Nie wolno ci tak mówić o nim. - Gruchnęła tablicę na łóżko. - Nie masz ani krzty szacunku?

- Dla moich rodziców?

Akurat wtedy zadudniły buty na schodach i wszedł ten starszy, Tobias.

- Cześć - powiedział. - Pociągając nosem, odwrócił się do brata. - Co paliłeś? Skąd miałeś?

- Od mamy. Zachapała to i trochę mi odpalantowała. Moja dziesięcina. - Bruno odwrócił się do Celeste i wyjaśnił jej dobrotliwie. - Wiem o dziesięcinach, bo przerabiamy Średniowiecze.

Co on opowiada? Jego mama daje mu papierosy? Celeste popatrzyła na ściany. Były czarne, wisiały na nich czaszki i plakaty z kobietami w skórzanych kurtkach oraz tablice: TRASA ALTERNATYWNA i POLICJA ZAWIADAMIA: WYPADEK DROGOWY. Zrobiło jej się słabo, ale nie miała gdzie usiąść. Życie tonie w chaosie, tablice kierują ją we wszystkie

strony, nie tam, gdzie trzeba: na ulice jednokierunkowe i w ślepe uliczki, króliki zjadają jej dobytek, mężowie żon zabierają się do wiadomo czego w suterenach. W swojej miłości do Buffy'ego z chwili na chwilę coraz bardziej traciła orientację.

Z kim mogłaby porozmawiać teraz? Może z jego synami? Doznawała wrażenia, że są inteligentniejsi, niż starają się wydawać. Ale rozmowa tutaj nie jest możliwa. Już nastawili muzykę ogłuszającą straszliwie i w głowie jej tętniło.

Pozostaje tylko jedna osoba, jedna jedyna nadzieja. Wrzasnęła do chłopaków.

- Gdzie jest India?

Tobias parsknął tym swoim derkaczowym śmiechem.

- W Pakistanie. Odsiaduje krótki wyrok.

- Co?

- Żartowałem. Przepraszam. Wyszła.

- Dokąd?

- Do pracy.

- Gdzie ona pracuje?

\*

Wychodząc ze stacji kolei podziemnej na Leicester Square, Celeste poczuła się wprost napadnięta pijackim jodłowaniem i zapachem hot-dogów. Pyszczaty młodzieniec grał na saksofonie. Przeszła obok niego szybko. Buffy kiedyś zastanawiał się przy niej: „Dlaczego człowiek się zatrzymuje, żeby posłuchać ulicznych muzykantów, tylko wtedy, gdy jest na urlopie?”. Przeszła przez kogoś leżącego plackiem. Zgięta we dwoje biegiem minęła Japończyka, który wycelował w nią kamerę wideo. Już się uczyła londyńskich śmignięć i uników, zbaczania przed pijanym, podskoku nad kałużą wymiotów. Zaledwie trzy tygodnie temu chodziła po Soho oszołomiona i przerażały ją te zapachy, ten hałas. Zaledwie trzy tygodnie temu. Jakże się od tamtego czasu zahartowała!

To kino było duże, w odróżnieniu od takich szafek, nad jakimi ubolewał Buffy. Zamierzała zapytać kierownika, czy może porozmawiać z Indią, ale

dawano *Obywatela Kane*, a Buffy jej mówił, że to film rzeczywiście dobry, więc kupiła bilet i weszła do sali.

Reklamy - na ekranie chwiał się w takt głośniejszej muzyki zadek w niebieskich dżinsach. Przystanęła w mroku. Ktoś wziął od niej bilet - nie India. W tym mroku jednak tam i z powrotem snuły się inne latarki. Które światełko jest Indii?

Doprowadzona do fotela, usiadła. Kiedy wzrok jej się oswoił z ciemnością, zobaczyła, że sala w połowie raczej świeci pustkami. Dziwnie mięsny zapach prażonej kukurydzy wisiał w powietrzu. Zaczął się film: żelazna brama, wieżyczki na tle pędzących chmur czarnych i białych. Ludzie jeszcze wchodzili do sali, w przejściach latarki jeszcze krążyły, żeby oświetlić wolne miejsce tu, wolne miejsce tam. Błyskały jak robaczki świętojańskie, ale wkrótce miały zgasnąć, bileterki miały zniknąć tam, gdziekolwiek znikają bileterki. Dokąd one odchodzą? Po prostu się ulatniają.

Nigdy dotąd Celeste o tym nie myślała. Nigdy dotąd nie myślała o wielu rzeczach. Z ekranu huczał jakiś głos. Publiczność oddychała, wzdychała *en masse*, jak ciemna wielka gąbka osiadając. Przestała funkcjonować, po jej licznych źrenicach tańczyli jaśniejącymi twarzami aktorzy. Celeste właściwie nie patrzyła na film. Po raz pierwszy w życiu zastanawiała się, jak to jest być aktorem. Rzeczywiście nigdy przedtem to jej nie interesowało. A to jest to, co robi Buffy. Wkłada jakiś kostium i przestaje być sobą, zostawia swoje poszczególne rodziny macające w ciemnościach, a sam zabawia wszystkich innych.

To niehonorowo. Miejsce obok niej było puste. Gdybyż Buffy tu był! Może by się usprawiedliwił. Trzymałby swoją niedźwiedzią rękę na jej kolanie i karmiłby ją kawałkami czekolady Bourneville. Wprowadziłby ją w tę sprawę, w przygodę. Może by protestował, że wcale nie ucieka, tylko spełnia swoje zadanie: umożliwia ludziom odnalezienie samych siebie, pokazuje ich własne odbicia, napełnia im głowy odpowiedziami. A jeżeli nie odpowiedziami, to marzeniami. Kto wie? Jego tu nie ma.

India jest - gdzieś tutaj. Celeste nie mogła już połapać się w tym filmie. Wstała i poszła na poszukiwanie Indii. W foyer nie było nikogo poza

wyraźnie znudzonym sprzedawcą hamburgerów, który próżnował przy zbiorniku kipiącego soku pomarańczowego. Po nakrytych chodnikiem szerokich schodach weszła na piętro.

India stała w drzwiach z napisem „balkon”. Celeste od razu poznała ją z tyłu, nawet w tej brązowej liberii. India patrzyła na film. Celeste klepnęła ją w ramię.

India się odwróciła.

- Cześć - powiedziała. - Co ty tu robisz?

Celeste wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, że to jest dobre.

- Widziałam to mnóstwo razy. Mój ojczymek... Buffy... eks-ojczymek... często mnie zabierał do kina, zwłaszcza na stare filmy. Zna nazwiska tych aktorów, więc szeptał mi je, a wszyscy syczeli, żebyśmy byli cicho! - Spreżyła się. - Patrz na ten fragment.

Celeste patrzyła przez chwilę. India wzięła ją pod rękę i wprowadziła na balkon. Usiadły. Oprócz nich nie było tam nikogo. India rozejrzała się i wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów.

- Mam nadzieję, że pan Nathan nie widzi. Już dwa razy próbował mnie wylać. - Zapaliła papierosa, rozparła się wygodnie. Wskazując ekran, szepnęła: - Biedny stary Orsori Welles, nie wiedział, co go czeka. Napacykował sobie zmarszczki i pobielił włosy. - Wypuściła dym nosem. - Wcale nie wiedział, że pęknie jak balon i jego kariera się rozpadnie.

Poniżej aktorzy na ekranie kwitli. Rozjaśniali twarz Indii i wianek dymu jej papierosa. Celeste zagaiła.

- Więc chodziłaś ze swoim ojczymem na takie filmy?

India przytaknęła.

- To były nasze potajemne wyskoki: *L'Atalante*, *Les Enfants de Paradis*. Francuskiego uczyłam się tylko z tytułów oryginalnych.

- Kiedy on poznał twoją mamę?

India uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Na farmie zdrowia. Mama odbywała medytacje w ogrodzie, a Buffy wykradał się do gospody. Usiłował się precyzyjnie przycisnąć pod drutem kolczastym, ale zaczepił spodniami. Musiała go ratować.

- Nie, ja pytam, jak dawno temu?

India podniosła nogi na oparcie siedzenia przed nią.

- Była wtedy żoną mojego prawdziwego taty, Alana.

- A Buffy? Był żonaty?

- Och, Buffy jest żonaty zawsze.

- Naprawdę?

- To taki romantyk. Dosyć miły, rzeczywiście. - Zaciągnęła się głęboko.

Wcale jej nie dziwią te pytania, pomyślała Celeste. Może jest pod wpływem narkotyku, więc wszystko jej się wydaje naturalne. - Wtedy był mężem Popsi.

- Popsi?

- Popsi Concorde. Imię i nazwisko ni przypiął ni wypiął. Mama tak uważała, ale to zrozumiałe. - India umilkła i zapatrzyła się w ekran. Orson Welles rozbijał meble. - Mama przez jakiś czas miała na jej punkcie kręćka. Tak dalece jak potrafi mieć na czyimkolwiek punkcie z wyjątkiem siebie samej. Zazdrość retrospektywna, przypuszczam. Wciąż mówiła, że ona jest ordynarna i bezczelna. - Wypuściła pióropusz dymu.

- Ja wtedy wiedziałam tylko, że mama wciąż mnie zabiera do tej knajpy.

- Do jakiej knajpy?

- Tej, w której Popsi pracowała. Wprowadziła się tam ze swoim nowym przyjacielem czy mężem czy kimś.

Głos Orsona Wellesa huczał jak głos Buffy'ego odbijający się echem przeszłości. India strząsnęła popiół z papierosa i odwróciła się do Celeste.

- Dlaczego tak cię to interesuje?

- Interesuje po prostu. Moje życie jest strasznie nudne.

- Nie chcesz patrzeć na film?

- Ta historia jest o wiele ciekawsza - szepnęła Celeste.

- Mów dalej.

- Jeździliśmy podziemną na Sloane Square. O rany, nie myślałam o tym od lat. Byłam mała. Nie wiem, dlaczego mnie tam wpuszczali, ale Popsi chyba nigdy się nie przejmowała niczym. To się nazywało „Stara Kasztanka”, pamiętam szyld. Lubiłam konie.

Przez parę minut patrzyły, na film. Celeste przynajmniej udawała, że patrzy. Później nic a nic z tego filmu nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała tylko, jak India siedziała przy niej, twarz miała siną w świetle z ekranu i latarkę trzymała na kolanach.

- Jaka ona była, ta Popsi?

- Tleniona blondynka. Buffy mówił, że z rodzaju tych kobiet, które zawsze mają o jeden rozpięty guzik za dużo. Widziałam jej odbicia we wszystkich lustrach za barem. Mama po prostu siedziała przy stoliku i obserwowała ją. Ona prawdopodobnie nawet nie wiedziała, kim mama jest. Jadłam mnóstwo chrupek. - India parsknęła śmiechem. - Zabawne, przecież mama nawet nie pije. Nigdy nie chodzi do knajp. Ale zazdrość każe ludziom robić dziwne rzeczy, tak myślę. Rozstają.

Celeste nie zauważyła, że film się skończył. Na dole zrobił się ruch. I właśnie wtedy zjawił się człowiek w smokingu. Chyba krzyczał coś do Indii.

Kiedy się odwróciła, Indii już nie było. Tylko gaza dymu wisiała w powietrzu. Światła się zapaliły.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

---

Miles szedł między półkami, popychając wózek. Bulgocząco z Muzaka płynęła melodia ku ukojeniu jego skołatanej duszy. Raz po raz spoglądał na spis, który dała mu Brenda. Ręczniki kuchenne Trieste. Pożywka do włosów Vosene Silk. Diet Tizer. Wciąż był nie w tym dziale, co trzeba, ale i te rzeczy zostały spisane bardzo chaotycznie. Wciąż więc zawracał i zderzał się z idącymi w odwrotnym kierunku. Przeważnie z kobietami. Było późne popołudnie.

Kupował w wielkim supersamie Tesco. Budowano też ogromny supersam Sainsbury's dalej na tejże ulicy. Każdy z tych samów zdobiał dzwonnice i przyczółki, i wieże z zegarami. Są to monstrualne, budowane z cegieł pijawki, które wysysają miasto do ostatniego grosza. Powiedział kiedyś do Brendy: „Tylko pomyśl. Za setki lat archeolodzy będą mówić: co to było? Wspaniałe odrodzenie religijne? Te wszystkie ogromne, ogromne kościoły! Rozległe parkingi przykościelne! Najwi- docznej mylnie uznaliśmy tamte czasy za Erę Bezbożności!“. Ale Brenda nie słuchała, zobaczyła, że poleciało jej oczko w rajstopach.

Słodzone Płatki Pszenne Tesco. Wrzucił jedno opakowanie do wózka. Ani on ani Brenda nie jadają Słodzonych Płatków, ale nie w tym rzecz. Czuł się wyczerpany, nogi bolały go jak gospodynię domową.

Skierował się do konserw rybnych. To było najważniejsze, o to chodziło Brendzie. Cóż, kiedy właśnie sardynek zabrakło. Wiadomość o tych sardynkach zapewne już rozeszła się po mieście.

Załadował zakupy do samochodu i pojechał do supersamu na drugi koniec Swindon. Zaczął szukać w labiryncie stoisk. Sardynki. Omal nie wykrzyknął: hurra! Tulił tę puszkę w ręce. Dla Brendy to nie jest puszka. Abbey Vale Sardynki w Sosie Pomidorowym. To Najpiękniejsza w Życiu Podróż Naokoło Świata We Dwoje Brytyjskimi Liniami Lotniczymi za 100.000 funtów.

Najwidoczniej wiele godzin zabrało mu kupowanie, krążenie po objazdach z jednego supersamu do drugiego. Kiedy dotarł do domu, było ciemno i Brenda już wróciła z pracy. Gościła w saloniku swoją przyjaciółkę, Gail. Słyszał ich głosy.

- Więc siedzieliśmy w tym kinie - mówiła Gail - a tu on mi wsuwa rękę pod spódniczkę. Tak po troszeczkę. Myślał, że nie zauważam.

- Czy pod tę twoją plisowaną od Marksa i Spencera? - zapytała Brenda. Zwalił zakupy na podłogę w kuchni. Brenda przybiegła od razu.

- Dostałeś sardynki? - wysapała. Przytaknął. - I tamto wszystko? - Pocałowała go w policzek, a on zobaczył, że w zlewie pełnym wody leżą butelki, których etykiety już się odklejają.

Brenda z puszką sardynek jak z trofeum poszła z powrotem do saloniku. Gail wykrzyknęła. Obie zaczęły chichotać.

Stał cicho. Etykiety w wodzie się zwijały, niektóre wypłynęły na powierzchnię. Plastikowe torby wzdychały, osuwając się przy jego nogach. Ostatnio coraz bardziej czuł się tak, jakby zabłądził do cudzego domu. Te wszystkie domki w nowo powstałym osiedlu wyglądały tak samo, pomyłka byłaby zrozumiała. Rzeczywiście raz nawet się pomylił: pogwizdując wkroczył do domu Widdicombe'ów, kiedy zajadali *fondue*. Mógłby wejść frontowymi drzwiami gdzie indziej i zacząć życie na nowo.

Czy inni mężowie też tak się czują? Nie jest mężem długo, zaledwie dwa lata, ale powinien już się oswoić, a tymczasem robi mu się coraz bardziej nieswojo. Może to sprawia nienormalność tej sytuacji: Brenda pracuje, on nie. Najlogiczniejsze wytłumaczenie. Zaczął jednak czuć się tak, jeszcze zanim jego etet zlikwidowano.

Trzeba umieścić te zakupy w spiżarni. Na półkach stały rzędy za rzędami puszek odartych z etykietek. Połyskiwały metalowo, duże, małe, spłaszczone. Wybierali puszki do zjedzenia, on i Brenda, jak dwoje niewidomych. Ale miało to jakiś wariacki posmak przygody. Otwiera się puszkę nie wiedząc, co w niej będzie. Budyń? Fasola? Wśród tego mnóstwa konserw, których nikt nigdy nie zje, jest dziesięć puszek Puree z Groszku dla Kawalerów. Brenda kupiła je tylko ze względu na etykiety - dziesięć, żeby dziesięciokrotnie wziąć udział w konkursie reklamowym.



Cały ten dom zatykały artykuły, których nigdy się nie zje, którymi nigdy nie odżywi się włosów ani nie spryska mebli. Spiżarnia była już tak zapelniona, że z trudem zamknął drzwi. Po tym wysiłku zrobiło mu się duszno i ciężko, jakby cierpiał na niestrawność. Bzik Brendy na punkcie konkursów wymyka się spod kontroli, to już jest nałóg. Ona sama pogodnie to przyznaje. Nie zdobyłby się na to, by ją zmiętygować.

Brenda ma taką nudną prapę. Osiem godzin dziennie siedzi przy konsoli. Z rurkami w uszach jak reanimowana, ze wzrokiem wlepionym w ekran, nierzadko z bólem głowy. Czyż ón mógłby jej odcinać drogi ucieczki? Wszystkie koleżanki Brendy z pracy biorą udział w konkursach. Przez całą godzinę przerwy na obiad bazgrzą w notatnikach czarowne liczby. Myją opakowania masła. Zbierają kapsle butelek, służące za dowód kupna; depczą je, żeby wysłać dostatecznie spłaszczone. Marzą o samochodach i zmywarkach, i o Wakacjach Dla Dwojga Na Wyspach Bali. Marzą o tym, że znajdą w skrzynce na listy Podłużną Białą Kopertę i mówią o niej nieomal szeptem pełnym szacunku, nazywając ją inicjałami PBK.

Wieczorem te panie składały sobie wizyty i w saloniku u tej czy u tamtej wymyślały slogany: coś tam połączone z czymś tam *ma niebiański smak, bo... Sportowiec wybiera olejki takie to a takie, bo...* Kiedy były w jego, Milesa, domu, słyszał raptowne wybuchy śmiechu, głosy podniesione, jeżeli na którąś spłynęło tak zwane przez nie *wygranatchnienie*. Zanim poznał Brendę, przypuszczał, że pisanie haseł reklamowych odbywa się w samotności jak masturbacja, ale ona i jej przyjaciółki robiły to razem - dziewczęcią orgią głosów składały nieszczerę hołdy towarom, których nigdy nie używały... *bo ta kielbasa jest pierwsza klasa... bo dzięki temu śniadanie masz tanie niesłychanie...* Świetnie się na tym znały. Umiały skutecznie łączyć żart i pochlebstwo. Szzydziły z takich wyświechtanych banałów jak *Ekspert to udoskonala, koneser to wybiera*. Właściwie budziły podziw. On je podziwiał, naprawdę. Wygrywały mnóstwo. Nie dawniej niż we wrześniu jedna z nich, Phyllis, obliczyła, ile opakowań Opal Fruit mieści się w bagażniku fordka Escort, wygrała ten samochód i wszystkie te słodczyce, i jej fotografia była w miejscowej gazecie.

Och, tak, wygrywały. Szczególnie Brenda. W tym właśnie sęk. Wciąż ciągnęła go na promocje do odległych o setki mil hoteli na północy Anglii, w Stockport na przykład, gdzie nieznane mu z telewizji i w ogóle z niczego osobistości telewizyjne w tupecikach obejmowały Brendę, mówiąc jej „moja miła”. A potem napływały nagrody. W zeszłym tygodniu strasznie się zląkł, kiedy - otwierając na dzwonek drzwi frontowe - zobaczył przed sobą faceta w zielonym kombinezonie i usłyszał:

- Dzień dobry, jestem z Marsa.

Była to wtedy kuchenka mikrofalowa. Na szczęście, teraz, bez pracy, siedział w domu przez cały dzień, mógł te rzeczy przyjmować. Zapełniały dom. Na szczycie schodów mieli pokój, jak sobie wyobrażał, dla ich dziecka, nawet nakleił tam na ścianach szlak z misiów. Ale dziecka jakoś nic nie wróżyło, a pokój zagracały przedmioty chyba nigdy nikomu niepotrzebne, coraz ich więcej i więcej: rożen termogazowy, źródło mineralne Philipsa z pedałem, wózek pani domu zdalnie sterowany. W kącie piętrzyła się poduszkowa wykładzina Marley wartości 250 funtów, nagroda pocieszenia w konkursie Potrząśnij i Odkurzaj. Nie sposób było otworzyć tam okna. Wnękę okienną zapychało pudło z kompletem kijów i piłek do golfa Dunlop Maxfli. On nie grał w golfa.

- Daj spokój - powiedziała Brenda. - Mógłbyś się nauczyć. Wygram dla ciebie lekcje!

Raz po raz wygrywała coś dla niego. Myślała, że on jest w tym przy niej i że staną się Konkursową Parą Roku. Po prostu nie zwracała uwagi na brak zainteresowania z jego strony. Schował część tego bogactwa do kredensu - prasy do spodni, takie rzeczy. Mniej więcej za sumę stu funtów Kosmetyki Męskie Brezent. Od czasu do czasu pachniały mu, kiedy tamtędy przechodził.

Brenda niczego nie zauważała, bo jak narkomanka już sięgała po następną swoją dawkę. Skąd taki głód? Czy to jego wina? Może jest nim rozczarowana i usiłuje zapełnić pustkę? Może z jego winy nie zachodzi w ciążę? Nie odważyłby się poruszyć z nią tego. Pytań ona nie lubi. Gdyby zapytał „Po co to wszystko?”, tylko by popatrzyła na niego oczami bez wyrazu. I znów poczułby się głucho samotny.

\*

Tej nocy w łóżku przytuliła się do niego.

- Biedaczka ta Gail - powiedziała - wciąż się spotyka z takimi strasznymi typami. Mieszka ze swoją mamą, więc tylko dlatego im się zdaje, że jest rozpaczliwie chętną. - Pocałowała go w ucho, wsunęła rękę pod spodnie piżamy i pogłaskała go po pośladkach. - Ja jestem szczęściara. Wszystkie mi to mówią.

Zasmuciła go tym zuchwałym spoufaleniem. Chciał, żeby już spała, ale jej palce pracowały zręcznie i praktycznie. Potrafiła go podniecić, chociaż duchem przebywał daleko. Wspominał tamten pierwszy raz, kiedy się kochali. Nocą po przyjęciu, na którym ją poznał. Oboje byli pijani, niezdarnie namiętni w łóżku w jego mieszkaniu. Miejscowa radiostacja nadawała bluesy. Akurat w ich kulminacyjnym momencie muzyka ucichła i zaczął się dziennik druga zero zero.

*W Belfaście terrorysta z IRA zastrzelił właściciela pubu i jego żonę strzałami o płaskim torze pocisków.*

Ale nawet to nie ostudziło ich zapału. W tamtych czasach nie.

Teraz, kiedy skończyli, Brenda zwinęła się przy jego ramieniu i powiedziała mu o polowaniu na skarb. Do tego właśnie są potrzebne etykiety z sardynek.

- Jutro wysyłam zgłoszenie - powiedziała. - Tylko pomyśl... Hong Kong, Sydney, Disneyland. Wszędzie tam my we dwoje!

Oddychając w jego szyję, oplatając nogą jego udo, Brenda ni stąd ni zowąd zasnęła. Było zimno. Włożyłby piżamę, ale wolał Brendy nie budzić. Dlaczego? Czy dlatego, że: a) jest taki zacny, b) nie chce, żeby ona dalej mówiła? Gdyby upolowała ten skarb, mógłby ją wyprawić w podróż naokoło świata samą.

Tej nocy, patrząc jak światło jarzeniówek przenika przez zasłony w oknie, zdał sobie sprawę, że jego małżeństwo jest pomyłką. Ta myśl tak go zaniepokoiła, że niezupełnie ujął ją w słowa. Życiem rządzi przypadek, bardziej bezapelacyjnie niż jakąkolwiek kartą loteryjną do skrobania, i o wiele, wiele bardziej przerażająco. Rozpamiętując mógł dokładnie ustalić

chwile, w których dokonał niewłaściwego wyboru i zapoczątkował rozwój wypadków nie dający się zatrzymać. W jednej z takich chwil, stojąc przed szkolną tablicą ogłoszeń, pojął, że jeśli nadal będzie uczył się fizyki, nie będzie musiał uczestniczyć w zawodach sportowych. Nabrał rozpędu w wyniku tego wyboru: zapisał się do college'u i stamtąd dostał się do laboratoriów badawczych Glaxo na sześć lat drętwoy, od której uwolniła go niedawno redukcja etetów. Co, na Boga, będzie robił teraz, po spaleniu za sobą wszystkich mostów?

Inną taką chwilą było natknięcie się w alkoholowy piątkowy wieczór na znajomego, niejakiego Neville'a Bowmana. Neville kupował butelkę Hironnelle, którą chciał uświetnić balangę u kogoś, więc on zamiast wypożyczyć film wideo wybrał ową balangę i przyłączył się do Neville'a. Tym samym zaczęło się odliczanie czasu do chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał Brendę. W kuchni jadła korniszony. Była w bluzce-nie-bluzce bez ramiączek odsłaniającej ramiona pulchne i kremowe. Kipiała życiem! Gawędziła z nim non stop. Zawsze nieśmiały, czy może po prostu leniwy, wolał dziewczyny śmiałe i gadatliwe, a Brenda okazała się nawet bardzo śmiała. O północy stał z nią na podeście schodów i całowali się namiętnie, przyciśnięci do ściany, kiedy ludzie przepychali się obok nich, idąc do kio. Przelotnie otworzył oczy i zobaczył, że ona zza jego ramienia macha ręką do jakiejś swojej przyjaciółki.

Może jeszcze wtedy to mogło nie posunąć się dalej. Ale w przerwie dla zaczerpnięcia tchu między pocałunkami znowu w kuchni uznał, że mu wypada zwolnić trochę tempo, zapytać o jej zainteresowania, co lubi robić itepe.

- To - odpowiedziała, wskazując porzuconą na krześle gazetę z reklamą: namiot, roześmiana para przy kuchence turystycznej.

- Naprawdę? Ja też. - Serce mu wezbrało. Nagle ta Brenda stała mu się droga. Nie tylko ponętna, ale pokrewna dusza. Nigdy dotąd nie spotkał dziewczyny, która lubi obozować. Mogliby chodzić po wydmach Berkshire, oboje ogorzali, i pomagałaby mu nieść ekwipunek zawsze dla niego za ciężki. Razem obserwowaliby ptaki, a potem naturalnie odpoczywaliby w

dobrym, starym dwuosobowym śpiworze. Pocałował ją serdecznie, nawet z miłością.

A kiedy odkrył, że wskazała wtedy reklamę z nadrukiem „Kupon konkursowy” - rzeczywiście było już za późno.

Leżał z oczami otwartymi i wyobrażał sobie drastyczne rozwiązanie. Tornado zmiata wszystkie te małe domki osiedla Hareldene i unosi je wirujące jak domek Dorothy w *Czarodzieju z Oz*. Jego dom ląduje gdzieś daleko, daleko, dla niego nie do odnalezienia, i Brenda będzie tam szczęśliwie żyła z kimś innym. Rozstanie bezbolesne.

Albo - on teraz po prostu zaśnie, żeby dokończyć sen o tych dwóch latach. Kiedy się obudzi rano, tego wszystkiego nie będzie. W tamten wieczór nie poszedł na przyjęcie, wypożyczył wideo i zasnął przed telewizorem.

Albo... albo rozdziera paznokciem skórę na plecach Brendy. Pod skórą jest wiadomość. Co tu napisane?... dlaczego nie można odczytać tych liter?... czy może to są cyfry tajnej kombinacji, żeby otworzyć... nie do odczytania... i już się zamazuje.

Miles spał, uwięziony, uwolniony, nie wiedząc, że w spiżarni na dole puszka rybek zdecyduje za niego akurat tak, jak za Celeste zdecydowała puszka po herbatnikach, i że jego życie już kieruje się tam, gdzie wszystko ulegnie całkowitej zmianie. Nie wiedział również, że w przyszłości będzie patrzył wstecz na te dwa lata obojętnie, z niejasno życzliwą ciekawością, jak gdyby rzeczywiście tylko mu się przyśniły.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

---

Więc co robiłaś wczoraj wieczorem, gołąbeczko? - zapytał Buffy. - Tęskniłem do ciebie.

- Byłam na *Obywatelu Kane*.

- Z kim?

- Z nikim - odpowiedziała Celeste. - Czuję się tak zacofana. Chcę nadażać. Poszłam sama.

Czy można jej uwierzyć? Uśmiechnęła się do niego - taka czysta, szczerą twarzyczką.

- Wolałbym, żebyś poszła ze mną - powiedział. - Lubię patrzeć, jak ty patrzysz na wszystko.

Celeste milczała. Usiedli w fotelach na parterze. Przyprowadził ją do Barbican, żeby zobaczyła *Powieść Zimową*. Poprawiła mu za plecami jego poduszkę do podpierania kręgosłupa. Ilekroć siedział w teatrze z Celeste, zdawał sobie sprawę, że się starzeje - te fotele robią się coraz mniejsze i twardsze, głosy aktorów coraz bardziej bełkotliwie niewyraźne. Młodość Celeste jest jak światło, kiedy się je zapala w domu i ogród o zmierzchu natychmiast ciemnieje, odsuwany jasnością w stronę nocy. On jest ogrodem, oczywiście.

Usadowili się. Normalnie nic by go nie przyciągnęło do Barbican, gdzie czuł się jak więzień stalinizmu, ale przyszło mu na myśl, że ją, Celeste, może poruszyć ten szekspirowski dramat pełen czaru, odkupienia, możliwości cudów. Poza tym Leonte- sa grał jeden z jego dawnych współzawodników, zreformowany hulaka Dermott Metcalfę, który błyskawicznie stawał się teraz Starym Mistrzem - tytuł, jakiego się dochrapie każdy, kto tkwi w teatrze dostatecznie długo, ma jedną szczęśliwą okazję i nie zagląda do butelki. Dermott był też jego rywalem w miłości. Dawno, dawno temu, na objeździe ze sztuką *Dziedzictwo Voy- seyów*, obaj zakochali się w rudowłosej ślicznotce imieniem Sere-<sup>166</sup>na i chociaż Buffy przelotnie cieszył się jej łaskami, to Dermott zdobył ją ostatecznie i, co

więcej, ożenił się z nią. Prawdopodobnie nadal jest jej mężem. Gdzieś w Sussex zapewne ona starzeje się pięknie - wspaniale była zbudowana - i podaje herbatkę dziennikarzom z kolorowych dodatków niedzielnych, którzy tam przyjeżdżają, żeby zrobić wywiad ze Starym Mistrzem.

Światła zgasły, przedstawienie się zaczęło. Buffy ujął chłodną małą rękę Celeste i przycisnął sobie do piersi.

*- To za gorąco! - krzyczał Leontes. - Tak mieszać uczucia jest to krew mieszać. Czuję tremor cordis, serce mi skacze, lecz nie z radości...<sup>2</sup>*

Leontes zawsze Buffy'ego irytował. Co za uparty pyszał- kowaty dureń! Podejrzewać taką żonę jak Hermiona! Od razu widać, że ona nie z tych, które oszukują. Nie taka, żeby pacykować się nagłą opalenizną i cudzołożyć nad pizzerią.

*- Opokalanypo uszy, rogaty. - Leontes potrząsał lokami -... i dziś, i teraz właśnie gdy to mówię, mąż jest niejeden, co żony dłoń trzyma nie myśląc, biedny, że może przed chwilą staw jego spuścił i ryby mu wybrał Sąsiad Smiechalski, najkochańszy sąsiad...*

Dermott relacjonował tę sprawę donośnie, w sposób przykuwający uwagę, akurat właściwy, żeby poruszyć publiczność, ale publiczność patrzyła tak, jakby przyjechała z Kansas. Buffy przeniósł wzrok na Celeste - na tę łabędzią szyję, profil chłopczyka z chóru. Wydawała się zachwycona.

*- Więc nic są szeptu? - ryczał Leontes. - Lic do lic zbliżenie? Nic ust całunki, mieszanie oddechów? Nic śmiech przerwany głębokim westchnieniem?*

- Chciał temu dziewczątku powiedzieć: to ja powinienem być tam na scenie! Cóż, kiedy dramaty jego prywatnego życia skutecznie w cień usunęły go z dramatów teatralnych. Zbyt cholernie dramatyczny był front domowy. Awantury i obwinianie się wzajemne, i - no, dobrze - trzydniówki od czasu do czasu, ale tylko wtedy, gdy człowiek był bliski załamania... I jaki zamęt wprowadzała niewierność poszczególnych żon. Jacquetty, na przykład. Jej wypad do Walii z tym padalcem, terapeutą od formowania jaźni, kiedy on się przygotowywał do zagrania Macduffa. Jej następna

<sup>2</sup> 2 „Powieść Zimowa” Szekspira. Przekł. Leon Ulrich.

eskapada do Egiptu. Ten straszny kac, telepanie się na przełaj przez Anglię, żeby odebrać rodzone swoje dzieci od jej matki, oburzonej niewy tłumaczalnie na niego, a nie na córkę-nimfomankę... Utarczka z Popsi, kiedy storpedowała tamtą pracę w filmie. Tylko Popsi mogła tak wtargnąć do „Bluszczu”, gdzie on jadł obiad z reżyserem, i cisnąć czarękę pełną zupy cebulowej na zimno prosto w klapy marynarki reżysera. Nie miała dobrego oka, nigdy nie trafiała... I ci krwio pijcy adwokaci, jeszcze prawie nieopierzeni, a wzywali go do sądu właśnie wtedy, gdy powinien być na próbie, i wytoczyli z niego krew do ostatniej kropli, aż musiał odmówić BBC i przyjąć rolę w miniseriale w Los Angeles, który nie przetrwał, jak się okazało, swojego pilota. A przecież nikt nie wini za to jego żon. No, bo one to kobiety, czyż nie? A on bydlak, drań, egoista, ciemieżca. One niewinne! To, że mają jajowody, rozgrzesza je ze wszystkiego, a na dodatek ukradły mu jego dzieci...

Buffy zamrugał. Na scenie Hermiona mówiła:

*- Zabierzcie chłopca, nie jestem już w stanie znieść jego krzyków.*

\*

Podniosła swego syna i dała go jednej z dwerek - smukłej, ciemnoskórej dziewczynie w żółtej szacie. Buffy wyteżył wzrok. Gdzieś już tę dziewczynę widział. Podawała w cukierni? Jakaś znajoma.

Dziewczyna objęła dziecko ramieniem.

*- Pójdź ze mną, paniczu - powiedziała. - Czy chcesz się ze mną bawić?*



Może była ekspedientką w jakimś sklepie, do którego często chodził?  
Tylko gdzie?

Dziewczyna odwróciła się, podrzucając głowę. Buffy zdrewniał. Boże! Już wiedział. Kiedyś, przed laty przyszedł po nią do pewnego mieszkania. Na trzecim piętrze. Przyszedł, żeby zabrać ją na podwieczorek. Otworzyła mu drzwi - chude stworzenie z warkoczykami, dwunasto-, trzynastoletnie. Odwracając się tak właśnie podrzuciła głowę. „Mamo, jakiś pan!”

- *Wynieście stąd chłopca* - wrzasnął Leontes. - *Niechaj się odtąd nie przybliża do niej.*

Nyange posuwicie zeszła ze sceny, zabierając ze sobą dziecko. Buffy siedział sztywno, dopóki światła się nie zapaliły. Wtedy włożył okulary i niezdarnie przekartkował program. Jest: *Pierwsza Dama... Nyange Jamison.* Jego rodzona córka.

Ludzie wychodzili na antrakt. Celeste o coś go pytała.

- ... żona - mówiła coś o jakiejś żonie.

- Hermiona - odpowiedział z roztargnieniem. - To żona Leontesa. Ubzdurał sobie, że go zdradza, stary paranoik.

- Nie. Chodzi mi o twoje żony.

- Co? - spróbował pozbierać rozpierzchnięte myśli.

- O twoje żony - powtórzyła. - Nie wiedziałam, że miałeś ich tyle.

Spojrzał na nią.

- Nigdy nie pytałaś.

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu wydaje mi się, że to dosyć dużo.

- Mnie też! Aleja tego nie chciałem, zrozum. Nie z własnego wyboru byłem mężem mnóstwa żon. - Zamknął program. - Nawet mi się nie śniło, że kiedy dorosnę, będę musiał rozwieść się aż trzy razy, to żadna przyjemność!

- Objął Celeste ramieniem niezręcznie, zaklinowany w fotelu. — Któregoś dnia może zrozumiesz, najmilsza moja dziewczyno.

Wstała.

- Chodźmy napić się czegoś<sup>69</sup>

Głos miała cienki i ostry, prawie rozkazujący. Chyba zauważyła, że on błędził myślami daleko. Patrzyła na niego chłodno, jak gdyby cierpiał na jakiś chorobliwy brak powściągliwości wobec kobiet. Czyż mógłby jej powiedzieć teraz o Nyange?

Chciał jej pokazać w programie nazwisko swojej córki, ale raczej nie pora rzucać dziewczątku jeszcze jeden przykład jego rzekomego niepohamowania. Rzeczywiście od tego się zaczyna, że Carmela, matka Nyange, chciała mieć dziecko, ale niewątpliwie grubiaństwem wydawałoby się podanie tej przyczyny.

Ruszyli do bufetu. Chciał powiedzieć: to moja córka, ta na scenie! Nyange, ostatnim razem, kiedy o niej słyszał, była modelką, a teraz, no, proszę! Ma aktorstwo we krwi, nic dziwnego, ma to po ojcu. Och, gdyby przyszła z tym do mnie! Odsłoniłbym przed nią niejedną z tajemnic zawodu. Przecież to moja córka, do jasnej cholery!

Objąłby Celeste, gdyby nie była taka lodowata, i powiedziałby: „Wiesz, to moja córka, ta Pierwsza Dama na scenie. Nie widziałem jej od lat. Kiedyś chodziłem z nią na wodę sodową do Fortnuma. Wcinała ciastka i opowiadała mi o swoim ojczymie, och, jakże to bolało! Posyłałem jej prezenty na urodziny, dopóki nie zniechęcił mnie brak odzewu. Posyłałem prezenty za dziecinne dla niej. Pojąłem to później. Posyłałem pudełko sztuczek magicznych, a kiedy następnym razem ją zobaczyłem, już malowała sobie usta. Człowiek, który utracił dzieci, zawsze jest o krok z tyłu. Na całym świecie wygnani ojcowie przysyłają swoim dzieciom garderobę o jeden rozmiar za małą. Może my chcemy, żeby one nie rosły. Chcemy zatrzymać zegar. Gdyby stanął, zaczęlibyśmy znowu, żeby wszystko było jak należy tym razem”.

- Co się dzieje? - Celeste trzymała go pod rękę. - Źle się czujesz? - Posadziła go i głos jej złagodniał. - Wyglądasz strasznie.

\*

W czasie drugiej połowy przedstawienia zdecydował się bezczelnie pochwalić. Kiedy kurtyna opadnie, on weźmie Celeste za kulisy i dokona prezentacji. Kto wie? Celeste może nawet uznać, że jest pełen polotu, ojciec

takiej egzotycznej śniadej córki, nieślubnej w dodatku, bo z matką Nyange nigdy nie był w związku małżeńskim. Na scenie Camillo mówił.

*- Słyszałem, panie, o tym człowieku. Ma on córkę rzadkiej urody. Sława jej rozeszła się dalej, niżby się można było spodziewać po wieści w takiej chatce poczętej.*

Oczywiście te dwie powinny się poznać. Jakież to pikantne! Poza tym dobrze będzie spotkać Nyange znowu - wreszcie w scenerii dla nich obojga zrozumiałej, w teatrze, w świecie, który może wreszcie ich połączy. Buffy, patrząc jak jego córka chodzi po scenie, poważna i uroczysta, czuł w sercu dziwne ciepło. To było uczucie tak nieznanne, że przez większą część czwartego aktu nie wiedział, jak je nazwać. Ale w końcu dało się zdefiniować. Duma. On rzeczywiście jest dumny z jednego ze swoich dzieci. Czy gdyby zechciał, żeby jego dzieci kiedykolwiek były dumne z niego, chciałby za dużo? Tak.

*- Bogowie! Rzućcie na nas oczy z nieba i raczcie wylać- z świętych naczyń waszych błogosławieństwo na mej córki skronie!*

Obsada złożyła ukłony przy głośnych brawach. Buffy chwycił swoją poduszczkę do podpierania kręgosłupa i wyprowadził Celeste z sali.

- Jest ktoś, z kim chcę cię poznać - szepnął.

\*

- Czy to tędy? - zapytała Celeste.

POZIOM 8 - oznajmił napis - RZĘDY 1/2.

Pospieszyli przez oświetlony jarzeniówkami korytarz. Kończył się furtką. WYJŚCIE ZAPASOWE. Buffy pociągnął za pręty. Zamknięte.

Wziął Celeste za rękę, popędzili innym korytarzem i wyszli na kręty chodnik. Było mroźno. Kroki ich stukały na betonie.

- Z pewnością to nie tędy - powiedziała Celeste, zdyszana.

Potupali po schodach na górę. WEJŚCIE 2. Znów ich

zatrzymały zamknięte drzwi. Przy drzwiach była metalowa tabliczka z guzikami domofonu SCHOD Y PÓŁNOCNE MIESZKANIA 28-46. Buffy nie mógł złapać tchu, serce mu waliło.

Pośpieszyli z powrotem. POZIOM 8. Strzałka wskazywała kierunek. POZIOM 7. Inna strzałka wskazywała inny kierunek. Pobiegli innym korytarzem. Pchnęli drzwi, które się otworzyły. Samochody przejeżdżały, dusząc ich spalinami. Czy to jakaś szosa podziemna? Co za koszmarne miejsce! Gdzie jest wejście za kulisy? Napisy i strzałki kierowały ich na wszystkie strony. Jak dostać się do córki, kiedy wszystko sprzysięgło się, żeby dezorientować? Kiedyś, gdy odwiedził swoich synów na Primrose Hill, pozwolili mu pójść na górę do pokoju Brunona. Na drzwiach była tam duża metalowa tablica z napisem WSTĘP WZBRONIONY.

Pobiegli po nakrytej pomarańczowym dywanem podłodze tego czegoś, w czym się znaleźli na takim to czy na innym poziomie. Gmach Barbican się opróżniał. Może to błędzenie ma swój cel. Może on, Buffy, jest raz na zawsze skazany na to, by skręcać w niewłaściwe strony, wchodzić w ślepe zaułki. Kołatać w szybę, kiedy Quentin, jeden z synów, znika w głębi Harrodsa. Wpatrywać się bezradnie w Nyange na scenie. Nieosiągalną.

Celeste zatrzymała kogoś i zapytała o drogę. Odwróciła się, pociągnęła Buffy'ego za rękę.

- Tędy!

Klatka piersiowa go bolała, odciski pulsowały. Sapiąc szedł za Celeste. Jakimiś drzwiami poprowadziła go na podziemny parking. Ludzie wsiadali do taksówek i odjeżdżali w kłębach dieslowskiego dymu. Może on minął się z Nyange. Może ona już wyszła.

- To tam - powiedziała Celeste.

*Wejście dla aktorów, Królewskie Towarzystwo Szekspirowskie.* Aktorzy wychodzili pojedynczo, wydawali się mniejsi niż na scenie. Buffy przystanął.

- Kogo szukamy? - zapytała Celeste.

W tym momencie długim krokiem wyszedł Dermott Metcalfe. Był w eleganckim kożuchu i kapeluszu fedora.

- Russell, stary ptaszku! - Podeszedł do Buffy'ego. - Kopę lat. Gdzie się ukrywasz? Podobało ci się przedstawienie? - Odwrócił się do Celeste. - Witam. To twoja córka?

Buffy otworzył usta, ale Dermott już ścisnął rękę Celeste.

- Rodzinne powołanie, co?

To nie ta! - chciał wrzasnąć Buffy. Nie ta, to tamta! W tym momencie z podziemnego parkingu wyjechał samochód i zatrzymał się przy nich.

- Kochanie...

W otwartym oknie kierowcy uśmiechała się Serena, starsza o trzydzieści lat, ale dająca się rozpoznać i doprawdy piękna.

- Russell Buffery - powiedział Dermott. - Pamiętasz?

Marszczyła brwi przez chwilę, po czym znów się uśmiechnęła.

- Russell! Nasze dzieci słuchały Chomisia. Mówiłam im, że kiedyś znałam tego pana. No, tego chomika.

Dermott wyjaśnił Celeste: - Gruchali kiedyś ze sobą, zanim ja wysunąłem roszczenie.

Celeste zagapiła się na kobietę w samochodzie.

- Jeszcze jedna? - szepnęła do Buffy'ego.

Dermott mówił: - Co wieczór wozi mnie z Gerards Cross, prawda, że to skarb? - Pocałował żonę w czubek nosa. - Perła bezcenna. Szczęśliwy ze mnie drań.

Raptownie Celeste wzięła Buffy'ego pod rękę.

- Och, z ciebie też szczęśliwy drań, prawda, tatusiu? Z mamą i z nami wszystkimi. - Zwróciła się do Dermotta: - Nas jest bardzo dużo, wie pan, jedna ogromna szczęśliwa rodzina. Czyż nie tak, tatusiu?

Buffy przytaknął niemo.

Przycisnęła jego rękę.

- Kłopot tylko z tym, że tata za bardzo lubi przesiadywać w domu. Cały czas nam poświęca, bawi się z nami, jest nadzwyczajnym tatą i prawie nie ma kiedy myśleć o swojej karierze. Czyż nie tak, tatusiu? To dlatego nieczęsto go widać. Ale to się opłaca. Tyle radosnych wspomnień, tyle radosnych chwil spędzonych razem. - Odciągnęła go. - Chodźmy, tatusiu. Pora do łóżka.

\*

- Boże, Celeste! - Buffy wybałuszył oczy. Siedzieli już w taksówce. - Fantastyczne! Co za aktorka! - Odchrząknął. - Hmm... dlaczego tak zagrałaś?

Odwróciła się, żeby popatrzeć przez okno.

- Chyba dlatego, że on był taki słodki. Po dziurki w nosie mam ludzi, którzy nic, tylko głoszą, jacy są szczęśliwi. A potem się widzi, co wyprawiają w suterenach.

- W suterenach? Kto co wyprawia w suterenach?

Nie odpowiedziała. Siedziała wtulona w kąt taksówki. Przysunął się do niej.

- Mówiłaś serio? Że pora do łóżka?

Potrząsnęła głową.

- Po drodze mnie wyrzuć na Kilburn High Road.

- Celeste...

Odwróciła się do niego. Światła uliczne goniły się po jej twarzy. Te oczy, jakie ciemne!

- Dziewczyno moja kochana, o co chodzi? Nigdy nie wiem, co z tobą. Wtedy pierwszego dnia w sklepie... ta twoja śliczna buzia zmienna jak pogoda. Pozwól, że cię odwiozę do domu.

Siedziała obgryzając paznokcie.

- Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz - powiedział.

- Wielu rzeczy nie wiesz.

Delikatnie odciągnął jej rękę od ust.

- Powiedz mi.

- Nie teraz. Jeszcze nie.

RS

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

---

Celeste wyszła w blask słońca na Sloane Square. Już stwierdziła, że każde schody ruchome z każdej stacji kolei podziemnej wynoszą ją do innego Londynu. Kiedyś może te wszystkie Londyny złożą się dla niej w jedną całość.

Tutaj, na Sloane Square, nie było pijanych, nawet powietrze pachniało zdrowiej i kosztowniej. Kobiety w samodziłach przechodziły z torbami General Trading Company, jedna wlokła za sobą labradora na smyczy. Jakaś połyskliwa druga Penny w modelowym kostiumie wołała głośno:

- Taksówka!

Sama Celeste czuła się teraz szykowniejsza. Kupiła sobie płaszcz rdzawoczerwony w jednym z tych sklepów, które jeszcze niedawno ją przerażały. Za ten płaszcz zapłaciła mnóstwo - cały miesięczny czynsz przysłany przez lokatorów jej starego domu - ale ostatnio popełniała takie właśnie szaleństwa.

Spojrzała na swoją mapkę i poszła wolno przez Sloane Gardens, mijając kamienice, które przypominały tę Buffy'ego, chociaż przed nimi stały zaparkowane BMW. Jej nowe lśniące buty z cholewami stuknęły pewnością siebie, ale serce się tłukło o żebra. Dlaczego wczoraj wieczorem tak się wygłupiła? Buffy na pewno uważa ją za wariatkę, tak ni stąd ni zowąd zaczęła bredzić przy ludziach. I co by pomyślał, gdyby zobaczył ją teraz. To już trzecia jej wyprawa w jego przeszłość, trzecia i najdalsza. Przed każdą z tych wypraw żywiła nadzieję, że więcej ich nie będzie. Czyż możliwe, żeby człowiek miał tyle żon? I jeszcze inne kobiety... w dodatku! Czuła się jak archeolog, który bez upoważnienia nielegalnie przekopuje fundamenty starego budynku: warstwy wiktoriańskie, warstwy średniowieczne, aż w końcu natrafi na potłuczoną mozaikę willi rzymskiej.

<sup>176</sup> To był obszar zwany Pimlico, *Paszport do Pimlico* - tytuł jednego z ukochanych starych filmów Buffy'ego. On w tym filmie grał, powiedział, jako utalentowany młodzik. I opowiadał jej nieprzyzwoitą historyjkę o pewnym aktorze też grającym w tym filmie, ale nie chciała przypominać



sobie tego. Skręciła w lewo i poszła przez Pimlico Road. To jest na rogu, „Stara Kasztanka”.

Przeszła na drugą stronę ulicy do tej knajpy. Szyby lśniły w słońcu. Podeszła bliżej i zatrzymała się. Niby knajpa, ale zbyt tam czysto i przewiewnie. Nad oknem ozdobny napis: *Wina i Trunki Polinezyjskie*. Przycisnęła nos do szyby: wewnątrz pusto. Tylko wiele stolików nakrytych różowymi obrusami i krzesel.

Po chwili wahania pchnięciem otworzyła drzwi i weszła. Za -kontuarem nadal były lustra - te, w których kiedyś mnożyły się odbicia eks-żony Buffy'ego. Poczowała zapach czosnku. Zobaczyła kobietę niosącą półmisek z przekąskami - kobietę tak opaloną i stylową, że ogarnęło ją onieśmienie. Ta piękność postawiła na kontuarze półmisek z kałamarnicą.

- Pani w jakiej sprawie? Jeszcze nie otwarte.

- Szukam osoby - powiedziała Celeste - która kiedyś prowadziła ten lokal. Wtedy, gdy to był pub.

- Dominie! - zawołała kobieta.

Z kuchni przyszedł mężczyzna, też szalenie przystojny.

- Gdzie te paszteciki po hawajsku? - zapytał.

- Porozmawiaj z nią - powiedziała, wycierając ręce o fartuszek.

Celeste powtórzyła swoje i dodała:

RS

- To było sporo lat temu. Nazywała się Popsi Concorde.

- Jak?

Celeste się zaczerwieniła.

- Tak się nazywała, naprawdę.

Zagapił się na nią. Stała zażenowana w imieniu Buffy'ego. Że też ożenił się z dziewczyną nazywającą się tak niemądrze!

- Zawarliśmy umowę z browarem - powiedział mężczyzna. - Nie mam pojęcia, czyje to było przedtem. Właścicieli nie znałem.

Odwrócili się od niej oboje. Byli jak dwa konie wyścigowe, odchodząc i kręcąc głowami, kiedy ona stała tam nad swoim rozlanym mlekiem.

\*

Kolana się pod nią ugiwały. Wyszła na ulicę i przystanąła z oczami pełnymi łez. W Melton Mowbray nigdy by jej nikt tak nie zlekceważył. Gdybyż Buffy był tutaj, on by na nich ryknął. Walnąłby pięścią w ten kontuar, aż te czerwone papryki by podskoczyły. Potrzebowała go straszliwie, serce jej się ścisnęło. Tylko jego jedyne, pomyślała, mam na świecie.

I właśnie wtedy spojrzała na rząd sklepów po drugiej stronie ulicy. Wśród nich był zakład fryzjerski.

*Tleniona blondynka.* Tlenione blondynki muszą chodzić do fryzjerów, no nie? Muszą dbać o odrosty. Tlenione blondynki chodzą do fryzjerów bardzo często.

Przeszła przez jezdnię. Może jednak Popsi sama zajmowała się swoimi włosami, używając któregoś z tych preparatów, jakie są w składzie aptecznym pana Singha. Ale nie zaszkodzi spróbować. Na wystawie fryzjera płowiąły kolorowe fotografie modelek. Zakład wyglądał tak, jakby nie był odnawiany od lat, to było obiecujące. Usługi fryzjerskie dla pań i panów, jak wynikało z napisu, ale nie widziała tam żadnych mężczyzn. Fryzjerka czesała jakąś sympatyczną staruszkę. Nie opodal, stojąc na krześle, pulchna kobieta, dobrze po pięćdziesiątce, zawieszała sznurek ze złotymi literami WESOŁYCH ŚWIĄT WSZYSTKIM NASZYM

KLIENTOM. Na widok jej wchodzącej zgramoliła się z krzesła i podeszła do niej z uśmiechem.

Wydawała się życzliwa, tak zupełnie inna niż tamci z przeciwka, więc Celeste powiedziała:

- Dzień dobry. Chciałabym rozjaśnić pasemka. Myśli pani, że byłoby mi z tym do twarzy?

\*

Jakież to kojące! Dawno temu matka myła jej głowę, wcierała szampon, przechylała ją w wodę pełną piany. Potem gumowy wąż prysznicą spłukiwał jej włosy na czoło. W piekących oczach migwały kafle z muszelkami.

Fryzjerka imieniem Rhoda przez cały czas operacji rozjaśniania pasemek, trwającej wieki, opowiadała Celeste i drugiej fryzjerce o swoim nowym mieszkaniu w Lechworth i o tym, jak ślicznie je urządzi. Przy każdej nowej klientce zaczynała od początku. Dzierżawa tego lokalu sklepowego wygasła, teraz będą tu Specyfikiki do Pielęgnacji Ciała.

- To koniec epoki - powiedziała. - To jak w mordę dla moich stałych klientek. Na co im Płyn Do Stóp Miętowy? - Już suszyła włosy Celeste suszarką. - Zrobię panią potarganą - powiedziała. - W tym cały szyk.

Kiedyś Celeste widziała w telewizji, jak motyl wynurza się z poczwarki. Wypychał się powoli, napinając do pęknięcia swoją mocną brązową powłokę. Ona też z wysiłkiem ulega przemianie. Dawniej myła twarz po prostu wodą z mydłem, wkładała dres. Teraz uczy się stosować makijaż, kupować to, co noszą dorosłe kobiety. Patrzyła w lustro na jasno prążkowany splątany wiecheć na swojej głowie. Matka by ciebie nie poznała. Czy jestem bardziej czy mniej sobą?

Pff-pff fukał spray wokół tego wiechcia. Spojrzała na Rhodę w lustrze.

- Pamięta pani czasy, kiedy ta winiarnia naprzeciwko była pubem? - zapytała. - Tam kiedyś pracowała moja znajoma. Pamięta pani?

Rhoda przytaknęła.

- No pewnie. Eileen Fisher. Och, aleśmy się nieraz uśmieły.

- Eileen Fisher?

- Przemiała. A jakie dobre serce.<sup>180</sup> Taka ciepła, przemiała, prawda, Deidre?

- Z tym szurkiem mężem - powiedziała Deidre. W zakładzie nie było innych klientek. Przypinała pluskiewkami na ścianie papierowy łańcuch. - Wsadzili go, prawda? Zawsze uważałam, że coś kręci.

- To na pewno nie ta, o którą pytam - powiedziała Celeste. - Ta moja nazywała się Popsi Concorde.

- Och, takie miała pseudonimy w teatrze. Była przedtem aktorką, wie pani. Zanim się związała z tym jak-mu-tam.

- Terry - powiedziała Deidre. - Ale trzeba mu przyznać, Rhodzie, że zawsze był bez zarzutu dla jej synka.

- Synka? - zapytała Celeste. Spray pachniał tak mocno migdałami i dezynfekcją, że prawie omdlewała.

- Pocieszny był ten mały, co? - Deidre miała ręce pełne szychu. Przypatrzyła się swoim dłoniom. - Już nigdy, pozłotko, nie będziesz nam upiększać ścian. Ja się chyba rozplączę.

- Quentin - powiedziała Rhoda. - Takie mu dała imię. Siadała tutaj, w tym fotelu, a on zdejmował jej z nóg pantofle. Na wysokich obcasach, zawsze ubierała się gustownie. Wkładał pantofle mamusi i zataczał się na tych obcasach. Rzeczywiście śmiałyśmy się do rozpuku.

- Że już nie powiem o bojażach ze strusich piór - powiedziała Deidre. - Teraz to on pewnie jest trans-wesety-tą. - Zachichotała. - Albo jeszcze gorzej.

Chichotały obie i nagle spoważniały.

- Boże - westchnęła Rhoda - będzie mi ich wszystkich brakować. Wszystkich, nawet tych najgorszych zgarbów.

- Dokąd ona odeszła? - zapytała Celeste.

Rhoda przyjrzała się w lustrze swojemu dziełu.

- No widzi pani. Mała rzecz, a triumf, chociaż sama o sobie to mówię.

- Co się stało z Popsi? Gdzie ona teraz jest?

- Była tu wiele lat temu.

- Ja wiem, dokąd odeszła - powiedziała Deidre. - Jej starego wsadzili, a ona wzięła posadę w antykwariacie na Fulham Road. Przyszła tu raz ze swoimi odrostami.

- W którym antykwariacie? - zapytała Celeste.

- Mówiła, że nie powinniśmy tracić ze sobą kontaktu. Ale się traci, no nie?

Celeste już stała przy kasie i płaciła kartą kredytową.

- Nie może pani sobie przypomnieć, w którym?

Deidre potrząsnęła głową.

- Ale przejeżdżam tamtędy autobusem. To przy tej pizzerii.

Celeste podpisała rachunek. Podpisała pochyło, nie panowała nad długopisem należycie. Samo jej nazwisko wyglądało obco, jakby było cudze. I będzie musiała przywyknąć do tych włosów.

- Przy której pizzerii? Bo, wie pani, w Soho było ich tyle, że nie mogłam znaleźć tej, o którą mi chodziło.

- Co proszę?

Celeste zaniemówiła na chwilę. To chyba przez ten spray. Rzeczywiście czuła się dziwnie.

- Już wiem - powiedziała Deidre. - Pizzeria „Chatka”.

\*

Było wpół do czwartej. Celeste jadła całą pizzę pepperoni, największą porcję, taka była wygłodniała. Jej apetyt chyba niezależnie od niej funkcjonował jak szpitalny generator, kiedy w szpitalu wszystko poza nim zawodzi. W pizzerii było pusto, na ulicy latarnie się zapalały. Już zajrzała oczywiście w okno wystawowe sąsiedniego antykwariatu. Żadnej blondynki tam nie zauważyła, miała zbyt wygórowaną nadzieję. Wśród wielu mebli siedział tylko szpakowaty mężczyzna.

Zjadła skórkę pizzy, zawsze skórkę zostawiała na koniec. Buffy był żonaty trzy razy; z chwilą odkrycia każdej z jego żon doznawała uczucia, że ma coraz mniejszą jego część. Czy z każdą z nich był innym człowiekiem, kimś, kto nie wydawał jej się swojski? Nie tylko z każdą z żon, ale i z każdą z tych nie poślubionych. Musiało mu się rzeczywiście świetnie powodzić, skoro kupił taki ogromny dom na Primrose Hill. Jaki on w tym domu był dla Jacquetty? Ona sama, Celeste, bardzo się zmieniła, odkąd kilka tygodni temu przeniosła się do Londynu. To miasto ma na nią jakiś niepokojący wpływ. To tak, jakby się zamieszkało w dużym magazynie, pełnym nie

konfekcji, a ludzi. Może dlatego mieszkańcy Londynu zawierają związki mażeńskie tyle razy. Nie mogą się oprzeć pokusie, żeby wchodzić do przymierzalni, przymierzyć jeszcze jedną osobę, zobaczyć, czy pasuje. Zapłaciła i wyszła z pizzerii. Słońce już dawno zaszło, siąpił deszcz. Stała przed antykwariatem. Ten szpakowaty rozmawia przez telefon. Na wystawie było kilka talerzy. Nie różniły się od Ulerzy w domu na Wierzbowej. Pomyślała o ozdobach stojących tam na parapecie kominka. O tym osiołku objuczonym kosztami. Jakże kochała go, kiedy była mała. Może nie jest dużo wart, ale bardzo cenny jest dla niej, a to przede wszystkim się liczy. Schowała te wszystkie kruche rzeczy, oczywiście, zapakowała je w pudło, wstawiła do kredensu w pokoiku, który zamknęła przed lokatorami.

Zajrzała przez szybę. W głębi sklepu zobaczyła ponurą dużą szafę. Prawdopodobnie bardzo droga, ale to nie czyni jej ładniejszą. Kto tak umarł, że jego meble kończą tutaj? Na myśl o przeszłości ludzi poczuła wielkie znużenie. Tyle tego miała ostatnio. Rupieciarnie przeszłości. Spośród tych rupieci zbieranie (nawet do rymu) dzieci - ubranych na czarno jak przedsiębiorcy pogrzebowi. Kim jest ten Quentin? Czy to jeszcze jedno dziecko Buffy'ego?

Ja nie ubieram się na czarno, myślała Celeste. Chodzę w eleganckim płaszczu i przed chwilą byłam u fryzjerki. Mobilizując pewność siebie, pchnęła drzwi. Dzwonek brzęknął, szpakowaty podniósł wzrok.

Zawahała się. Rzadko bywała w antykwariatach, to nie leżało w jej charakterze. No, ale bywanie w Soho i na Primrose Hill także nie. W tym sklepie pachniało politurą. Szpakowaty już położył słuchawkę, zdążyła jednak usłyszeć, że rozmawiał przez telefon po niemiecku. Padło słowo *deutschmarks*.

- No, panienko, czym mogę służyć?

Powiedział to dobrotliwie jak wujaszek. Zdecydowała się od razu przystąpić do rzeczy. W żaden sposób nie potrafiła udawać, że chce coś kupić.

- Szukam pewnej kobiety, która tu pracowała. Eileen Fisher. Miała jasne włosy.

- Proszę się poczęstować drażetką - powiedział, podsuwając jej puszkę. -  
Była jedna Eileen, ale zdecydowanie ruda.

Włożyła drażetkę do ust.

- Jest pan tego pewny?

- Ach, Rodney! Ty możesz to potwierdzić. Z zaplecza już przyszedł młody człowiek. Był wysoki, woskowo blady, z pieprzykiem na policzku.

- Widział gdzieś papa formularze wysyłkowe? - zapytał.

- Mój syn Rodney - przedstawił szpakowaty. - Pamiętasz Eileen Wingate? Czy wzrok mnie nie mylił, kiedy mówię, że była ruda?

- Wingate? - zapytała Celeste. - Przecież Eileen Fisher chyba? Eileen Wingate? Tak się nazywała?

- Fryzjerska ręka, papciu. Nie boska?

Celeste szeroko otworzyła oczy.

- Nieboszczka?

Rodney się uśmiechnął.

- *Sans doute*. Henna. Z butelki. Dlaczego pani jej szuka?

- To trochę skomplikowane. - Któryś z zegarów zaczął wydzwaniać godzinę; poczekali, aż skończył. - Dlaczego nazywała się Wingate?

- Widocznie wyszła za jakiegoś pana Wingate. Tak Bogiem a prawdą, nie wiem. Opowiadała o sobie, ale nie zawsze się słuchało każdego jej słowa. Pracować by nie było kiedy.

- Co się z nią stało? Dokąd odeszła?

Jeszcze jeden zegar bił: w niższej tonacji cztery dźwięki: dong... dong... dong... dong. Ojciec i syn pokręcili głowami.

- Wyjechała z Londynu - powiedział wreszcie syn. - W branży została, jednakże inna specjalność niż nasza. Gdzie ona się przeniosła, papciu?

- Na południowe wybrzeże? - zapytał ojciec. - Coś to pani mówi?

- Nie wiem. - Celeste usiadła ciężko na wrzecionowatym krześle. - Kiedy wyjechała?

- Sześć, siedem lat temu. Uleciał ptaszek. Tylko przysyła karty na Boże Narodzenie.

- Karty? - powtórzyła Celeste. - Na Boże Narodzenie.



- Jej syn je robi. Quentin. Strasznie artystyczne. Drzeworyty i Bóg wie, co jeszcze.

- Czy już przysłała w tym roku? - zapytała.

Ci dwaj patrzyli na nią. Nie przejmowała się tym, że chyba zachowuje się dziwnie.

- Trochę życzeń już dostaliśmy - powiedział Rodney i zabrał ją do biura za sklepem.

Na biurku pobekiwał fax; zanucił, papier wysunął się jak język. Rodney przejrzał małą stertę kart z życzeniami gwiazdkowymi.

- Może tu jest jej adres - powiedziała Celeste. - Na kopercie, wie pan, taka nalepeczka. Albo w środku?

Odłożył plik.

- Jeszcze nie ma nic od niej. Może dostaniemy w domu.

- Czy gdybym zostawiła mój numer telefonu – zapytała - zadzwoniłby pan do mnie?

\*

Stojąc przed swoim domem, szukała kluczy. W drugiej ręce trzymała torbę z marchwią i kapustą dla królików. Po wywoskowanym porządku w antykwariacie sklep dobroczynności nie opodal raził ją rozgardiaszem - wieszaki z płaszczami, stare rondle, damski manekin krawiecki opierający się o ścianę jak pijany SKLEP MYŚLI DOBROCZYNNIEJ, taki był szyld.

Zupełnie straciła orientację. He nazwisk ma ta Popsi? Ilu eks-mężów? Na górze minęła lustro. Zagapiła się na odbicie

- jakaś nieznajoma potargana. Któż to jest, na Boga?

Wniosła torbę z marchwią i kapustą do saloniku. Nie kupiła

klatki, nie miała czasu. Albo pracowała przez cały dzień, albo wyruszała na swoje wyprawy w głąb ładu. Króliki przybiegły do niej; bardzo się oswoiły. Położyła liście kapusty na talerzu, talerz postawiła na dywanie. Przykucając tam, nagle spostrzegła, że w kącie pokoju coś się rusza. Słabo, ale się rusza.

To nie może być królik. Wszystkie trzy ściągały liście kapusty z talerza na dywan i ogryzały. Wstała i <sup>185</sup>przeszła przez pokój.

Na podłodze, między kaloryferem i jeszcze nie rozpakowanym pudłem z jakimś wynalazkiem do ponownego użytku, leżała wiązka pociętych rajstop. Na pół zasłonięte tymi nylonami kręciło się kłębowisko łysych, różowawo-szarych stworzonek. Zachłysnęła się. Przez chwilę myślała, że to czerwie, ale jak na czerwie, były o wiele za duże.

Króliki się rozmnożyły.

RS

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

---

To nie był las Lorny, oczywiście. Należał do miejscowego farmera. Ów farmer, Vic Wheeler, posiadając dużo ziemi, całą tajemną dolinę i dalszy obszar, przejawiał taką opętańczą przedsiębiorczość, że we wsi nazywano go Victor Tysiąc Srok Za Ogon. Już budował w Barnstone hotel międzynarodowy na 2000 łóżek, jednostki przemysłowe oraz supersam. Jeden z jego lasów buldożery równały z ziemią, bo miało tam być rondo, inny las został sprzedany firmie japońskiej specjalizującej się w listewkach do wykładzin podłogowych. Na każdy weekend przyjeżdżali liczni dyrektorzy płci obojga z Londynu i w kurtkach obrony przeciwlotniczej hasali wśród drzew, strzelając do siebie czerwoną farbą i ucząc się łączyć. I wcale nie zaszkodziło to, że syn Vica Tysiąc Srok ożenił się z córką Szefa Planowania - dziedzic.

Była połowa grudnia. Lorna знаła już wszystkie te plany. Vic Tysiąc Srok założył konsorcjum, żeby zbudować Eksperyment Urlopowy mający się rozciągać na przestrzeni trzystu akrów. W projekcie był park tematyczny, chociaż co do samego tematu decyzja na razie nie zapadła. Miały też być bary szybkiej obsługi, kręgielnia, ślizgawka i tam, gdzie jeszcze pozostawał jej las, ośmioekranowe multi-kino na świeżym powietrzu. Sprawy nabierały tempa. W „Palce Lizać” mężczyźni w garniturach rozkładali na stolikach mapy i butnie szermowali liczbami. Na podjeździe stały ich fordys Granada ochlapane błotem z grasowania po łąkach.

Lorna była odludkiem, niezależnym duchem. Tworzono różne grupy protestujące, ale ona obmyśliła własny sposób. Zaczepnęła pomysł z nowelki, którą przeczytała przed laty w starym numerze „Timesa” zanim w tę gazetę zapakowała kości kurczaków. Otóż bohaterka nowelki, żeby uratować miejscowy las, zasadziła w nim rzadkie rośliny i napełniła leśne bajoro zagrożonym gatunkiem trytonów. Las został uznany za obszar

szczególnego naukowego zainteresowania i nikt tam niczego nie wybudował.

Radni mieli rozpatrzyć ostatecznie plany Eksperymentu na wiosnę. A więc Lorna mogła jeszcze zdążyć z sadzeniem. Czuła się zdumiewająco napompowana energią. To tak jak wszystkie głupie pretensje i kłótnie - kto pozmywa, powiedzmy - nagle kończą się w momencie kiedy głos w radiu zawiadamia, że wybuchła wojna. Dotychczas całe jej życie zdawało się składać z plątania i pęknięcia nici łączących ją z ludźmi i tracenia sposobności - mężczyźni, kariera aktorska i tamto, o czym nie chciała myśleć. Tyle tego wszystkiego przepuściła przez palce z powodów, które teraz może by ją rozśmieszały, gdyby nie były takie smutne. Ale tym razem mogła rzeczywiście czegoś dokonać, czegoś pozytywnego, i to do końca.

Było mgliste niedzielne popołudnie. Siedząc na swojej werandzie, przeglądała katalogi przysłane w ciągu ubiegłego tygodnia. Jeden ze szkółki dzikich roślin w Herefordshire, inny ze specjalistycznej hodowli storczyków. Z umiarkowanym zainteresowaniem popatrzyła na swoje nogi. Nogawki męskich sztruksowych spodni, które przed laty znalazła w szopie z doniczkami, miała wetknięte w wełniane skarpetki nie do pary, jedną czerwoną, drugą pasiastą, i na nich skarpetki krótsze też nie do pary. Przypuszczała, że wygląda w tym dziwacznie, ale dziwactwo istnieje tylko wtedy, gdy je widzą ludzie. To samo odnosi się do wieku i płci; ona jest beczasowa i bezpłciowa, bo nie ma w czyich oczach widzieć swojego odbicia. I nie wiadomo, czy jest śmieszna czy nie, bo nie ma nikogo w pobliżu, kto by się z niej śmiał, czy też nie śmiał. Ostatecznie zachowywanie się ludzi nabiera znaczenia tylko w towarzystwie; czknie się i skąd można wiedzieć, że to ordynarne, jeżeli nie ma nikogo, kto by się wzdrygnął?

Od dawna już mieszkała sama. Przychodziła do pracy w zajezdzie „Palce Lizać” tak jakby wkraczała w inny świat, jakby nagle ukazywała się na scenie, ale nikt właściwie tam jej nie znał. Goście tylko przejeżdżali, personel się zmieniał. Tam wszystko wydawało się snem, tutaj wszystko było rzeczywistością: zamglone niebo, siatka bezlistnych drzew, kot ocierający się łebkiem o nogawkę jej spodni.

Niektóre z zamówionych roślin już otrzymała. Leżały rzędem czekając na zasadzenie, zaparowując swoje politenowe torby, jakby oddychały. Jej sojuszniczki, jej wiotkie zielone żołnierzyki. Ponadto kupiła kilka gatunków w ośrodkach ogrodniczych i na stacji benzynowej Texaco nawet znalazła rzadki gatunek maków. Nagle pomyślała o Buffym. On by powiedział: „Czy to nie dziwne? U ogrodników wybór mebli, a na stacjach obsługi pełno roślin. I kanapek z kurczakiem. I worków kartofli. Niesamowite!“. Nie myślała o Buffym od wieków. Tylko jego głos mówił do niej czasami; głosy innych też mówiły. Były wszystkie nawet wtedy, gdy ich nie słyszała - jak radio przypadkiem wyłączonego.

Potrząsnęła głową, żeby sobie w niej rozjaśnić. Włożyła płaszcz, owiązała się w pasie sznurkiem i wzięła łopatę. Trzeba się pośpieszyć; będą jeszcze tygodnie sadzenia. Słońce już zachodzi, lada chwila się ściemni. Pracowała po ciemku, żeby ludzie nie widzieli, co robi.

Mróz przed kilkoma dniami sfolgował, więc ziemia rozmiękła, gotowa dla niej. Las był tuż za ogrodem: rozrzedzony teraz i przewiewny. Gęste pozostały tylko jodły i na ich pniach zakrzepły bluszcz. Zauważyła ten bluszcz dopiero zimą. Teraz stał się widoczny jak na przyjęciu milcząca osoba, którą się zauważa po odejściu innych gości.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

---

Byli jedną wielką szczęśliwą rodziną. Tak twierdzili, Popsi i straganiarze w hali staroci pod arkadami. Zawsze gdzieś dużo śmiechu, zawsze jakiś dramat. Wszyscy pomagali sobie wzajemnie, pilnowali nawzajem swoich straganów, kiedy się odchodziło, żeby wydać trochę grosza. Nikt nie skoczył na górę po bułkę z bekonem, nie pytając sąsiada, czy jemu nie przynieść bułki. Wszyscy znali nawzajem dzieje swojego życia, a jakież to były dzieje! Nawet wzloty i upadki Popsi, która swoją porcję przeżyła - nawet jej wzloty i upadki były tu godne szerokiego omawiania. Dać to w telewizji - mówili - i kto by w to uwierzył? No, Margot też, na przykład - Margot mająca stragan z porcelaną naprzeciwko Popsi - kto by uwierzył, widząc ją teraz, że była wielką artystką na trapezie w cyrku Gerry'ego Cattle? I nie tylko. Kto by uwierzył, że wygrała bitwę z rakiem jajników i że przez trzy lata mieszkała w przyczepie samochodowej z facetem cierpiącym na depresję? Dawno temu, oczywiście, zanim się roztyła. Teraz ma siedmioro wnucząt, ale nie wygląda na więcej niż czterdzieści pięć lat, ani o jeden dzień.

To samo mówili o Popsi. One obie w swoich jednakowych kożuchach wyglądały jak siostry. Obie, w dodatku, farbowały sobie włosy na ten sam kolor - cieniowanej śliwki. Jeśli chodzi o włosy, Popsi zawsze była zwolenniczką zmian. Obie wierzyły w słuszność trzymania skrzydlatego rydwanu Czasu na odległość możliwie jak najdłużej. Życie trzeba pełnia życia, dopóki się da - takie miały motto. Z czułością Popsi patrzyła na Margot w straganie po drugiej stronie przejścia, mówiącą do klienta:

- To niezwykły okaz. Bo bardzo rzadko się zdarza, że ten rodzaj nie ma ucha.

Popsi czuła się tutaj cudownie. Być w tej małej bandzie to tak jak w trupie repertuarowej. Właściwie jeszcze lepiej, bo wszyscy zawsze są. Tydzień w tydzień od wtorku<sup>190</sup> do soboty siedzą w swoich kramach,

chuchając sobie w ręce przy rozżarzonych piecykach elektrycznych. Tydzień w tydzień czekała na wtorek. W niedzielę i poniedziałek jeździła i kupowała towar - na targach staroci, w hotelach, gdzie odbywały się zjazdy, w takich tam miejscach. Czasami ją wzywano i wtedy musiała zostawić wszystko. To było tylko statystowanie, maleńkie rólki, ale dobre i to, żeby nie wypaść z obiegu. Odwrotnie niż ona, producenci wolą nowości czyli młodsze, więc rozsądek nakazuje trzymać się na fali, póki można. Zaledwie tydzień temu była „zafrasowaną klientką” w *Inspektorze Morse*. Ale po każdym weekendzie, kiedy jechała przez deptak, potem wyładowywała rzeczy z samochodu i wchodziła do tej chłodnej hali pod niskimi belkami mówiącymi: „Schyl się ALBO KLNIJ”, gdzie zewsząd słyszała „dzień dobry” i „cześć”, czuła, że wraca do domu. Czuła, że tutaj jest sobą. Dlatego nazwała się znowu Popsi. Zawsze była za Wyzwoleniem Kobiet, chociaż dawniej o tym nie wiedziała. Wyciągnij z życia to, co w życie włożyłaś - jeszcze jedno jej motto - i po drodze śmieć się, ile wlezie. Zawsze uważała się za taką właśnie Popsi i tak też nazwała się przed laty. Potem zmieniała nazwisko tylko ze względu na mężów. Teraz, kiedy już żadnego męża nie będzie mieć, pozostanie Popsi Concorde aż do końca dni swoich.

Ostatnio zrobiło się jeszcze weselej, coraz bliżej Bożego Narodzenia. Ruch w interesie rzeczywiście duży, ludzie przychodzą, żeby wyszukać jakiś specjalny prezent na Gwiazdkę, coś osobistego, co świadczy, że chce się podarować coś więcej niż zdawkową paczkę od Bootsa.

- Kupuje pan (pani) kawałeczek historii - mówiła klientom - kawałeczek czyjegoś życia. Do ponownego użytku to teraz szła, no nie!

Kiedy myślała o tych wszystkich rzeczach, które wyrzuciła, i o tych wszystkich swoich przeprowadzkach, zbierało jej się na płacz.

Dalej, przy końcu przejścia, Walter, który sprzedawał rekwizyty wojskowe, grał na swoim nakręcanym korbką gramofonie *Białe Boże Narodzenie*. Mieszkał z matką w parterowym domku na Wydmach. Raz zabrał ją, Popsi, na zjazd traktorów, ale niezupełnie był w jej typie, więc kiedy wracali jego rocznikowym autobusem i próbował różnych hokus pokus, pogłaskała go po głowie i doradziła, żeby znalazł sobie miłą dziewczynę bardziej w jego wieku.

Klienci też próbowali ją podrywać - mężczyźni zawsze próbowali, Bóg tylko wie, dlaczego. No, tydzień temu dowcipny klient podniósł słuchawkę jednego z jej telefonów i udawał, że dzwoni do niej.

- Może byśmy poszli na szybki półkwaterek, rozkoszna koteczko?

Dawniej poszłaby - zaprosicie ją na jednego, a gotowa pójść z każdym - ale teraz chciała tylko podnieść nogi na krzesło przed swoim telewizorem. Stawy jej się buntowały. Bolały bardziej w tej porze roku, kiedy mgła nadciągała znad Kanału. Właściwie to z roku na rok bolały ją coraz bardziej. I wcześniej czy później zacznie się choroba stawu biodrowego, wszyscy tu są tego pewni.

Naprzeciwko panował duży ruch.

- To tylko malusieńkie pęknięcie - mówiła Margot klientowi, pakując cukiernicę. - Odrobina kleju na to, kiedy pan wróci do domu.

Margot zabrakło reklamówek, więc Popsi użyczyła kilka ze swojego zapasu toreb Sainsbury's. Nie miała tylu klientów. Sprzedawała staroświeckie aparaty telefoniczne i radioodbiorniki. Na jej towar nie było zapotrzebowania sezonowego; jej klientelę stanowili prawdziwi kolekcjonerzy, a oni nie wierzyli w Boże Narodzenie.



Całymi dniami Popsi i Margot rozmawiały ze sobą, przerywając tylko na krótko, żeby coś sprzedać, i zaraz potem podejmując przerwany wątek. Oczywiście nie przestawały rozmawiać, kiedy ktoś zamiast kupić tylko oglądał i zawracał głowę. - Zawracanie porcelany, nazywała to Margot. Nauczone doświadczeniem, rozpoznawały takich od razu, przy czym Margot załatwiała ich na marginesie swoich opowieści.

- ...więc potem on rzeczywiście zaczął się miotać... tak, to ładny wazonek, prawda? ... rzucił mnie na kanapę, dzieciaki się darły, aż im te małe łepetyny odpadały... nie, kochana, ja już i tak na tym stracę... a w Pogotowiu, kiedy mnie przywieźli, w życiu swoim nie widzieli takich siniaków...

Mnóstwo ludzi przychodziło tylko oglądać. Już to na urlopie, już to żeby się schronić przed deszczem. W tym miasteczku nad morzem było też mnóstwo emerytów, którzy nie lubili nowego Centrum Handlowego, bo tam chuligani pili piwo. Emerycy zatrzymywali się tutaj, syczeli na widok cen starych fajansowych puszek i spędzali cały poranek nad jedną filiżanką herbaty w kawiarni. Tylko od czasu do czasu przybywali prawdziwi kupcy, Niemcy i Szwajcarzy w płaszczach z futrzanymi kołnierzami, pozostawiając przed halą mercedesy combi. Oni dokładnie wiedzieli, czego chcą. Kiedy szli środkowym przejściem, wszyscy inni wyglądali na amatorów, i to okropnie małomiasteczkowych. Cisza zalegała, jak w szpitalu, kiedy zaczyna się obchód.

Jednego z nich Popsi spodziewała się dzisiaj, niejakiego pana Fleischmanna, ale on jeszcze się nie pokazał. Poznała go na targu staroci w Birmingham i znalazła dla niego aparaty telefoniczne, jakich szukał. Handlując z nim, czuła się kulturalna i międzynarodowa, czuła się częścią jakiejś sieci. Większość jej klientów stanowili nostalgiczni entuzjaści, którzy po prostu lubili bakelit - młodzi faceci z włosami ułożonymi pianką, prawdopodobnie projektanci<sup>193</sup> mody, albo bezimienni kolekcjonerzy, starzy kawalerowie w kurtkach z kapturami, o wyglądzie spiskowców obserwujących ruch pociągów. Wyobrażała ich sobie, jak w nocy samotnie siedzą nad swoją kolekcją przedpotopowych radiodbiorników. Wobec nich czuła się macierzyńska.

Życie by teraz oddała za filiżankę kawy, ale Margot była zajęta, a Duncan, specjalista od zegarków w sąsiednim straganie, rozmawiał z klientem wyraźnie drażliwym.

- No, dziś rano chodził - powiedział mu Duncan.

Akurat wtedy przyszła Elsa. Prowadziła stragan ze staromodną garderobą i wierzyła w życie po życiu. Zawsze usiłowała powiedzieć Popsi, jakie jeszcze ją czeka, ale Popsi mówiła: Nie, dziękuję, już z tym obecnym mam dosyć roboty.

- Zobaczyłam ten kawałek mory i pomyślałam o Quentinie - powiedziała Elsa.

- Moja złota.

- Na Gwiazdkę przecież, no nie?

O właśnie! Tacy tu oni są. Elsa odeszła, Popsi włożyła morę do reklamówki. Margot, pakując czajnik, opowiadała klientce o jednym ze swoich wnuków. Czasami irytowało Popsi to, że Margot raczy intymnymi szczegółami swego życia rodzinnego zupełnie obce osoby, zagarnia je taką zdyszana poufałością, jaką okazuje jej. Czy pięć lat przyjaźni wcale się nie liczy? Czy może irytujące było coś innego? Popsi wiedziała, że niestety sprawy stoją tak, jak stoją. Nieprawdopodobne, żeby ona kiedykolwiek została babcią. Quentin jest wiadomo czym (ludziom mówiła to słowo prosto z mostu, aż tak była wolnomyślna, niemniej bolało, kiedy mówiła je sobie), a Maxi- ne, jej córka, duże dziewczynisko, studiuje weterynarię i o wiele za bardzo interesuje się końmi.

Skąd Quentin wziął się taki? Z pewnością tego nie odziedziczył. Ona sama zawsze była zdrowo heteroseksualna, a Buffy wprawdzie opowiadał, że w internacie był niejako panienką (podobno za młodu anielsko piękny, mógł dzięki temu przeob- mblować szóstą klasę), ale kiedy ukończył szkołę, szybko się nawrócił na dożywotnie umiłowanie drugiej płci. Więc z pewnością przyczyny należy szukać w tamtym epizodzie z reklamówką. To był punkt zwrotny.

Nawet teraz zarumieniła się na myśl o tym. Od takich wspomnień robi się bardziej gorąco niż od każdej elektrycznej suszarki. Mieszkała wtedy z Terrym nad knajpą. Miała jednak na boku flircik z przemiłym mężczyzną,

który mieszkał w Chelsea. Lubił widzieć ją wystrojoną. Więc dwa razy w tygodniu po południu wykradała się do jego mieszkania z plastikową torbą. Quentin był o tej porze w szkole. Niestety, pewnego dnia zamienili swoje jednakowe reklamówki. Kiedy przyszła do sypialni tego pana, wyciągnęła z torby zabłocone szorty, paczkę ze śniadaniem i parę mocnych futbolowych butów.

Margot kwiczała ze śmiechu, słuchając tej opowieści, ale naprawdę to wcale nie było zabawne.

- A mój mały Quentin? - upominała ją Popsi. - Stoi tam, biedaczek, w szatni, otwiera torbę i wyciąga pas do podwiązek, atlasowy gorset...

- I, nie zapominaj, majtki rozcięte w kroczu - kwiczała Margot, która lubiła słuchać tego raz po raz. - I bat! Nie zapominaj o tym bacie!

Quentin był wrażliwym chłopcem. Więc z pewnością właśnie to, myślała Popsi, sprawiło, że zszedł na niewłaściwą drogę.

Już się z tym pogodziła, oczywiście. Nawet bardzo się przywiązała do jednego z przyjaciół syna i paru z nich ją odwiedzało jeszcze długo po zerwaniu z Quentinem. Oddana też była Talbotowi, z którym aktualnie Quentin mieszkał. Może jestem jakąś drugą Judy Garland, brzydula pedałów. Prowadząc długie rozmowy z Talbotem, dowiedziała się, że ten problem zwykle powstaje tak czy inaczej z powodu ojca, mogła więc winę za to zwać na Buffy'ego. Buffy to beznadziejny przykład dla synów.

Margot nadal była zajęta. Klientka trzymała w ręce stołową flaszkę na ocet.

- Można się jeszcze nad tym zastanowić, kochana - powiedziała Margot - ale w przyszłym tygodniu prawdopodobnie już jej nie będzie. Idą bardzo szybko, zwłaszcza te bez pieprzniczki. Bo to już jest coś dla kolekcjonera.

Popsi, zirytowana, zawołała:

- Margot! - i postukała się po zębach.

Poskutkowało natychmiast.<sup>195</sup> Margot umilkła i wyciągnęła lusterko. Trzymały się umowy. Margot wydzielala Popsi papierosy, a Popsi sygnalizowała, ilekroć Margot miała na zębach szminkę. Przednie zęby jej wystawały, to dlatego, no i przede wszystkim zawsze malowała usta za grubo.

Odwracając się Popsi zobaczyła stojącą niedaleko straganu dziewczynę. Czerwony płaszcz, czarny szalik, włosy w jaśniejsze pasemka. Może powinnam spróbować pasemek, pomyślała. Farbowała włosy od tak dawna, że już nie pamiętała, jakiego są rzeczywiście koloru. Po chwili sobie przypomniała. Naturalnie, teraz są siwe. Aż ją podrzuciło - wprost szok.

Dziewczyna podeszła, podniosła słuchawkę jednego z telefonów, przyjrzała się, położyła słuchawkę z powrotem na widełki.

- Ładny, co? - zagaiła Popsi. - Pyramid, druga seria. Mam też czerwony.

Ta nie wygląda na szperającą. Ani na klientkę. Jakaś nerwowa. Dzieci Popsi kiedyś tak ruszały różne rzeczy przed poproszeniem jej o pieniądze.

- Ładny telefon - powiedziała dziewczyna. - Widuję takie w starych filmach.

- A ten tam to Lichtarz, kotku. Wczesny model, prawdopodobnie z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Panią interesują antyczne telefony?

Dziewczyna pokazała palcem.

- Taki jak tamten mieliśmy w domu.

- Tak, kochasiu, te są najzwyklejsze. Szachownice. Robili je przez całe lata czterdzieste. Pani to nie pamięta dawnych czasów, naturalnie, świeżutka, młoda...

- Czy te radia działają?

- Czy te radia działają, ona pyta! Pewnie, że tak. Trzeba je tylko rozgrzać, ale czy wszyscy nie potrzebujemy rozgrzewki? Miły odcień, ciepły brązowy.

- Kiedyś często słuchałam radia. - Dziewczyna pogłaskała orzechowy fornir Fergusona. Jej palec zostawił ślad w kurzu.

- Kiedyś myślałam, że w tym siedzą prawdziwi ludzie.

- No bo siedzą w tym, że tak powiem. - Popsi się roześmiała.

- Aż zanadto prawdziwi, niektórzy.

- Jak to?

- Rzeczywiście chce pani wiedzieć? Dziewczyna przytaknęła.

Popsi popatrzyła na nią.

- Dużo ma pani czasu?

\*

- Grałam Dorotę Drzej-Prześcieradło<sup>3</sup>. Pierwszego dnia prób reżyser, jak on się nazywał? Przemiły człowiek. Przyszedł do mnie i mówi: „kochanie, to jest Russ Buffery, nasz Hal”. No i patrzę, facet w czarnej polo, z wielkim biglem w tamtych czasach i bardzo pogodny. Pocałował mnie w rękę. Coś zaskoczyło. Kolana pode mną zmiękły. Pomyślałam: już się nie mogę doczekać, kiedy zobaczę cię w trykocie! Niebezpieczeństwo się czaiło, wiedziałam. Nagle takie spalanie się. Czulaś to kiedy, kotku?

Celeste nie odpowiedziała. Siedziały w tym małym straganie; dym wił się z kawy w plastikowych kubkach. Popsi wyciągnęła paczkę papierosów. Kobieta ze straganu naprzeciwko zawołała:

- Popsi!

- Właśnie jej opowiadam o moim pierwszym!

- To był przecież twój czwarty! - zawołała tamta.

- Ale mąż pierwszy - wyjaśniła Popsi. Zapaliła papierosa trzymając go w ręce, na której miała mitenkę, po czym odwróciła się do Celeste. - Muszę palić, kiedy mówię o Buffym. Nazwałam go Buffy od razu wtedy tam i to przyłgnęło. Och, on był czarujący, ten szelma! Byliśmy oboje tacy młodzi, mniej więcej w twoim wieku, kotku. Życie całe mieliśmy przed sobą, czy też tak nam się wydawało. - Zaciągnęła się, wypuściła dym nosem. - Nie chcesz usłyszeć tego wszystkiego.

- Ależ chcę!

Tamta ze straganu naprzeciwko wrzasnęła.

- Ona nie chce, kochana. Tylko jest uprzejma.

- Nie jestem - zapewniła Celeste. - Poważnie.

- Nie opowiadaj tych mocnych kawałków - zawołała tamta. - Nie opowiadaj, dopóki ja nie mogę słuchać! Wciąż mi się podobają, chociaż tyle razy je słyszałam. - Odwróciła się do klienta. - Śliczne, prawda? Bardzo niezwykły deseń.

- No, zakochaliśmy się w sobie<sup>197</sup> - powiedziała Popsi. - Zakochaliśmy się. Byłam szczęśliwa jak nigdy przedtem ani potem. Jeździliśmy z teatrem po całej Wielkiej Brytanii, pisali o nim cudowne wzmianki, taki uroczy Książę

---

<sup>3</sup> 3 W. Szekspir, *Henryk IV*. Część druga. Przekł. L. Ulrich

Hal i och, ależ on mnie rozśmieszał! Uwielbiałam go. Tak samo wszyscy... obsada, gospodynie tam, gdzie mieszkaliśmy, wszystkich potrafił owinać sobie koło palca. Bo rozumiesz, tak jak jest u Szekspira, mało że człek był dowcipny wielce, jeszcze pobudzał dowcip w innych. Och, te noce nieprzespane! - Urwała na chwilę kaszląc ciężko, tak jak kaszłą palacze. - Naturalnie później, kiedy utył, mógłby grać samego Falstaffa. No, ale... Myślałam: to mężczyzna mojego życia...

Celeste siedziała na składanym stołku. Mnóstwo ludzi przechodziło. Od czasu do czasu ktoś wpadał na nią, ale nikt nie zatrzymywał się przy telefonach. Z drugiego końca hali dolatywało *Białe Boże Narodzenie*. Doznawała uczucia, że kiedyś już tę opowieść słyszała. Czy może tylko wątek wydaje się dobrze znany?

- A jak już pobraliśmy się, dwa pokoje w Bloomsbury były pałacem w porównaniu z norą, w której dorastałam. Ale potem urodził się nasz synek... no i zaczęło się to-wszystko rozpadać. Wiesz, jak to jest.

- Nie, nie wiem. - Celeste przyglądała się uróżowanej Popsi. Podróżując w głąb czasu, odkrywała coraz to starsze eks-żony Buffy'ego. Jednak Popsi, chociaż najstarsza, dzielnie się opierała niszczącym latom. Miała gruby pomarańczowy makijaż i włosy ufarbowane na ciekawy kolor, jakiego Celeste nigdy dotąd nie widziała - gdyby musiała go określić, powiedziałyby, że to kolor morwy w przybliżeniu.

- Może nie z powodu dziecka - mówiła Popsi - może w ogóle tak bywa. Ale myśli się wtedy, że świat się zawalił. No, w każdym razie Buffy i ja zaczęliśmy mieć swoich przyjaciół.

- Przedtem państwo nie mieli?

- To znaczy, specjalnych przyjaciół.

Celeste musiała pomyśleć.

- Och! Acha.

- Rzeczywiście źle się zachowywaliśmy, przyznaję. Boże, te pijaństwa i kłótnie, i kto na kogo głośniej wrzaśnie, i któreś z nas łup! trzaskało drzwiami, a potem rano zabierałam go z Izby Wytrzeźwień, jeszcze pijanego i rozchełstanego. Potem któreś z nas się wyprowadza, mieszka z kimś innym, potem wraca i jest następne trzaskanie. To były lata sześćdziesiąte,

wszystko wywieszane na zewnątrz, wszystko nie przytrzymane niczym, tylko brać. Przeważnie się w ogóle nie wiedziało, co się robi.

- Dlaczego?

- Nie rozumiałabyś, kochasiu. Byłaś wtedy tylko błyskiem w oku swojej mamy.

Przyszła tamta ze straganu naprzeciwno.

- Masz jeszcze reklamówki, kiciu?

Popsi pogrzebała pod swoim krzesłem.

- Jak ci na imię, bo zapomniałam.

- Celeste.

Zwróciła się do tamtej:

- Właśnie opowiadam Celeste, jak było w Swingujących Latach Sześćdziesiątych.

- Niech pani nie słucha. Dla młodzieży niedozwolone. - Tamta dłońmi klepnęła Celeste w uszy.

Celeste zakołysała się na stołku. Kiedy uszy jej się odkorkowały, usłyszała znów *Białe Boże Narodzenie*.

Tamta wróciła do swoich klientów. Celeste spojrzała na Popsi, na uróżowane policzki, jaskrawoniebieskie oczy. Cała ta sprawa wydawała się nierealna. Na dworze ciemność zapadła, nad szklanym stropem hali było czarno. Stragany zagracone rekwizytami wyglądały jak dekoracja teatralna. Celeste czuła się jak dziecko patrzące na niepojętą paradę eks-żon w jakimś dramacie kostiumowym w trzech aktach. One wszystkie już przedefilowały przed nią. Penny, Jacquetta i Popsi - kobieta pracująca zawodowo, neurasteniczka, kokotka. Ona jednak, publiczność jednoosobowa, siedziała tak spokojnie, że żadna z tych trzech jej nie zauważała. Jaka to była ta strofa w szkole? *Pysznie zżymają się na scenie...*

Popsi masowała sobie nogi.

- Krażenie wysiada - <sup>199</sup>powiedziała. - Jednakże choć ręce zimne, serce gorące. - Była w kozuchu i futrzanych butach, a przecież trzęsła się z zimna. - Aż dziwne, jak to się posuwa. Tak po prostu... spotykaliśmy się naturalnie ze względu na Quentina. Bez urazy właściwie, bo вина była po obu

stronach, ja pierwsza bym to przyznała. Ale później nie ma się już nic poza garstką wspomnień i dzieci.

- Dzieci? Było ich więcej niż jeden syn?

- Nyange urodziła się akurat wtedy, gdyśmy się rozeszli.

- Ny a n g e ?

- Córeczka Buffy'ego. Imię nieziemskie, prawda? On miał krótki postój u pewnej Carmeli. Zgoła nie z jego stajni. Powiedziałam mu to wtedy. Celeste milczała. Kręciła tarczę jednego z radioodbiorników tam i z powrotem. Nic nie grało, oczywiście.

- Co się z nią stało? Z tą Nyange.

- Nyange. Widuję ją czasami. Na opakowaniach szamponów i takich rzeczy.

- Jak to?

- Jest modelką. Czy w każdym razie była. Zawsze taka wspaniała. No, ale one przeważnie są takie.

Za plecami Celeste ktoś chrząknął.

- Działają? - zapytał, wskazując telefony na półkach.

- Naturalnie - odpowiedziała Popsi. - Wystarczy je włączyć.

- Acha - powiedział i odszedł.

Celeste zapytała:

- Jak to „one”?

- Te kolorowe. No bo z tych obu światów biorą to, co najlepsze.

- Więc matka jej była...

- Czarna, złotko. Tancerka. Nogi aż po szyję. Zgoła nie z jego stajni, jak już powiedziałam. - Popsi westchnęła. - Ciekawe, co z nią teraz. Była w chórze „Hair”. Ciekawe w ogóle, co się stało z nimi wszystkimi. Z moimi, z jego, w ogóle. Lepiej się nad tym nie zastanawiać, prawda?

- Co z panią?

Popsi parsknęła śmiechem.<sup>200</sup> Śmiech ten brzmiał tak, jakby się potrzasało kamykami w słoiku.

- Masz cały tydzień czasu?

Celeste spojrzała na zegarek.



- Muszę już wracać do Londynu, właściwie. - Podniosła wzrok na Popsi.  
- Pani miała więcej dzieci?

- Zależy, co chcesz powiedzieć przez „miała”.

Zaległo milczenie. Daleko w przejściu cienki piskliwy chórek śpiewał *Zacny król Wieńczysław*. Doleciał grzechot puszek.

- Nie wiem, nie rozumiem - powiedziała Celeste.

- Mam naturalnie Maxine. Z Terrym, moim drugim mężem. I jest Quentin. Ale tamten mój syneczek... - Ni stąd ni zowąd oczy Popsi napełniły się łzami. - Mój syneczek byłby teraz dorosłym mężczyzną.

Łzy chlusnęły jej na policzki. Dosłownie chlusnęły, jak gdyby ktoś przechylił kubek z wodą. Chórek stał się głośniejszy, puszka grzechotała. Teraz to było *O pójźcie, wszyscy wierni*. Celeste się nie obejrzała. Przez jedną szaloną chwilę myślała, że może to kołędują dwaj synowie Buffy'ego i stoją za nią teraz, ubrani na czarno, patrzący spode łba. Może wszystkie dzieci Buffy'ego grzechoczą puszkami i domagają się Bóg wie czego.

- On by w tym roku ukończył czterdzieści lat - powiedziała Popsi. Tusz do rzęs też spływał jej po policzkach. - Kiedy na ulicy widzę mężczyznę w średnim wieku, zaraz myślę: to mógłby być on.

- Czy to znaczy, że pani nie wie, gdzie on jest? - Celeste musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć śpiew.

Popsi potrząsnęła głową.

- Kiedy poszłam na wiadomo co, miałam szesnaście lat. - Otarła oczy, tusz jej się rozmazał. - On wciąż jeszcze jest tutaj, w moim sercu. I są wszystkie moje nie poczęte wnuczeta. Przepraszam cię, kotku. Ale niech tylko pomyślę o nim, zaraz się rozmazgajam. Pamiętam, kiedyś w sklepie, u Johna Lewisa...

Celeste zobaczyła podsuniętą pod nos puszkę. - I małą dziewczynkę patrzącą zimno.

- Na kurczaki w wylęgarni<sup>201</sup> - powiedziała dziewczynka. Celeste poszukała drobnych w torebce. Popsi siedziała jak we śnie. Spojrzała na dziewczynkę.

- Jesteś jak kwiatusek - powiedziała nieprzytomnie. Mała dostała od Celeste trochę bilonu i odeszła. Popsi się ocknęła, zaczęła szukać swojej torebki.

- Poczekaj! - zawołała. Dźwignęła się z krzesła i ruszyła za kołędniczką. Śpiew, oddalając się, ucichł.

\*

Akurat wtedy w straganie zadzwonił telefon. Celeste rozejrzała się po półkach, który to. Aparatów telefonicznych było co najmniej trzydzieści - kremowe, czarne, te zwane Lichtarzami, ze słuchawką oddzielnie na sznurku, takie jakie się widuje w westernach. Drrrr! nie ustawało. Zagapiła się już w panice. Do licha, który dzwoni? Podniosła słuchawkę najbliższego brązowego od kurzu, ale był nieczynny.

Przybiegła Popsi, wybawiła ją. Wyciągnęła telefon nowoczesny, ukryty za tamtymi, i odebrała.

- Ach! *Guten Morgen* czy jak to tam. - Wytarła nos. - *Pardon, Guten Tag.* - Posłuchała. - W Londynie? Nie może pan tu przyjechać? - Umilkła, zastanawiając się. Łzy już jej wyschły, ale twarz miała całą zamazaną. - Chwileczkę. *Uno momento.* - Zwróciła się do Celeste. - Wracasz do Londynu? Możesz mi zrobić grzeczność?

- Co? Jaka?

- To ten kupiec, rozumiesz, leci do Hamburga jutro. Tutaj mam dwa telefony dla niego. Możesz wziąć je do Londynu, żeby on zgłosił, się po nie do ciebie?

- Przecież pani mnie nie zna!

- Och, ja ufam ludziom - powiedziała Popsi - zawsze ufałam. Na tym polega kłopot, w gruncie rzeczy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

---

Celeste siedziała w swoim mieszkaniu i czekała. Ten Niemiec, zapomniała już jego nazwiska, miał telefonować przed dziesiątą, po czym przyjechać po swoje dwa aparaty telefoniczne Pyramid, jeden brązowy, drugi czarny.

Telefon zadzwonił kwadrans po dziesiątej. To był Buffy.

- Światłości mojego życia! - wykrzyknął - moje ciasteczko śliwkowe! Och, brakowało mi ciebie. Gdzie się podziewałaś przez cały dzień?

- Po prostu wyszłam.

- Co się dzieje? Co ja złego zrobiłem? Mogę przyjść do ciebie?

- Właściwie to nie. Czekam na telefon.

- Czyj?

- Czyjś po prostu. Będę jutro w sklepie.

Położyła słuchawkę drżącą ręką. Tak przykro było słyszeć jego nieszczęśliwy głos, ale jeszcze nie mogła z nim porozmawiać. Jeszcze nie.

\*

Buffy zostawił na adapterze *Śmierć i Dziewczynę*, to powolne tempo zawsze doprowadzało go do łez. Wpatrywał się w kiel

szek z winem. Jego najnowszym sposobem ograniczania alkoholu było kupowanie wina tak obrzydliwego, że nawet on nie mógł wykończyć butelki.

Dlaczego Celeste jest taka chłodna? Boże Narodzenie już za dziesięć dni, a jeszcze nie powiedziała, czy spędzą je razem! Nie ma do kogo pojechać na Gwiazdkę, on także nie. Oboje są sierotami na tym wielkim wrzaskliwym świecie. Kochają się przecież. On wciąż jej mówi, jak bardzo ją uwielbia. Ona rzeczywiście nigdy nie mówi, że go kocha, ale przytula się do niego, zbiera paprochy z jego brody, śmieje się z jego dowcipów i ogromnie się interesuje jego poprzednimi małżeństwami. To na razie wystarcza. Fakt, że wydarzenia jeszcze nie przyjęły obrotu bardziej zmysłowego, jest poniekąd chwalebny. Samo już siedzenie przy niej w herbaciarni sprawia radość. Jeżeli raz w życiu on ma romans nie skonsumowany, czy to nie znaczy, że ta miłość nie musi się skończyć?

Grudzień z Bożym Narodzeniem na widnokręgu jest najokrutniejszym miesiącem. Jest miesiącem zbierającego się bólu. Wkrótce nadejdzie dzień obrachunku, dzień, w którym staje się aż nazbyt jasne, że on nikomu nie jest do szczęścia potrzebny. Przez cały rok człowiek może sam siebie oszukiwać, ale nie 25 grudnia. Jest wyrzutkiem drżącym na mrozie, podczas gdy wszędzie w Brytanii kochające się rodziny przy kominkach rozpakowują prezenty i żartobliwie besztają się nawzajem grając w chińczyka. Naprawdę nigdy nie zaznał takiej idylli, nawet w czasach spokojnej pewności na łonie poszczególnych rodzin czy w ubocznych układach, ale z tęsknotą wspominał przeszłość. Gdyby się zdobył na uczciwość, przypomniałby sobie najbardziej monumentalne kłótnie. Rozniecało je byle co, a później cały ten świąteczny dzień był jak beczka prochu gotowego w każdej chwili wybuchnąć. No, nie dawniej niż w zeszłe Boże Narodzenie, kiedy rzeczywiście dane mu było mieć u siebie swoich synów (a to tylko dlatego, że<sup>204</sup> Jacquetta i Leon wyjechali w drugą podróż poślubną do Izraela), nie dawniej niż w zeszłym roku nastrój świątecznej uczy prysnął, kiedy on, ganiąc Tobiasa za złe maniery przy stole, sięgnął ręką przed nosem tegoż syna po pieczony kartofel. Grzech powszedni chyba, ale Penny najwidoczniej coś w sobie tłamsiła, bo nagle zaczęła

wrzeszczeć o jego przerażająco podwójnych kryteriach i jakże żalnym świeceniu przykładem - ach, jaki wojowniczy z niego faryzeusz i przynajmniej mógłby kartofle brać łyżką, a nie ręką! Natychmiast wywiązała się tak zwana żywa dyskusja na temat jego rodzicielskich uchybień i synowie nawet się włączyli, co chyba należało uznać za postęp, zważywszy ich zwykle buntownicze milczenie.

Jego poszczególne Gwiazdki ulegały wszelkim permutacjom, przeważnie były niespokojne, a niektóre tak katastrofalne, że wolałyby to święto spędzić w domu noclegowym Armii Zbawienia. Lepsze jest w takich chwilach miłosierdzie obcych! W istocie, kiedy się patrzy wstecz, widać, że im większe w domu napięcie, tym bardziej udane może być Boże Narodzenie. Niewątpliwie dlatego, że nie ma się wtedy zbyt wielkich nadziei. Właśnie wtedy, gdy Jacquetta odeszła i było z nim bardzo źle, spędził Boże Narodzenie zdumiewająco wesoło u jednej z jej ciotek, starej lesbijki, którą zawsze lubił i która, o błogości, nie wymagała od niego nic poza niewyczerpanym zapalem do gry w karty zwanej świnką.

Potem bywały poszczególne cudaczne momenty. Kiedy już wrócił na tor, można by powiedzieć, przetoczył się ku swemu udręczeniu w poprzednie życie. Nastąpiło to po kilku latach, rany naprawdę czy rzekomo się zagoiły i uznano, że dobre będą dla dzieci sensowne spotkania. Przy jednej z takich okazji Leon, żeby spędzić Boże Narodzenie ze swoją eks-żoną, poleciał do Ameryki sam, zawracając w przeszłość, a Buffy zawitał do swojego dawnego domostwa na parodię minionych Gwiazdek. Owa absurdalnie koszmarna uroczystość skutecznie wykluczyła wszelkie dalsze igraszki z przyjaciółką, którą tam przyprowadził w akcie, jak przypuszczał, brawury. Na szczęście, niewiele pamiętał z tamtego dnia poza tym, że pijany przetrząsał karty gwiazdkowe na parapecie kominka, żeby sprawdzić, kto ze wspólnych znajomych przysłał życzenia Jacquetcie i czy dobrze życzy również Leonowi.<sup>205</sup>

Inna Gwiazdka była chyba jeszcze smutniejsza - dawno temu, kiedy Jacquetta porzuciła go chwilowo, więc zajrzał do Carmeli, tancerki karaibskiej, z którą miał swego czasu przelotny romans. Ostatecznie Carmela urodziła mu córkę. Bożego Narodzenia z tymi dwiema

pięknościami, prawie nieznanymi, w obwieszonym szalami pokoju w Deptford nie umiał nawet alkohol, bo nie było tam nic oprócz soku jabłkowego. One obie to w dodatku wegetarianki. Wprawdzie Carmela upiekła dla niego wtedy skrzydło bażanta, ale Nyange raz po raz powtarzała: - Biedna ptaszyna, tylko pomyśleć, że mogłaby fruwać po lesie - i patrzyła na niego z takim oburzeniem, że w końcu musiał zasłonić swój talerz podpartą książką, którą dostał na Gwiazdkę od Carmeli - tomikiem pod tytułem *Nieszczęście kobiet. Wejrzenie w Tyranię Pici*.

Rzeczywiście było źlej, jeżeli takie świąteczno-rodzinne zebrania odbywały się nie w samo święto, stanowiące dla wszystkich razem zbyt ciężkie przejście. Taką miał siatkę swoich eks-rodzin, że czasami w wieczory przed Bożym Narodzeniem zaliczał dwie albo trzy kolacje, jak próby kostiumowe przedstawienia, w którym nie miał wystąpić. W czasie owych uczt w miarę wystawnych - za indyka służył łosoś, gwiazdkowy pudding zastępowała sałatka owocowa - doznawał nieomylnie wrażenia, że wszyscy teraz odżywiają się lekkostrawnie ze względu na wielkie żarcie czekające ich, ale nie jego. Na kredensie stały nietaktownie pudełka crackersów, jeszcze nie otwarte. Na stole leżały gwiazdkowe ozdoby zrobione przez dzieci, jeszcze nie ukończone. Rozpakowując małe - czasami bardzo małe - prezenciki, jakie dostawał, widział pod choinką większe paczki przygotowane ręką o wiele bardziej szeroką na ten wielki dzień, w którym jego przy tej choince nie będzie.

Kłopot, oczywiście, polegał na tym, że samo Boże Narodzenie ziało pustką. Raz tylko przyszła India z torbą okrawków jak dla psa i powiedziała, że woli ten dzień spędzić u niego. Z drugiej strony poniekąd krzepiąca była myśl, że może być coś gorszego niż świętowanie samotnie. W czasie małżeństwa z Penny musiał świętować u jej rodziców w Ascot - doświadczenie, dzięki któremu straszny uraz porozwodowy w gruncie rzeczy się oplaca.

Buffy podniósł słuchawkę telefonu. Godzina jedenasta. Chyba już nie wypada dzwonić do Celeste? Na czyj telefon ona czekała tak niecierpliwie? Jej nowe uczesanie to niepokojący sygnał. Wygląda ponętnie, ale taka jakaś potargana, jakby z łóżka czy do łóżka. Prawie zmysłowa, w istocie. I ma

nowy nawyk - potrząsa głową jak spaniel wynurzający się z sadzawki, a potem palcami stroszy sobie włosy. Odnosił się do tego nieufnie.

George puścił bąka. Buffy pośpieszył do okna, żeby je otworzyć. Psy, niestety, w przeciwieństwie do ludzi puszczają bąki zupełnie cicho. To znaczy że nie od razu się czuje, a potem jest już prawie za późno na wywietrzenie. Otworzył okno i popatrzył za jezdnię Edgware, na blok mieszkaniowy naprzeciwko. Ciemność nakłuwały przedświąteczne światła stamtąd. W oknach oświetlonych pokoi widział nawet sylwety choinek, które postawiono jak na pokaz, żeby czuł się nie kochany. Co ona robi? Gdyby znał jej adres, wskoczyłby w taksówkę i poderwałby ją, rzuciłby się do jej stóp. Ale co by było, gdyby, podnosząc wzrok, zobaczył stojącego przy niej mężczyznę?

\*

Nie zadzwonił. I już nie zadzwoni, jest wpół do dwunastej, o wiele za późno. Najwidoczniej zdecydował się bez tych telefonów wrócić do Niemiec.

Co to znaczy? Co w ogóle wszystko znaczy? Celeste nie poruszała się od pewnego czasu. Siedziała na dywanie, zziębnięta. Samo to popołudnie w hali staroci wydawało się niesamowite, nieprawdopodobne jak sen. Czy rzeczywiście była w Hastings? Równie dobrze mogła być na księżycu. Obezwładniało ją to, że już zupełnie nie ma wpływu na rozwój wypadków. Następne króliczeta się urodziły. Postawiła dwa tekturowe pudła w dwóch przeciwległych kątach jak głośniki hi-fi i napelniła je podartymi gazetami. Skrawki już wylatywały na dywan, w pudłach ta podściółka się kotłowała, kiedy króliczeta się wierciły. Pierwszy pomiot - sześcioro ich - podnosił ślepe tępe łebki. Wkrótce chwiejnie będą wylazić z pudła.

Wzdłuż ścian piętrzyły się rupiecie do ponownego użytku, bałagan plastikowych pojemników, 207 pilotów, podstawek lamp - jakby to był jakiś wariacki okrężny tor z przeszkodami. W pokoju pachniało. Gdzie trzymać te wszystkie zabytki z przeszłości Buffy'ego? Te króliki i durszlaki, i te dwa głuche

telefony? W życie zakrada się zamęt i brud. Serce jej bilo szybko i prawie nie mogła oddychać; czuła się jak pod wodą, pod nawałem wody nie dającym jej wypłynąć na powierzchnię, zatykającym jej płuca.

Gramoląc się, Celeste wstała z dywanu. Włożyła płaszcz i wyszła. Zza którychś zamkniętych drzwi sąsiadów dudniła muzyka. Dlaczego w tym domu, tak wyraźnie pełnym lokatorów, ona nigdy nie widziała nikogo? Wybiegła na ulicę. Zimne powietrze nieomal pacnęło ją w twarz. Zupełnie oprzytomniała.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

---

Buffy otworzył drzwi. Był w piżamie i bardzo starym szlafroku.

- Celeste, moje kochanie! - Objął ją. Dochodziła północ. Wydawał się zdumiony, ale i uszczęśliwiony. - Jak cudownie cię widzieć!

Wyplątała się z jego objęć i przyjrzała mu się. Jakiż on nieświeży. Brodaty, a sprawia wrażenie nie ogolonego.

- Więc to jest twoje mieszkanie. - Popatrzyła wokoło. - O jejku!

- Posprzątałbym, gdybym wiedział, że przyjdiesz. - Znów ją do siebie przytulił. - Mój toniku, życie moje! Mój ty przeszczepie serca! Serduszko!

- Nie bądź niemądry. Dasz mi coś do picia?

- Tego wina nie próbuj, jest paskudne. Napijemy się szkockiej.

Idąc w głąb pokoju, musiała lawirować. Nieład był straszny, straszniejszy nawet niż u jego synów. Rzeczy leżały na podłodze i wszędzie. Zupełnie tak, jakby nie mieszkał, tylko obozował. Ale może tak właśnie on żyje - obozuje po prostu. Usunęła gazety z fotela i usiadła. Obicie fotela było brudnosiwe od psiej sierści.

- Dziwny tu zapach - powiedziała.

- Wiem. Ale nie wiem, skąd. Potrzebuję kogoś, kto by się mną opiekował.

- Nie jesteś dość dorosły, żeby się sam sobą opiekować?

- Na to nikt nie jest dostatecznie dorosły.

Najwidoczniej kobiety mówiły mu to wiele razy. Pomyślała o tych wszystkich jego kłótniach z nimi. Na pewno to, co ona mu zarzuca, słyszał nieraz już do znudzenia. Jakież to musi być wyczerpujące! Nic dziwnego, że starzy ludzie wyglądają tak staro. Tyle tego powtarzania w życiu. Ona sama jeszcze niczego nie powtarzała - ani słów miłości, ani słów potępienia.

Dał jej szklanekę z whisky.

- Chciałbym usiąść tu przy tobie, położyć ci głowę na kolanach, ale krzyż mnie boli. - Usiadł na krześle, siedzenie pod nim się ugięło. Klepnął się w kolano. - Chodź, usiądź tutaj, wróbelku.

Nawet nie drgnęła. Patrzyła z drugiej strony zaśmieconego dywanika przed kominkiem.

- Którą kochałeś najbardziej? - zapytała.

- Co?

- Z nich wszystkich.

Wstał i podszedł do niej. Pociągnął ją, żeby wstała.

- Ty głupiątko.

- Opowiedz mi o nich.

- One nie są ważne.

- No, powinny być! - Zdumiona usłyszała własny podniesiony głos. - Przecież się z nimi żeniłeś?

- Z którą rozmawiałaś? Co nagadała ci o mnie? - Zatkał jej uszy tak jak ta straganiarka po południu w Hastings. - Nie słuchaj ich. - To dotarło przytłumione.

Odsunęła jego ręce. Jakoś wszyscy traktują ją tak, jakby była dzieckiem. Chwylił ją, razem opadli na fotel.

- Każdej z nich mówiłeś jedno i to samo? - zapytała. - Jesteś po prostu dobrym aktorem?

- Moja droga dziewczyno, gdybym był dobrym aktorem, dostawałbym role.

Tkwili niezdarnie w fotelu. On był rozrośnięty.

- Już nie wiem - powiedziała do płamy z jajka na jego szlafroku - w co mam wierzyć.

- Nie bądź o żadną zazdrosna. Nigdy. Ważne jest tylko t o . T o . M y - ujął ją za podbródek i spojrzał jej w oczy. - Nic innego się nie liczy.

- Ale czy nie rozumiesz? Powinno się liczyć wszystko. Ja chcę, żeby one się liczyły. Chcę, żeby każda się liczyła. Inaczej co za sens?

Nigdy w życiu nie czuła, czy też nie uświadamiała sobie potrzeby alkoholu - aż do teraz. Cóż,<sup>210</sup> kiedy nie mogła podnieść szklanki do ust. Och, ta wspaniała, żywa, wielka jego masa chuchająca ciepłem i tytoniem. Kiedy mówił, odrzut był taki jak przy przejeździe kolei podziemnej pod jej mieszkaniem.

- Wszystko się liczy - powiedział - ale nic się nie liczy tak bardzo. Z czasem się o tym przekonasz. To nie jest smutne, najdroższa, wcale nie jest smutne. Ale może jeszcze nie rozumiesz. Kiedy umrę, chcę, żebyś kazała to wykuć na moim nagrobku: „Wszystko się liczy, ale nic się nie liczy tak bardzo”. Przyrzekasz?

- Nieładnie, że mówisz o umieraniu.

- Twój widok sprawia, że o tym myślę. Odkąd cię poznałem, nie przestaję myśleć o tym.

Wyszarpała się spod niego i podeszła do kominka. Nagle poczuła się teatralna, jak gdyby reżyser kazał jej tak stanąć na scenie.

- Dobrze - powiedziała - omówmy tylko ten kawałek: „Wszystko się liczy”. Jeżeli tak, to z kim byłeś, powiedzmy, w lecie sześćdziesiątego ósmego roku?

- Z kim? Myślisz, z kobietą?

Zapatrzyła się w swoje odbicie w upstrzonym przez muchy lustrze - w swoją upartą szczękę, w obwisły wiecheć włosów. Przytaknęła.

- Hmm... - powiedział. - Wtedy byłem poniekąd żonaty z Popsi.

- Poniekąd? Jak to, poniekąd?

- Pierożku, tyś nigdy nie była zameżna.

- Zgadza się.

- No więc?

- No więc poniekąd mamy jakąś inną - powiedziała. - Która to była?

Siedział teraz. Jego brwi unosiły się i opadały, tak je marszczył. Szukał w pamięci.

- Wiem - powiedział. - Byłem żonaty z Popsi, ale tak jakby z Lorną.

Odwróciła się od lustra i zagapiła się w niego.

- Jak to, tak jakby z Lorną? Jacquetta mówiła: *zasadniczo*. Zasadniczo mam troje dzieci. A jak mówiła Popsi? Ile dzieci? To zależy co chcesz przez to powiedzieć!<sup>21</sup> *Tak jakby, poniekąd, zasadniczo*, co, na Boga, wy wszyscy sobie myślicie?

Siedział w swoim fotelu zgnębiony.

- Jesteś młoda - powiedział. - Pewność to luksus dany tylko młodym. Kiedy człowiek się starzeje, nie ma czegoś takiego jak zdanie proste.

Zawsze są zastrzeżenia, wszędzie wyskakuje zdanie wtrącone. - Wskazał swoje uszy. - Jak te włoski, które z nich wyrastają.

- Ja chcę tylko wiedzieć, co to znaczy *tak jakby*. Kim ona była?

Nastąpiła cisza, kiedy zapalał papierosa.

- Była uroczą dziewczyną. Bardzo młodą, młodszą niż ty. Bardzo żądną.

- Twarz mu przysłoniły płasy dymu.

- Czego żądną?

- Tego samego co ty. Sławy, sukcesów, wszystkiego. Miała zostać wielką aktorką.

- Miała? Nie jest?

Potrząsnął głową.

- Na świecie pełno jest ludzi, którzy mieli zostać wielkimi aktorami. A teraz, nie wiem, prowadzą wiejskie hoteliki, piszą książki kucharskie i ...

- Sprzedają starocie.

- Sprzedają starocie. I rozwodzą się, i robią wszystko to, co robią wszyscy. - Uśmiechnął się do niej. - Ja usiłuję rozkochać w sobie piękne młode dziewczyny. Życie jest sprawą bardzo czasochłonną. Trzeba być nadludzko utalentowanym albo bezlitosnym, żeby się przepchnąć. Jeżeli talentu czy bezwzględ- - ności ma się tylko trochę, potok zalewa. Potok tych wszystkich zdań wtrąconych, tych *tak jakby* i tych *poniekąd*. Jeżeli rozumiesz, co mówię.

Znów zaległa cisza. Celeste pociągnęła ze szklanki łyk, palił ją w gardle. Spojrzała na Buffy'ego. Unosił brwi. Włosy mu siwiały, broda jeszcze bardziej, ale brwi pozostały czarne. Czułki jego umysłu, unoszące się i gadające w zależności od falowania za nimi. Brwi marionetkowe, poruszane aparaturą bliską jej i drogą. Kochała go całym sercem, ale nie podeszła do niego. Stała przy kominku. Bo jeszcze z nim tej sprawy nie skończyła.

- Jak ona się nazywała? Nazwisko.

Musiał sobie przypomnieć.<sup>212</sup>

- Lorna... Lorna Kidderpore.

- Lorna Kidderpore.

- Jej ojciec był jakąś znakomitością. Matematyk.

- Długo ją znałeś?

- Tylko miesiąc, może dwa miesiące.

- Kochałeś ją?

- Oczywiście - powiedział. - Ja nie jestem dziwkarzem, serduszko. Jestem romantykiem. Romantyk zakochuje się na całe życie. Sęk tylko w tym, że nie zna pojęcia „przeszłość” ani pojęcia „przyszłość”. Z niczego nie czerpie nauki, niczego nie przewiduje. To właśnie jest jego wspólna cecha z kompletnym głupcem. Romantycy i głupcy są pod niejednym względem do siebie podobni. Rzeczywiście wierzą w możliwości. Dlatego . moje życie to taki bałagan.

- Co się wtedy stało?

- Jej zaproponowano angaż. Tournee po Europie z pewnym teatrem. Musiała wybrać: ta wielka szansa albo ja. Wybrała szansę.

- I co potem?

- Nie wiem.

- Już nigdy jej nie widziałeś?

- Raz. Widziałem ją raz. - Rzucił niedopałek na palenisko kominka. Było tam mnóstwo starych niedopałków.

- Kiedy?

- Pięc, może sześć lat temu. Penny i ja wzięliśmy chłopców na wakacje do Francji. Niewielki sukces, właściwie to całkowita klęska. Penny się zatrzała jedzeniem, Bruno wdał się w awanturę z żandarmem, samochód nawalił...

- Więc jazda z powrotem do Dover.

Uśmiechnął się.

.Zawsze sobie wyobrażałem, że tak właśnie komentują moje dzieci.

- Które dzieci?

- Te, których nigdy nie spotkałem. Te, które słuchały mnie W radiu. Trzeba ci było widzieć ich listy do mnie, karty kolorowane kredkami, setki listów! Kochały mnie serdeczniej niż moje rodzone, ale to dlatego, że mnie nie znały.

- Zналиśmy cię! Budziłeś w nas uczucie, że cię znamy. Mówiłeś nam tyle rzeczy. Nasi rodzice mówili nam tylko, jak się zachowywać przy stole. Opowiedz mi teraz o tym. Opowiedz o Dover.

Pies podniósł się, poczłapał do Buffy'ego i usiadł przy jego rannych pantoflach.

- Siedzisz wygodnie? - zapytał Buffy.

- Tak - odpowiedziała Celeste, chociaż stała.

- Więc zaczynamy. Jest śliczny słoneczny poranek. Buffy i jego rodzina jadą na wakacje. Do licha, co za przygoda! Mają odwiedzić żaby. Dwa małe chomiczki na tylnym siedzeniu były się ze sobą jak zwykle. „Przestańcie, łobuziaki”, mówi Buffy z błyskiem w oku. I akurat wtedy, gdy jadą przez miasto Dover, no no no... któż to jak nie jego eks-ukochana wychodzi ze sklepu spożywczego?

- I co?

Łyknął whisky.

- Wrzasnąłem, żeby Penny zatrzymała samochód, więc zatrzymała, ale wszyscy na nas trąbili. A kiedy znalazła wreszcie miejsce do zaparkowania i wysiadłem, Lorny już nie było. Rozpłynęła się w powietrzu.

Celeste ziewnęła, chociaż serce jej łomotało.

- To ładna opowieść - powiedziała. - Teraz czas na dobranockę.

Buffy zerwał się z fotela.

- Och, tak, tak. - Objął ją. - Och, przez sześć tygodni z upragnieniem czekałem na to. Odkąd tylko zobaczyłem cię w tym różowym kitelku.

- Nie tutaj.

- Och, przyrzekam, że nic nie zrobię. Słowo harcerza. Nawet nie mógłbym, prawdopodobnie. W szczytowej formie jestem koło dziesiątej i już pięć po dziesiątej koniec. - Potarł brodę ojej policzek. - Przecież możemy spać razem. Prześcieradła uprane w zeszłym tygodniu. W zeszłym miesiącu, najdawniej.

- Nie, muszę już iść. - Odsunęła się od niego.

- Ale jest wpół do trzeciej.

- Znajdę taksówkę.

- Nie możesz iść sama. Zbyt niebezpiecznie.

Chwyciła swój płaszcz i ruszyła do drzwi, potykając się o reklamówkę. Szczęśliwie wy turlały się z niej puste butelki.

- Chcę porozmawiać z tobą o Bożym Narodzeniu! - wykrzyknął Buffy.

Pocałowała go i wybiegła.

- Co z Bożym Narodzeniem? - Jego głos odbijał się echem na schodach coraz ciszej.

\*

W mieszkaniu trzy telefony stały rzędem. Celeste podniosła słuchawkę swojego, jedyne, który nie był głuchy. Muzyka jeszcze dudniła zza ścian. Gdzieś jakieś drzwi trzasnęły, doleciał przytłumiony śmiech. Ludzie w tym domu zarywali całe noce. Tak samo ci w biurze numerów.

- Jakie miasto? - padło pytanie.

- Dover - odpowiedziała Celeste.

- Nazwisko?

- Kidderpore, L. - Przeliterowała. Potem czekała w napięciu. Ta Lorna pewnie od tamtego czasu zmieniła nazwisko co najmniej trzy razy. One wszystkie przecież zmieniały.

No, ale wreszcie informacja dała się słyszeć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

---

Londyn był na coraz szybszych przedgwiazdkowych obrotach. Przyspieszenie, takie jak w piątek wieczorem, czuło się w powietrzu co dzień od rana. Ludzie byle jak parkowali samochody i rzucali się do sklepów. Listonosze, otwierając skrzynki pocztowe, cofali się przed lawiną kopert, dzieci grały w szopkach stremowane, wijąc się pod szatami z prześcieradeł. To wszystko i dużo więcej, strach, radość, samotność. Na Kilburn High Road pojawiły się stoiska z ozdobnym papierem do pakowania prezentów. W domach towarowych szafy grające błyszcząły pozłotką. Winiarz Buffy'ego miał wielki ruch w interesie. Sam Buffy kupił dwie butelki Leoville Lascalles, ale czy będzie z nim to piła Celeste? Kupił też dla niej srebrne kolczyki do tych przekłutych uszu, ale kiedy jej da? Właśnie wtedy, gdy wytworzyła się między nim i Celeste większa zażyłość - wydarzenie tamtej nocy przeniosło ich na płaszczyznę naturalniejszą, bardziej osobistą, w coś podobniejszego do romansu - ona zniknęła, jak gdyby zapadła się pod ziemię.

Przez następne dwa dni nie było jej w składzie aptecznym. Pan Singh powiedział, że jest zajęta obliczaniem jego VATu.

- Za dobra na ekspedientkę - dodał. - Ma mózg ta dziewczyna!



- Wiem o tym! - potwierdził Buffy. - Proszę, niech jej pan powie, że czekam na telefon.

Dzwonił do niej bez skutku. Siedział przy telefonie jak nastolatek czekając, żeby wreszcie zadzwoniła. Trzeciego dnia była w sklepie. Serce mu podskoczyło.

- Daruj mi - powiedziała. - Muszę najpierw coś załatwić.

W ten wieczór włączył automatyczną sekretarkę i sam poszedł na przedgwiazdkowe przyjęcie, na którym miał nadzieję popisać się piękną Celeste. Kiedy zataczając się, wrócił do domu, automatyczna sekretarka oznajmiła mu: O. Co się dzieje? Dlaczego Celeste jest taka tajemnicza? Bogaty w doświadczenie, oczywiście, znał odpowiedź.

Przez całą niedzielę się denerwował. Kupił wszystkie gazety, żeby mieć inne zajęcie, ale nie mógł się nad tą lekturą skupić. Obojętnie przewracał stronicę. Wyobraźnię mas zawładnęło jakieś konkursowe poszukiwanie skarbu, tysiące ludzi uganiało się po całym kraju, żeby zdobyć nagrodę. W „My Room” przedstawiano pianistę-wirtuoza wraz z żoną i czeredą uśmiechniętych synków blondynków. Siedzieli w nieposzlakowanym saloniku i wyglądali na pewnych swojego jutra. Ta żona powiedziała: „Mój mąż to mój najlepszy przyjaciel” - jedna z tych deklaracji, które z jakiegoś powodu zawsze go rozwścieczały.

Wziął psa na spacer i przeszurali we dwóch obok wytwornych willi z kolumnami w Małej Wenecji. Zaparkowane tam były Land Roversy, szczyty pogardy wobec wszelkich innych znanych samochodów. Potem stanął z George'em na moście i patrzył w dół na kanał. Gdyby skoczył w tę wodę, czy Celeste by się przejęła? Czy w ogóle by to zauważono?

Oczy napęłniły mu się łzami. Czy - zastanowił się - ktokolwiek kocha mnie na tyle, że gdybym dokądś wyjechał z Anglii, czytałby w gazecie, jaką mam pogodę tam, gdzie przebywam?

Takie rzeczy. Czy w ogóle któraś mnie kochała?

\*

Boże Narodzenie się zbliżało, a Quentin był sam. Sam w swoim mieszkaniu z „Daniami dla Ciebie” Tagliatelle. Znowu z jedną porcją, pełną i kompletną. Talbot się wyprowadził.

Quentin rozglądał się po tym paradnym pokoju, zdobnym w kokardy, aksamity i adamaszki. To jest znów jego mieszkanie i w tej siedzibie jemu zwróconej nie ma ani śladu Talbota - nic nie zostało po tych dwóch latach. Teraz on jest do głębi zdezorientowany. Kiedyś, gdy dojdzie do siebie, może uzna, że to właśnie dobrze. Tak już bywało.

Rozejście było rzeczywiście wspólną decyzją, jeśli w ogóle takie decyzje mogą być wspólne. Zawsze w chwili kiedy ktoś wyrażał swoje wątpliwości, Quentin wmawiał sobie, że również je żywi, i to od początku. Samoochrona. Z chwilą kiedy ktoś mówił: „Nie wychodzi nam, prawda?” albo „Musimy porozmawiać”, wszystko się zmieniało raz na zawsze. Podobnie i na innych płaszczyznach. Ktoś powiedział, że jego tapeta jest w złym guście, i on już nigdy nie mógł patrzeć na tę tapetę tak jak dawniej. W końcu ją zerwał, ozdobił mieszkanie inaczej.

Quentin włączył kuchenkę mikrofalową. Jeszcze nie mówił mamie. Bał się jej rozczarowania. Mama lubiła Talbota.

- Ten przetrwa - zaopiniowała.

Ale nic nie było trwałe - w jego rodzinie nie. Czyż więc dziwne, że trudno mu podtrzymać więzi? Mając taki przykład, jaki dawali mu jego rodzice, kto by zdołał? Jego przeszłość była jak walący się dom noclegowy, ludzie przychodzili i odchodzili, nieznajomi zasiadali do śniadania, a potem niewytłumaczalnie znikali. Terapeuta określił to „emocjonalnym targaniem ako- modacji”. Powiedział, że niezdolność Quentina do podtrzymywania więzi z ludźmi to jego sposób, żeby trzymać się ojca i matki. Powtarzając rozstania, on zawsze pozostaje ich dzieckiem, związanym z nimi. I tak jest. Za każdym razem kiedy z kimś zrywał, myślał o swoim ojcu, zastanawiał się nad samopoczuciem ojca po rozwodzie. Jak gdyby uległ wypadkowi, po którym potrafił się wczuwać we wszystkich innych przykutych do łóżek w szpitalu.

Quentin położył na stole jedno nakrycie - zawsze robił to starannie - i odkorkował butelkę Chardonnay, której połowa miała zostać na jutro. Popsi, jego mama, mówiła: *trzeba widzieć jasną stronę medalu. Od każdego, mówiła, kogo poznajesz, uczysz się odrobinę.* Spróbował sobie przypomnieć, czego nauczył się od mężczyzn, z którymi mieszkał. Od Dereka?

Derek dał mu przepis na usmażenie marmolady. Ponadto nie skąpił szczegółów zgoła dla niego zbyt wielu o starych wokalistach bluesa, o niewidomym kimś tam i też niewidomym kimś innym, wszystkich śpiewających chyba tak samo. Od Talbota? Talbot wyłożył mu zasady amerykańskiej piłki nożnej i nauczył go grać *Za rękę mnie weź, bom pierwszy raz w Raju* na fortepianie jednym palcem. I na pewno dużo więcej, ale nie czas myśleć o tym, rana po Talbocie jest jeszcze zbyt świeża.

Czego nauczył się tata od swoich licznych żon? Jak dawał sobie radę? Miło byłoby się z tatą zobaczyć, ale też nastrój spotkania teraz mógłby być sztuczny, nastrój obcości, więc lepiej nie ryzykować. Po co znów to straszne poczucie utraty? Może ojciec rozczarował się co do niego, bo on jest gejem. Ale przecież nawet nie wie. Nie wie o nim takich ważnych rzeczy, już nie mówiąc o nieważnych, o całym wszechświecie drobnych spraw, na których omawianie, gdyby się spotkali teraz, nie wystarczyłoby życia.

Dawno, dawno temu tata ich odwiedzał. To było w okresie Pimlico, kiedy on był mały i mieszkali nad „Starą Kasztanką”. Może ojciec ich odwiedzał tylko ze względu na tę knajpę; może to miało mniej wspólnego z ojcowską miłością niż z magnetycznym przyciąganiem alkoholu. Strasznie kłócił się z mamą. Potem Terry, ojczym, przypuszczał szturm z baru cocktailowego i wyrzucał ojca. Te ryki na ulicy! Ta postać za matową szybą, walenie w okno! Ta pięść tłukąca o inkrustowany napis, który wewnątrz czytało się od końca do początku. RAB YNZCIL- BUP. Ryki z biegiem lat słabły.

Wizyty się skończyły. W miarę jak czas mijał, każde spotkanie jest blejszym powtórzeniem poprzedniego, coraz bardziej mgliste, aż obraz ojca prawie zanika. Może tata, myślał Quentin, czuje, że ja też daję z siebie coraz mniej, aż jesteśmy prawie jak dwaj nieznajomi, którzy rozmawiają o

niczym. A później każdy z nas ledwie pamięta jak ten drugi wygląda. Tata jest jak pieczętka nigdy nie nawilżana tuszem. Za każdym razem niklejsza.

Quentin zasiadł do swoich łazanek. Znow problem z Bożym Narodzeniem. Co rok bał się tych świąt. Co rok przyjaciele, jego rówieśnicy rozjeżdżali się do swoich rodzin w Northumberland czy w Surrey; na ten czas stawali się uległymi synami

- nie rozpoznałby ich, gdyby tam ich widział - a że nie przywozili do domu swoich dziewczyn, no przecież mają na to jeszcze mnóstwo czasu, no nie, kochana mamó? Ci, z którymi mieszkał, przeważnie starsi od niego, zabierali go czasem na jakiś ubaw do „Marocco” czy dokądś, ale radość często kończyła się łzami.

A kiedy nie było w jego życiu nikogo, zwyczajnie jeździł do mamy. Takie Boże Narodzenie, chociaż alkoholowe i wesołe, często również kończyło się łzami. Zawsze się dziwił, zważywszy że mama jest kobietą prostą, jak może więz między nimi być tak skomplikowana. Czy tata też się w tym gubił? Być synem niełatwo, to szczególnie stan ze swoją siatką sideł i pułapek, ale być mężem niewątpliwie też trudno. On sam był niejako mężem Talbota, jeśli chodzi o nastroje, dosyć kobiecego. Chętnie by o tym z kimś porozmawiał. Tylko że mama by nie zrozumiała. Uwielbiał ją rzeczywiście, ale ona by to przyjęła do siebie. Nie rozumiałaby.

Tata by rozumiał. W tym roku Quentin po raz pierwszy nie poprzestał na zastanowieniu się, co Buffy będzie robił w to święto. Zawsze zastanawiał się nad tym przelotnie. W tym roku jednak pomyślał: czy nie byłoby interesujące, gdybyśmy się spotkali?

\*

W Boże Narodzenie zdarzają się cuda. Miles został wychowany tak właśnie, żeby w to wierzyć. Brenda też w to wierzyła. Przy choince w ich małym domku podłoga była<sup>20</sup> usłana mapami mierniczymi. Brenda siedziała w kuchni mamrocząc coś do siebie. Jakaż to klucha! Kiedyś uważał, że jest krągła, ale słownictwo jego myśli zmieniło się z określenia „krągła” na „klucha”, z „żywotna” na „niepohamowana”. Właściwie to samo, tylko

naświetlone z drugiej strony. Żałował, że to sformułował nawet w myśli. Straszne jest dobieranie słów.

- Framshill... - Jej krótki gruby palec sunął po mapie
- Six-Mile Bottom... - Podniosła wzrok, rozplomieniona.
- Gail przypuszcza, że to jest w Okręgu Peak, i dobrze, ja jej nie powiem.

RS

Złoty Klucz. Gdzieś zakopany, żeby go odkopać tam czy gdzie indziej. Klucz do podróży najpiękniejszej w życiu, do majątku, do szczęścia. Brenda najwyraźniej nie jest szczęśliwa, jest podniecona. Już w całej Wielkiej Brytanii ludzie łążą po zaoranych polach. O zmroku wychodzą zbrojni w latarki, żeby kopać w poszukiwaniu tego skarbu.

- Gdzie jest Triverton? - Brenda westchnęła. - W Devon, cholera. - Postukała się długopisem w zęby. - Jaki może być anagram od słowa sepia?

- Rozpacz.

- Wygłupiasz się. Nie ma miasta, które się nazywa Rozpacz.

I w każdym razie to inne litery.

\*

Celeste spędziła tę noc z K i m ś. Po czym to poznać? Po tym, że jest zarumieniona i promienna, nawet rysy twarzy ma jakieś troszeczkę inne i pod różowym kitem ten sam sweter, w którym była wczoraj. No i kiedy dzwonił do niej do domu dzisiaj rano, jej tam nie było. Zapytana, dlaczego, wzruszyła ramionami - ta udawana nonszalancja, jakże dobrze to znał - i odpowiedziała:

- Pewnie wtedy właśnie wyskoczyłam po mleko.

Alarm! Dzwony ostrzegawcze! *Wyskoczenie* zawsze oznacza

kłopot. Takie lekkie słowo na wiatr, jakież zdrady się za nim kryją. Jacquetta tylko wyskakiwała do sklepów, skrzętna gospodyni domowa, zgoła jak nie ona. Kiedyś wybiegł, żeby jej przypomnieć o wodzie sodowej, i zobaczył ją na końcu ulicy. Telefonowała z budki.

Ukończył sześćdziesiąt jeden lat, ma za sobą życie pełne *wyskakiwań*, więc jest raczej ekspertem w tej dziedzinie. To, że kobieta ma romans, jest dla niego tak samo widoczne jak to, że kobieta spodziewa się dziecka. Nieraz słyszał *pyk* połączenia z drugiego aparatu telefonicznego, maleńki kurancik o północy. Nieraz widział ten tajemniczy wyraz twarzy, jak mina dziecka, które z zakazanym cukierkiem w buzi przestaje jeść, kiedy ktoś dorosły wchodzi do pokoju. Och, te wymyślne wyjaśnienia „gdzie byłam”! (Powinien był się zorientować, co piszczą nie tyle w trawie, ile w podróżach

Penny, tu wyjątkowo zawiodło go wyczucie). A ten fakt, że kiedy wracał z pracy do domu, one jakoś zawsze akurat wtedy się kąpały. A te nagłe, zupełnie dla nich nietypowe akty wspaniałomyślności: idź już tam, będziesz cudownie się bawił. I te obiadki w mieście z koleżankami z lat szkolnych o nazwiskach nie bardzo dających się dosłyszeć. I to sprzężenie raptownie wywoływane dzwonkiem telefonu - podobnie lis sztywnieje na dźwięk myśliwskiego rogu.

Och, mógłby się rozwodzić nad tym bez końca, mógłby prowadzić kursy mistrzostwa w tym zakresie. I oto znów od początku się zaczyna. W porze gwiazdkowej dobrej woli, na domiar złego.

\*

*Chodźcie, pasterze, Bóg się narodził...*

Już za pięć dni Boże Narodzenie. W Blomfield Mansions Buffy spał. Dalej na tej samej ulicy, w jednym z tych dużych domów z falbaniastymi firankami w oknach, Annabel nie spała. Annabel z pokoju hotelowego w Rye. Od tamtego czasu Buffy się z nią nie spotkał i, co więcej, nie miał się z nią spotkać nigdy. Ale czy to ważne teraz? Kobiety, których dotykał. Kobiety, których chciał dotykać. Kobiety, które zjawiły się za wcześnie albo za późno, żeby minąć go na schodach, czy żeby czekać z nim na przystanku na autobus. Kobiety, które tylko mu mignęły w drzwiach wahadłowych i o których potem śnił, budząc się nocą wilgotny z pożądania, z wyparowywania majakowych rozmów. Kogo to obchodzi, skoro do niczego nie doszło? Teraz Buffy był sam i spał, jego pies chrapał przy nim.

\*

Kiedy Buffy leżał pogrążony we śnie, India i Nyange wyszły z Klubu Podziemnego. Była to zadymiona suterena w okolicy Charing Cross, z podłogą śliską od piwa i ulotek. Wychodząc, obie miały bębenki w uszach rozśpiewane. Ta muzyka jeszcze dudniła z dołu przytłumiona jak bicie serca.

Spotykały się od czasu do czasu na West End po pracy Indii w kinie. Lubiły się, ostatecznie były poniekąd siostrami.

Twój tata bardzo dziwny ostatnio.

- Który tata?

- Twój prawdziwy.

- Ach, on.

- Opętany jakąś o połowę młodszą od niego.

- Tylko że nie mną. O, nie. - Nyange potrząsnęła głową. - Nawet się nie pofatygował, żeby zobaczyć mnie na scenie.

- Jak mógłby, kiedy nie zawiadomiłaś go, że grasz? - Stały na przystanku i czekały na nocny autobus. - To przecież zależy od ciebie.

Mężczyźni oglądali się za Nyange, gapili się za nią. Odwracała się od nich. Po chodniku sunęła pusta reklamówka Marksa i Spencera z uchwytyami podniesionymi jak ręce. Podmuch wiatru porwał ją w powietrze. Wysoko, wysoko ponad zaparkowane samochody.

- Co robisz w święta? - zapytała India.

- Mama jedzie do Kingston. Ja nie mogę, bo gram.

- Kingston nie jest daleko.

- Kingston na Jamajce, ptasi mózdzku. Z wizytą do dziadka i babci. I żeby podnieść świadomość tamtejszych kobiet. Jest teraz rzeczywiście nudno rozpolitykowana.

- Idź do Buffy'ego - powiedziała India.

- Nie mogę. Nie widziałam się z nim od lat. Ostatnim razem to było naprawdę przygnębiające.

- Czemu?

- Palił przez cały czas przy gwiazdkowej kolacji.

- Może był zdenerwowany.

- Mama musiała mu upiec bażanta, takie ceregiele. Natrafił na śrut i złamał ząb, rany boskie, jakiego narobił szumu. Mówiliśmy mu, że to biedna ptaszyna, przecież nie chciała być ustrzelona, wolałaby fruwać po lesie i w ogóle. A on połowę tego bażanta dał swojemu psu.

- Może go zaraziłyście, może ten bażant był niedobry.

- Pies potem wymiotował na dywan.

- No właśnie. - Pokazał się autobus Indii. Jaśniało oświetlone wnętrze. - Ja rzeczywiście wolę Buffy'ego niż moich prawdziwych rodziców.



- Dlatego że to nie twój prawdziwy - powiedziała Nyange.

Autobus już podjeżdżał. India zaczęła grzebać w torebce.

- Jest pora przebaczenia. Tamto wszystko, cokolwiek twoja mama mówiła o nim przez lata, nie ma nic wspólnego z tobą. On taki teraz przejęty.

- Nie mogę.

Drzwi autobusu złożyły się, otwierając z sykiem.

- Więc przyjdź na Gwiazdkę do nas - powiedziała India. Uścisnęła Nyange i wsiadła do autobusu. - Bardzo bym chciała. Z tobą będzie o wiele przyjemniej.

Drzwi się rozłożyły z westchnieniem. India usiadła. W autobusie było pusto. NIE ROZMAWIAĆ Z KIEROWCĄ, upominał napis.

W drodze do domu India drzemała, śnił jej się Buffy przy kierowcy autobusu już nie pustego, zatłoczonego jego eks-żonami i dziećmi. NIE ROZMAWIAĆ, upominał napis, ale wszystkie naraz rozmawiały ogłuszająco. On nie ma pojęcia dokąd jedzie! - wrzeszczały. Nie zdał na prawo jazdy! Jak może wrócić do domu, przecież już tam nie mieszka!

\*

*Przybieżajcie wszyscy wierni...*

Już za trzy dni. Kiedy Buffy wszedł do składu aptecznego, Celeste rozmawiała przez telefon. Szepnęła coś w mikrofon słuchawki i skończyła rozmowę.

- Kto to był? - zapytał Buffy, sympatycznym uśmiechem rozciągając usta.

- Nikt.

Spróbował się zmobilizować.

- Porywam cię dziś wieczorem. W Kinie dla Wszystkich dają *Trzydzieści dziewięć stopni*.

- Ojej! - Zaczzerwieniła się. - Przepraszam, nie będę mogła. - Stała za ladą i obgryzała paznokcie.

- Wiesz, co powiedział Picasso? Zaczyna się być młodym, kiedy ma się sześćdziesiąt lat, a wtedy już jest za późno.

- Nie bądź niemądry. - Uśmiechnęła się do niego. Po chwili milczenia rzucił jak gdyby nigdy nic:

- Nie uwierzyłabyś, nawet nie znam twojego adresu. I co, jeżeli zechcę przysłać ci jakiś drobiazg na Gwiazdkę?

- Jakiś ty miły! - Podała mu swój adres. - Mieszkam na drugim piętrze.

\*

*Gdy wszędzie wokół nas puszysta śniegu biel...*

Już za trzy dni... ale śniegu ani trochę. Mrozu nie ma. Ziemia miękka, idealna do kopania.

W ciemnościach poruszały się pojedyncze postacie, mniej lub bardziej utrudzone. Poświata księżycy srebrzyła ich łopaty. Jednej na Dartmoor, innej na łące tuż za skrajem łuny Basingstoke. W całej Anglii ludzie kopali, szukając skarbu.

W lesie Bockhangar, najdalszym zakątku Kent, kopały dwie postacie obok siebie. Te nie szukały skarbu, te zasadzały rośliny z nadzieją na swój własny cud.

\*

*Zeszłej zimy pojechałem do mojego rodzinnego miasta - napisał doktor Johnson - i stwierdziłem, że ulice tam są o wiele węższe i krótsze niż je pamiętałem, i zamieszkane przez nowe plemię ludzi, którym jestem bardzo słabo znany. Moi towarzysze zabaw postarzeliz się, co wywołało we mnie podejrzenie, że już nie jestem młody.*

Dodajmy do tego senną drętwołę wskutek alkoholu i czyjejs dwulicowości. W jego wieku trudno mu było zarywał nocę. A przecież zdołał dotrwał do drugiej nad ranem. O drugiej zszedł na dół i przywołał taksówkę.

To była ulica wyraźnie zmęczona. Jego ukochany anioł mieszka tutaj, jego ukochany zdradziecki anioł! Pusto, ani jednej żywej duszy. Wysiadł z taksówki, kazał kierowcy poczekać i przeszedł na drugą stronę jezdni.

Na parterze sklep ze starzyzną. Wyżej łomoty muzyki. Różowe światło z za podartej rolety. Ale na drugim piętrze, na piętrze Celeste, ciemno. Okna

nawet nie zasłonięte. Tam nie ma nikogo. I godzina tak późna, że tej nocy nikogo nie będzie.

Stał, drżący, w rannych pantoflach. Na frontowych drzwiach zobaczył przyklejoną kawałkiem taśmy kartkę: *Liam, jestem u Choga*. Za sobą usłyszał mamrotanie silnika taksówki. *Mamrot-mamrot, rogacz-rogacz, należy się trzy funty pięćdziesiąt, królu, z Heathrow ho-ho, mamrot-mamrot, trochę bęcWal z pana, no nie?*

\*

*Bóg da się weselić, panowie. Niechaj nie trwoży was nic...*

„U Trzech Grajków” była dekoracja z chorągiewek i wstążek, sufit z nimi nieomal się wyginał. Ryki pory obiadowej przybierały na sile. Przy kominku te dwie podstarzałe dziewczyny, Kitty i Una, śpiewały kolędy. Za kontuarem ten niemożliwie młody knajpiarz, Australijczyk, miał na głowie czapkę Świętego Mikołaja.

Buffy popijał z Celeste. Mężczyźni łypali na nią pożądanymi oczami - jeszcze jak! To jej nowe uczesanie, a raczej potarganie... O Boże, czy j a też tak na nią patrzę?

- Z kim się widzisz? - zapytał.

- Z kim?

- Jak on się nazywa?

- Buffy, już ci powiedziałam - pogłaskała go po kolanie. - Żaden on nie istnieje.

- To Liam?

- Kto to jest Liam? - zapytała.

- Może Chog?

- O kim ty mówisz?

Wstała i poszła do toalety. Czy nie do telefonu? Podczas gdy jej nie było, pogrzebał w kieszeniach jej płaszcza. Czegóż on nie znajdował w kieszeniach kobiet swojej przeszłości! Bilety kolejowe do Bristol Tempie Meads, zgniecione kartki z nieznanym charakterem pisma *Dzwonek zepsuty, wal do drzwi. XXX*. Listów rzeczywiście miłosnych jednak nie było, z kobietą aż tak głupią nie zdarzyło mu się sypiać.

Z kieszeni Celeste wyciągnął jej wełniane rękawiczki i paczkę Polo. Pogmerał na samym dnie i wyciągnął kilka pustych ziemistych torebek politenowych z etykietką: *Cypripedium calceolus, storczyk pantofelek*.

Wpakował to do kieszeni z powrotem. Z kim Celeste ma romans? Z ogrodnikiem?

- Ja u ciebie mam być w święto, no nie? - zabeczał.

- Oczywiście. Już ustaliliśmy.

- Kupiłem indyka. - Uparł się przy tym. Indyków nie kupował od lat. Indyk sprawia, że cała ta feta wydaje się bardziej domowa, jakaś bardziej możliwa.

- Przyjdę do ciebie po niego jutro rano - powiedziała. - Potem będziesz mógł przyjść do mnie. Zrobię ucztę gwiazdkową dla nas wszystkich.

- Jak to dla wszystkich?

Zaczerwieniła się. Ależ się wsypała. Co ona sobie wyobraża? Jakieś cholerne licytowanie się rywali?

- O kim ty mówisz? - zapytał z kolei on.

Odpowiedziała:

- Mam mnóstwo królików.

- A po co?

- Kiedyś ci opowiem.

Objął ją ramieniem.

- Jutro wigilia. Zjedzmy razem obiad. Daj się zaprosić do lokalu rzeczywiście sztywnego.

Znów pogłaskała go po kolanie, przesuwając palcem wzdłuż prążków sztruksu.

- Nie mogę - powiedziała. - Zwolnię się z pracy wcześniej.

- O której?

- O pierwszej.

- Dlaczego?

- Muszę dokądś pojechać - powiedziała.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

---

Wigilia Bożego Narodzenia, ruch szalony na ulicach. Ludzie wyjeżdżali, w samochodach mieli sterty prezentów. Lepiej teraz do pełna, jutro się nie kupi benzyny. Ludzie szli do domów, zbierali swoje dzieci, zamykali swoje luki. Ludzie wybiegali z domów - wypadły w ostatniej chwili po sos żurawinowy, po papierowe serwetki. O Boże, jeszcze czekoladki dla Tej to czy Tamtej. Za zamkniętymi drzwiami szelest papieru do pakowania, szepty, chichoty. W ogrzanych pokojach cicho opadały igły z choinek, nie oglądana telewizja zapowiadała opady śnieżne.

\*

Ważne nie tylko, co się nosi, ale i jak się to nosi. Buffy oczywiście miał podejście zawodowe. A przecież wołał nie ryzykować. Sytuacja aż się prosiła o zgolenie brody, tego by jednak nie zrobił. Bóg wie, ile pod tą jego brodą kryje się podbródków; zapuścił ją między innymi z tej właśnie racji. Ale włożył czarny miękki kapelusz filcowy, który kiedyś zwędził z magazynu kostiumów BBC i w którym chodził tylko wtedy, gdy odwiedzał dyrektora swojego banku. I włożył ciemne okulary. Wigilia Bożego Narodzenia, raczej mroźna, zaświtała słonecznie, więc te okulary nie wyglądały zbyt głupio. Twarz otulił czarnym szalikiem. Kiedy ukrył się za krzakami i czekał, zwilżyło mu skórę kondensatem niepokoju ciepło własnego oddechu. Był w płaszczu - no, dostał ten płaszcz od Penny, wystarczy powiedzieć - z podszewką atlasową i naszywką firmy Aquascutum. Styl Penny, jak wszystkie jej prezenty. Po jednym spojrzeniu na ten płaszcz wiadomo, dlaczego to małżeństwo się rozpadło. Od dawna tego nie wyciągał z szafy. Celeste nigdy go w tym płaszczu nie widziała.

Zza czarnych od sadzy liści patrzył na skład apteczny na rogu. Punkt o pierwszej Celeste wyszła. Wkładając swój rdzawy płaszcz po drodze, zamykając drzwi, zawołała do wewnątrz „Wesołych Świąt” i wbiegła na Edgware Road. Zapaliło się zielone światło, przeszła na drugą stronę.

Jego stare serce łomotało. Boczkiem wysunął się zza krzaków. Przeczekał nadjeżdżający autobus. Przeszedł przez jezdnię spacerkiem, jak makler giełdowy. Czy może jednak wygląda jak rekin czarnego rynku w ciemnych okularach? Ale Celeste i tak go nie zauważyła, bo była jedną z pierwszych w ogonku na przystanku; kiedy on wsiadł, już weszła na piętro autobusu.

Bo ona lubi jeździć tam na górze. Jakże boleśnie jest sobie przypomnieć te jej dziecinne zwierzenia. Nie powinien teraz myśleć o tym, to zbyt denerwujące. Musi być w pogotowiu, nie wychodzić z roli. Czuł pod skórą mrowienie adrenaliny starego aktora - tyle czasu upłynęło, odkąd miał jakąkolwiek godną pracę. Dobrze tu siedzi, będzie widać, kiedy ona wysiądzie. Kobieta siedząca przy nim trzymała na kolanach stos paczek.

- Wszyscy chcą coś dostać, prawda? - powiedziała.

Celeste wysiadła przy Dworcu Victoria. Wsiadł, poszedł za nią w tłumie. Na dworcu było tłoczno. Ludzie uciekali z miasta; nieśli walizki i paczki z prezentami. Tylko na chwilę zniknęła mu z oczu i szybko znów ją zobaczył. W ogonku po bilet. Stała nieruchomo i twarz miała bez wyrazu. O czym ona myśli? Czuł się źle, obserwując ją. Ktoś bliski widziany wśród obcych oddala się niejako, cofa w siebie, wydaje się mniejszy. Jej urok zapierający dech w piersiach, jej nićbiańskość *celeste* jakoś zniknęła i tam w ogonku stała tylko zamyślona smukła dziewczyna, która spoglądała raz po raz na zegarek. Równie dobrze mogłaby jechać w odwiedziny do sędziwej ciotki, a nie na spotkanie z kochankiem.

Kupiła bilet i pobiegła przez halę dworcową. Zatrzymała się przy kiosku, kupiła jakiś magazyn. Jest bez bagażu, więc wróci wieczorem. Zresztą ma gotować świąteczny obiad dla niego na jutro. Powiedziała, że przyjdzie po indyka.

Ni stąd ni zowąd taka domowa sielanka wydała mu się zgoła nieprawdopodobna. Celeste<sup>230</sup> odchodzi od niego na zawsze. Wsiądzie do pociągu-promu. Ucieknie i on już nigdy jej nie zobaczy.

Biegła w stronę peronów. Niech to piekło pochłonie, nie kupił biletu. Przecież nie wie, dokąd kupić bilet. Teraz za późno. Za późno, żeby pójść do kasy i zapytać kasjera, dokąd ona kupiła. Powinien był pomyśleć o tym, ale

zanadto był oszołomiony śmiałością swego przedsięwzięcia i zatracaniem poczucia rzeczywistości. Szybko! Na stanowisko bojowe! Pośpieszył za Celeste. Zapłaci w pociągu. Poniosła go fala pędzących ludzi. Bogu dzięki, zlecił dozorczy wyprowadzenie psa w razie gdyby nie wrócił do szóstej.

- Ale jest Boże Narodzenie! - Miles wybałuszył na nią oczy.

- Dopiero jutro.

- Jutro Boże Narodzenie. Cała twoja rodzina przyjedzie!

- Do tego czasu wrócimy. No, chodźże. - Brenda była już w płaszczu.

- Ale to kawał drogi - powiedział. - To setki mil. Cholerny zachodni Kent.

Trzęsa się, rzeczywiście się trzęsa. Nigdy czegoś takiego nie widział. Ta kobieta oszalała.

- Jeżeli nie będziemy pierwsi, znajdzie ktoś inny. - Zgasiła lampki na choince, podbiegła do okna, sprawdziła, czy dobrze zamknięte. - Nie możesz zrozumieć, że dzisiaj nikt tam nie pojedzie?

- Nikt, bo ludzie nie mają kręćka.

Zgasiła światelko w stajence na parapecie kominka. Odwróciła się do niego.

- Miles, ja zgadłam, gdzie jest skarb. Ustaliłam miejsce, gdzie jest zakopany. Nie chcesz jechać, pojedę sama.

\*

Celeste była w sąsiednim wagonie. Przez drzwi między wagonami Buffy widział czubek jej głowy. Kupił „Standard” i tylko udawał, że czyta, bo zapomniał wziąć z domu okulary do czytania. Za oknem przesuwały się okolice podmiejskie. Słońce już zachodziło, topole rzucały długie cienie na zimowe błonia. Kobieta, która siedziała przy Buffym, szturchała swoje dziecko.

231

- Przestań, Lottie, bo jutro będzie tylko płacz.

Buffy był teraz Gervais, kupcem, bankierem, aferzystą. Ciemne okulary maskowały jego tożsamość. Uciekał z kraju trasą Dover-Calais-Basle.

Punktem kulminacyjnym tego epizodu miała być walka ze śmiercią w śniegach Alp. Koprodukcja europejska, Klaus Maria Brandauer.

- Nie gap się - syknęła kobieta - To niegrzecznie.

Uśmiechnął się do dziecka i odwinął z twarzy szalik. Kamera.

Zbliżenie jego szlachetnego profilu.

Właśnie dlatego kocham aktorstwo, pomyślał. Wszystko lepsze niż być sobą.

\*

Samochód Milesa i Brendy pędził autostradą M4. Kiedy wyjeżdżali, ich dom był już w cieniu. Miles usiłował wspominać dawne Boże Narodzenia, ale daremnie. Żal nam uszy zatyka i wciska nam palce w oczodoły. On jest bryłą materii, jest do powietrza. Nie ma przeszłości, nie będzie miał przyszłości. To tylko ten samochód się posuwa.

\*

Pociąg zatrzymał się w Dover Priory. Celeste wysiadła. Na peronie ludzie padali sobie w objęcia. Na nią jednak nie czekał nikt. Buffy szedł za rdzawym płaszczem, kierującym się do rzędu taksówek.

- Odjechała. Buffy, dając nura do następnej w rzędzie, nachylił się nad ramieniem kierowcy i powtórzył kwestię z tysięcy filmów:

- Za tamtą taksówką.



\*

Słońce zachodziło. Brenda na przednim siedzeniu obok Milesa garbiła się, nieomal parła w szybę przed sobą.

- Och, jedź prędzej! - ponaglała.

Wyglądała jak wiedźma z *Czarodzieja z Oz*, zgarbiona na rowerze. Ostry nos, ostry głos. Wprost śmigali przez Kent. Miles prowadził samochód z taką szybkością, że koła prawie wzbijały się z nawierzchni szosy. Jeszcze trochę, a ulecą w przestworza.

\*

Buffy zdjął ciemne okulary. Stał pośrodku bezludzia, pośrodku niczego. Drżący na wiejskiej drodze, patrzył, jak taksówka odjeżdża. Kierowca nie zgasił światła wewnątrz. Jaśniało - świetlista tabletką na tle płomiennego nieba. Przez chwilę chciał wrzasnąć: stój! To odjeżdżała cywilizacja, zostawiając go zupełnie samego. Marzył okropnie.

Celeste zniknęła na jakimś błotnistym szlaku. Nie dojechał tam, kazał kierowcy zatrzymać się nie opodal. Co ona robi, na Boga, w takiej głuszy? Z kim ma się spotkać? Z każdą minutą było coraz ciemniej. Dlaczego w tym kraju zmrok zapada tak błyskawicznie i na tak długo? Jak może ktokolwiek to wytrzymać? Coś szeleściło blisko w żywopłocie, coś ciężkiego. Daleko za polami czekał pies - najsmutniejsze szczekanie na świecie.

Buffy lubił wieś niezdecydowanie. Znał wieś najlepiej - właściwie powinien znać - taką, jaką ją widział w upalne czerwcowe popołudnie, siedząc z kieliszkiem chablis w ręce. Kupił domek w Suffolk ze względu na Jacquettę, która powiedziała, że w Londynie czuje się jak w pułapce, a on wówczas zrobiłby wszystko, żeby jej sprawić przyjemność. Wyobrażał sobie, że chłopcy będą figlować w lesie, przybiegać ze słoikami po dzemie pełnymi patyczaków, i że Jacquetta przedzierzgnie się w typową uśmiechniętą, dobrą żonę, a on sam odmieniony, kipiący męską tężyzną *pater familias* będzie rąbał drwa i reżyserował szarady w wiejskie wieczory bez telewizora. Nic z tego nie wyszło, oczywiście. Nic a nic.

Zatrzymał się przy błotnistym szlaku, zdyszany nawet po przejściu niewielu kroków. Potem ruszył tym szlakiem w dół pomiędzy gęstymi żywopłotami. Błoto widział w resztkach światła dziennego, ślady opon lśniły wodą. Było jednak za ciemno, żeby omijać miejsca najbardziej błotniste. Na końcu szlaku - daleko, niemożliwie daleko, zważywszy jego kondycję - jaśniały światła jakiejś ludzkiej siedziby. Gdybyż tylko miał tu przy sobie Celeste, żeby dotrzymywała mu towarzystwa! Ona, właśnie ta, za którą się czaił. Jeszcze jedna zdrajczyni. Ukochana Celeste, zupełnie taka sama jak tamte. Och, prosty, wręcz pionowy jest ten szereg dających się przewidzieć sytuacji.

Wsluchiwał się w ciszę. Z dala dolatywało buczenie szosy. Poza tym żadnych odgłosów czy oznak ludzkiej aktywności. Tylko nagle z drugiej strony żywopłotu, gdzieś strasznie blisko, coś zakaszłało okropnie po ludzku. Cóż za zimne mokre przedpiekle - wieś! I taki bezmiar tego, mile i mile ciągnące się w wieczność! Och, wrócić do Londynu, do przytulnego mieszkania!

Potykając się i ślizgając, szedł powolutku przed siebie. Znów usłyszał ten oskrzelowy kaszel, a potem chrząst i beki. To chyba są owce. Wigilia Bożego Narodzenia. W innych okolicznościach mogłoby być wprost biblijnie.

Kto, na Boga, tam mieszka i właściwie co ja tu robię? Wiedział tylko, że skarpetki mu przemokły; beznadziejne te buty, nie nadają się na taką eskapadę. Trzeba było włożyć gumowe buty z cholewami, mądry po szkodzie!

\*

Dużo czasu zabrała Buffy'emu ta wędrówka. Zrobiło się zupełnie ciemno, chociaż księżyc wzeszedł. Poprzez drzewa Buffy już bliżej widział oświetlone okna jakiegoś domu. Te żółte prostokąty przypominały mu kalendarz adwentowy - okienka czterech niedziel i dziecięce kłótnie, kto z kolei otworzy następne okienko, dopóki raptem nie było się już za dorosłym, żeby sobie tym zawracać głowę. Arktyczny wiatr krajał mu policzki, przecinał jego cienki miejski płaszcz. W gardle szarpnęło, czy nie angina?

Słabo, bardzo słabo usłyszał dźwięki muzyki. Pośliznął się i chwycił żywopłotu, kolczasta gałąź przeorała mu dłoń.

Może powinien zawrócić? Co kiedykolwiek dała mu wiedza oprócz cierpienia? Tyle zrad. Czy w ogóle na tym świecie jest kobieta, którą można ogarnąć i trzymać przy sobie?

Zawrócić nie mógł, oczywiście. Zabłądził w tę nekającą wiatrem noc. Nie ma dokąd pójść, nie ma nikogo, kto by go poprowadził. Już za późno. Przemoczony i podrapany stał na czyimś gąbczastym trawniku.

Czarno majaczyła sylweta tego budynku, wiejska jakaś chałupka. Drzwi się otworzyły i buchnęło światło. Rozbrzmiała nad trawnikiem aria *La donna e mobile*, Pavarotti. W świetle ukazały się pnie drzew w tym ogrodzie. Usłyszał śmiech.

Celeste wyszła. Wyszła z mężczyzną w czapce i szubie. Śmiejąc się, ramię w ramię ruszyli szybko w głąb ogrodu, nieśli jakieś torby.

Patrzył na nich w księżycowej poświacie, która teraz zmieniała ogród w teatralną dekorację. Przeszli przez płot i już ich nie było.

Krew odpłynęła mu z twarzy, łzy stanęły w oczach. A więc mężczyzna - tego się domyślał, oczywiście. Ale nic by go nie zahartowało na porażenie prawdą.

\*

Miles zaparkował samochód tak, jak Brenda chciała, przed „Palce Lizać”.

- Zjedzmy coś najpierw - zaproponował. Przez okna widział jasno oświetloną salę, dekoracje gwiazdkowe, stoliki, ludzi zajętych jedzeniem. Może nie jesteśmy szczęśliwi, pomyślał, ale przynajmniej moglibyśmy zjeść.

- Przecież zjadłeś kanapki - powiedziała Brenda. Rozdygotana, znów rozłożyła mapę mierniczą. - <sup>235</sup>Przejdziemy trzy łąki i już jesteśmy. - Chodź. - Wysiadła, wyciągnęła z bagażnika łopatę i kielnię. - Księżyc w pełni - szepnęła. - Myśliwski księżyc. Weź latarkę.

Wysiadł w podmuchy wiatru trzepiącego po twarzy. Wydawało mu się, że są na jakimś urwisku daleko, daleko od wszystkiego. Za nim

zaparkowane samochody były mgławicą. Brenda chwyciła go za rękę. Potykając się ruszył po asfalcie.

RS

Buffy, potykając się, ruszył na oślep przez ogród. Potem wpadł na druty kolczaste. Nieomal z rzeżeniem jakoś się między nimi przecisnął, ale podarł płaszcz. Znalazł się w plątaninie malin czy jeżyn. Drzewa nad nim stały dęba - może nawet to były dęby! Niżej przesączała się pomarańczowa luna z plamy światła na horyzoncie. Chyba Dover - cywilizacja. Tysiąc mil stąd. Teraz, chociaż był w głębi lasu, słyszał samochody przejeżdżające po szosie jakoś głośniejsze. Dlaczego? Magiczna sztuczka powietrza. Wśród drzew jakieś stworzenie... ptak? Skąd ja to wiem, do diabła? Coś raz po raz w coś drapało. Odgłos jak przy ostrzeniu noża. Jak wtedy, gdy on ostrzył nóż, żeby pokroić niedzielną pieczeń dla rodziny. Tyle pieczeni, tyle niedziel. Za drzewami w księżycowej poświacie zobaczył te dwie sylwetki. Ramię w ramię idą tuż przy sobie. Potykając się skierował w ich stronę.

\*

Potyając się Miles szedł za żoną. Brenda galopem biegła ścieżką w dół. Kamyki odrywały się od ziemi pod jej krokami i uciekały z cichym terkotem. Usłyszał jej głos:

Tam! Tam! Wskazała. Zbryzgany poświatą, upiornie jeżył się las.

- W promieniu pięćdziesięciu stóp! - wołała - na południe! Mnie tu nie ma, myślał Miles. To sen. Ja śpię w Swindon. Za chwilę się obudzę. I nie będzie Brendy, niczego nie będzie.

A ona biegła ścieżką w dół do lasu. Łup łup łup - tupotały jej gumowe buty. W ostrej poświacie widział obłoczki jej parującego oddechu.

\*

Buffy przedzierał się przez kolczaste krzaki. O jakiś kolec tak . zahaczył szalikiem, że - przytrzymany od tyłu za gardło - przezi chwilę się dusił. W górze wszystkie chmury zniknęły, księżyc świecił jasno z kopuły nabijanej gwiazdami.

237

\*

- Uch, niech to szlag! - syknęła Brenda. Pociągnęła Milesaii za jodłę. - Zobacz!

Wyjrzał. Między drzewami, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu stóp zobaczył jakiś ruch, dwie postacie, mężczyznę i kobietę. Coś robili. Kopali, połyskiwała łopata.

- Och, nie! - Brenda się zachłysnęła. - Ktoś mnie ubiegł! - Głos jej się załamał. - To ponad moje siły.

Raptownie wyskoczyła zza jodły. Gałęzie trzaskały, kiedy popędziła przez zarośla.

- Brenda! - syknął Miles. Ślizgając się i potykając poszedł za nią.

\*

Buffy wybałuszył oczy. Co się dzieje? Teraz to są nagle cztery osoby. Słabo dolatywały ich głosy. Zza drzew w poświacie te dwie pary wyglądały iście szekspirowsko. Kochankowie w Puszczy Ardeńskiej. I jaką, do cholery, rolę on ma w tym grać? Stał, zdrewniał z zimna. Wrzucony na scenę, zapomniał swoich kwestii. Chyba tam jest awantura, dwie z tych osób się szamoczą. Usłyszał wrzask.

\*

Brenda mocowała się z postacią w szubie, usiłując jej wyrwać łopatę z ręki. Miles słyszał gwałtowny protest.

- My tu nic nie wykopujemy! My wkopujemy! Sadzimy flance!

- Czy może pan tę panią powstrzymać? - Stała przed nim dziewczyna. Chwyciła go za przedramię i zmieniła ton. - Niech pan powstrzyma tę okropną babę! Kto to w ogóle jest?

- Moja żona.

Zagapił się na nią. Miała blaski księżycyca w rozszalałych oczach, blaski wplątane we włosy. Była przepiękna - najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział. Wpatrując się w nią, doznał dziwnego wrażenia. Jak gdyby coś z niego uchodziło i jednocześnie coś innego napępniało go na nowo - jakaś transfuzja uczuć? Obudził się z długiego zimowego snu. Twarzą w twarz stanął z utraconą swoją drugą połową, z kimś tak bardzo swojskim, że nie musiał ująć tego w słowa. Serce w nim wezbrało, aż dławilo w gardle. Delikatnie odgarnął dziewczynie włosy z czoła.

- Jak pani na imię?

- Celeste.

Nie mógł mówić. Chciał ją wziąć w ramiona, wziąć ją pod płaszcz, zapiąć płaszcz na niej. Chciał ją przycisnąć do serca nagle rozdzwonionego.

\*

W tym momencie rozległy się trzaski, jakby podchodził słoń. Sunęła prosto na nich masywna sylweta. W czarnym płaszczu, w czarnym kapeluszu. Ale zatrzymało tego olbrzyma, napierającego przez zarośla, zwalone drzewo.

Dziewczyna się odwróciła.

- Buffy! - wykrzyknęła.

Olbrzym już wciskał się pod gałąź zwanego drzewa, próbując się przeczołgać. Nagle ryknął. Ryk rozbrzmiał w lesie, uciszył ich wszystkich. Z furkotem skrzydeł odleciały ptaki.

A on leżał na ziemi i jęczał.

- Moje serce! Mój krzyż!

Podeszli do niego. Jęcząc z bólu, leżał jak wieloryb na piasku.

- To zawał! - wystękał.

Celeste uklękła przy nim.

- Buffy! Skąd się tu wzięłaś?

- Skąd się tu wziąłem, do diabła! - wrzasnął. Podniósł głowę z wysiłkiem, odchrząknął i wskazał postać w szubie.

- Kto to jest ten traper? - Głowa mu opadła.

- Żaden traper - odpowiedziała Celeste. Chrupnęły gałązki, kiedy wszyscy podeszli bliżej. Wiatr ustał. Z daleka słychać było śpiew.

Skierowała promień latarki na twarz postaci w szubie. To nie był traper. Była to niemłoda kobieta <sup>389</sup> wełnianym berecie nasuniętym na uszy. Ze zdumieniem wlepiała oczy w Buffy'ego leżącego u jej stóp. Buffy z nie mniejszym zdumieniem wznosił wzrok na nią.

- Boże mój - powiedział. - Lorna.

- Nie traper, głuptasku - powiedziała Celeste. - To moja mama.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

---

Święto Bożego Narodzenia. Nadciągnęły ciężkie szare chmury, pierwsze płatki śniegu niosły się w powietrzu. Znieruchomiały gałęzie drzew zamkniętych w żelaznych okowach zimy. Jedyнным ruchem był trzepot ptaków huśtających się na sznurkach ze skórkami boczków. Przed gajówką w najbardziej zapadłej części Kentu stało kilka samochodów.

W zatłoczonym maleńkim saloniku Buffy spoczywał na podłodze, tak jak go położono, poduszki miał podetkane pod głowę. Otaczały go eks-żony, wszystkie trzy. Lorna przetrząsała kredens, szukając sherry. Celeste przyniosła kieliszki.

- Myślałyśmy, że umierasz - powiedziała Penny.

- Więc się mną przejmujecie! - wykrzyknął Buffy. - Przejmujecie się!

Nie odpowiedziały. Celeste usunęła ze stolika rękawiczki i szale, postawiła kieliszki.

- Nie wiedziałam, że to tylko krzyż - wyjaśniła. - Wydawał się w takim fatalnym stanie. Dlatego zatelefonowałam do wszystkich.

- Ja jestem w fatalnym stanie - powiedział Buffy. - To męka. Jakieś kompletne zwanie.

- Było tak raz w Kendall, pamiętasz? - przypomniała mu Popsi. - W naszym miodowym miesiącu. Leżałeś bezradny jak niemowlę.

Penny spuściła na niego wzrok.

- I było tak, kiedy mieliśmy jechać na siedemdziesiąte urodziny tatusia. Sprawa czysto psychosomatyczna. - Trąciła go swym wysokim butem. - Ty hipochondryku - powiedziała.

- Weź się w garść, przestań się nad sobą litować, błaznie stary.

- Pani taka bez serca - powiedziała Popsi. - Potargała mu włosy. - Biedny stary salcesonie. Zapalić ci papierosa?

Jacquetta patrzyła na niego zamyślona.

- Powinieneś ześrodkować płyn pacierzowy - orzekła.



W pokoju był za duży tłok, żeby mieć swobodę ruchów. Tobias i Bruno utknęli, wciśnięci między kanapę i półki z książkami. Jak wszyscy dorastający chłopcy, wydawali się zajmować więcej miejsca niż dorośli. Przerzucali kasety Lorny.

- Do kitu - powiedział Bruno. - Jest tylko jakaś denna opera.

- Za to można mi podziękować - upomniał "go Buffy.

- Nauczyłem te wszystkie kobiety kochać operę.

- Ściśle mówiąc, nie - powiedziała Lorna. - To ja nauczyłam ciebie.

- Ohoho, więc on znów przeinacza historię - powiedziała Penny. - Spuściła wzrok na Buffy'ego. - Dobry w tym.

- Ja tu jestem - z kolei ją upomniał Buffy. - Możesz zwracać się do mnie. Jestem tu i cierpię.

Jedenaście osób upchało się w tym pokoju. Niektóre nigdy dotąd się nie spotkały. Większość nie знаła Lorny. Odwołane ze swoich poszczególnych uroczystości świątecznych do tego domku zewsząd dalekiego, jeszcze sprawiały wrażenie oszołomionych. Ale już zaczynały się uspokajać. Quentin i Nyange siedzieli na ławeczce we wnęce okiennej. On trzymał jej włosy zwinięte w motek, kiedy ona mu pokazywała, jak wpina w nie muszelki ślimaków.

Penny przyjrzała się tej brązowskórej dziewczynie i siedzącemu przy niej homoseksualiście.

- Istny kanał czwarty - zauważyła. - Do kompletu potrzebny nam tylko ktoś rozbudzony fizycznie. - Umilkła i spuściła wzrok na Buffy'ego. - Hejże ha! Byłabym zapomniała. Jest taki. Doprawdy, kiedy się popłynie na fali wspomnień, on był rozbudzony fizycznie nawet często.

- Właściwie co przez to rozumiesz? - zapytał Buffy.

Penny się roześmiała, tak samo pesząco roześmiały się inne.

- Sherry? - zapytała Celeste<sup>241</sup>, rozdając kieliszki.

- Strasznie mi się chce siusiu - powiedział Buffy. - Mówiłem to już chyba osiem razy. Czy któraś zechce, bardzo proszę, przenieść mnie do łazienki?

Zaległa cisza.

- No! - Buffy chrząknął. - Która na ochotnika?

- Ja nie - odzębnała się Penny. - Nie ma obawy.

Popsi powiedziała:

- Ostatnim razem niosłam cię, pamiętasz, kiedy byłeś pijany.

Rzeczywiście się zarwałam. Więc... no, kotku, teraz jest ciębie jeszcze trochę więcej, prawda?

Penny rozejrzała się.

- Są zgłoszenia? Jacquetta?

Ale Jacquetta bujała myślą gdzie indziej.

- Na miłość boską! - wykrzyknął Buffy. - Po tych wszystkich latach! Czy proszę o zbyt wiele?

- Owszem - odpowiedziała Penny.

India wstała z podłogi.

- My to zrobimy. Chodź, Celeste.

\*

W całej Wielkiej Brytanii rodziny zasiadały do świątecznego obiadu. W mieszkaniu Buffy'ego George znalazł indyka. Drzwi lodówki już od miesięcy nie zamykały się należycie. George po prostu trącił je nosem i wyciągnął indyka bez trudu. Na pół zjedzone porcje rozwlekl po trzech pokojach.

W mieszkaniu Celeste króliki znalazły jarzyny, kawałki marchwi i brukselka leżały rozrzucone na dywanie. Króliki siedziały przeżuając. Pociągi śmigające poniżej wprawiały je w drganie; tak samo muzyka dudniąca powyżej.

\*

Na palenisku kominka płonęły drwa. Penny znad kieliszka sherry z zainteresowaniem przyglądała się koleżankom po eks-małżeństwie.

- Czy to was nie fascynuje?! Zupełnie jak zjazd starych dziewczyn, które były kiedyś w jakimś szczególnie upiornym internacie.

- Dziękuję! - powiedział Buffy, już z powrotem spoczywając na podłodze.

Popsi parsknęła swoim chropowatym śmiechem palaczki, który skończył się kaszlem. Była w złocistym swetrze z lureksu, niebezpiecznie wydekoltowanym, włosy miała spryskane „brokatem”. Nazwała to swoją dekoracją gwiazdkową.

Penny zwróciła się do niej.

- Zawsze się zastanawiałam, jak pani wygląda - powiedziała

- ale była już pani taka nieaktualna. Zostało tylko mnóstwo skreśleń w notesie adresowym Buffy'ego.

- Och, boja w tylu miejscach mieszkałam - wyjaśniła Penny.

- Jak Cyganka, no nie? Miałam po nim dwóch mężów, Terence'a i lana, ale on był najmiłszy. - Podniosła Buffy'emu głowę i wetknęła mu między wargi papierosa. - Byłeś najmiłszy, wiesz. Naturalnie smuklejszy niż teraz. - Podała mu ogień.

- Ale ja także.

Rozparła się w fotelu, sapiąc. Przy każdym jej ruchu „brokat” sypał się z włosów.

Jacquetta zaczęła machać ręką.

- Ten dym... - próbowała dym papierosa rozwiać niezdecydowanie.

Lorna i Celeste, dwie panie domu, napełniały znów kieliszki.

- Przepraszam, że jest tylko to - powiedziała Lorna. - Na pewno mam gdzieś słone paluszki. Nie spodziewałam się gości, wiecie. Miałam jechać z Celeste do Londynu. Po zasadzeniu tych flanc. Do Londynu, żeby zrobić Buffy'emu niespodziankę.

- Och, zrobiliście mi, i owszem - powiedział Buffy.

- Ale tak jest jeszcze większa uciecha. - Penny podsunęła swój kieliszek do napełnienia. - Za skarby świata nie chciałabym sobie tego darować. To naprawdę lepsze niż wizyta u ojca Colina w Nantwich. Ten ojciec, mam wrażenie, jest zupełnie taki jak Colin, tylko że jeszcze bardziej.

To był zapełniony pokój<sup>243</sup> nawet bez ludzi. Parapety okienne zastawione roślinami w doniczkach i starymi owczymi czaszkami. Gałązki ostrokrzewu wetknięte za ramy wszystkich obrazów, zasłony zasunięte przed zimną szarością dnia.

Quentin wziął w palce tę tkaninę.

- Z adamaszku świetnie by tu wyglądały, złocisto-rdzawe. Czy pani tego nie widzi? - zapytał Lornę. - Mógłbym dla pani kupić po niższej cenie. Pracuję u Harrodsa.

- U Harrodsa? - powtórzyła Lorna. - Ostatnio kiedy cię widziałam, leżałeś w wózek. Tylko popatrzyłam na ciebie ukradkiem. Byłeś prześlicznym dzieckiem.

- Prawda? - Popsi się ucieszyła. - Kiedy to było, kotku?

- Przyszłam na spotkanie z Russelem w herbaciarni - odpowiedziała Lorna. - Miał go wtedy pod swoją opieką.

Popsi spojrzała na podłogę.

- Przecież nigdy pod twoją opieką nie zostawiałam Quentina.

- Oczywiście, że zostawiałaś - powiedział Buffy. - Na cały ten czas, kiedy wypuszcziałaś się gdzieś ze swoimi amantami. I kto teraz przeinacza historię?

Nyange powiodła palcem po belce.

- Zawsze marzyłam, żeby tak mieszkać. W małym wiejskim domku, w którym się tkwi korzeniami. Mama i ja mieszkaliśmy wszędzie.

- Emocjonalna akomodacja - powiedział Quentin. - Witaj w klubie.

- Nie do mnie miejcie pretensje, tylko do waszych matek - powiedział Buffy. - Są dwie strony tego medalu. Nie znacie mojej.

- Nie znamy - przytaknęła Nyange. - Bo ciebie nigdy nie było.

- Czyja to wina? - zapytał.

Popsi podniosła rękę z kieliszkiem.

- Teraz on jest. Wszyscy jesteśmy. Lepiej późno niż wcale. Wypili. Jacquetta popatrzyła wokoło.

- W tym domu niewiarygodnie przemożny jest nastrój historii.

- Bo my jesteśmy historią - powiedziała Popsi. - No nie?

- Jesteście moją historią - powiedział Buffy.

- Wszystko w paru słowach<sup>244</sup> - powiedziała Penny. - Światopogląd Russella Buffery.

- Och, milcz - powiedział.

- Te ściany są lawowane? - zapytała Jacquetta. - Chyba sprowadzę robotników z powrotem. Znalazłam cudownego architekta wewnątrz. Kevin mu na imię. Chcę zupełnie inaczej urządzić kuchnię.

Lorna popatrzyła na ściany.

- To zacieki — powiedziała.

Penny poinformowała Jacquettę:

- Kazałam domek na wsi przemałować po pani. Taka byłam zazdrosna.

- Rzeczywiście? - zapytał Buffy. - Jakże mi przyjemnie.

- Och, to nie trwało długo - powiedziała Penny. Powiodła wzrokiem po kobietach. - Zabawny z nas harem.

- Pokój pełen kobiet, błogość niewysłowiona - powiedział Buffy. Spróbował unieść głowę, jęknął, głowa mu opadła na poduszkę. - Czy nie byłoby wspaniale, gdybyście zaczęły bić się o mnie?

Penny przytaknęła.

- Byłoby. I gdyby ta, która by została na placu boju, zabrała cię do siebie.

- Popiła sherry. - Trzy żony, po jednej na każdą dekadę. Na lata sześćdziesiąte pani, na lata siedemdziesiąte pani, no i na lata osiemdziesiąte chyba ja.

- Nie waż się pisać o tym felietonu, ty komercjalistko - powiedział Buffy. - Jest Boże Narodzenie. Dzień uświęcony. Uroczystość ściśle rodzinna.

- Eks-rodzinna, serdeczne dzięki - powiedziała Penny.

- Dla mnie nie eks - powiedział Buffy. - Znalazłem córkę!

Penny parsknęła śmiechem.

- Wiem. Myślałby kto, że sam ją wydałeś na świat, tak się tym chwalisz.

- To cud! Cudowne narodziny! - Poklepał słabo dywan przy sobie. - Chodź, Celeste, usiądź tutaj. Mogę cię nazywać córką? Ruszcie się, wszystkie.

Celeste wcisnęła się i usiadła przy nim.<sup>245</sup>

- Patrzcie na tę piękną dziewczynę - powiedział. - Nie zapisana tabliczka, nowa miotła. Zaczynamy dziś od początku.

- Tak. I możesz sobie darować tę całą fatygę, żeby napęlić jej dzieciństwo urazami - powiedziała Jacquetta. - Uciekałeś z innymi...

- Ja? - wrzasnął Buffy. - A co ty robiłaś? Uciekłaś do Tunezji z tym swoim malarzem, nauczycielem, wykradłaś się do Egiptu z tym dupkiem Austinem, zabawiałaś się ze swoim psychoanalitykiem, kiedy ja płaciłem za te wizyty, wiesz, ile to kosztuje...

- Dzieci, dzieci! - powiedziała Popsi. Odwróciła się do Lorny. - Proszę, kotku, pokaż to nam jeszcze raz.

Lorna siedziała przy kominku, dorzucając drwa do ognia. Nigdy dotąd nie miała tylu gości w tym pokoju. Odwracała głowę to w lewo, to w prawo, jakby w jakimś małżeńskim Wimbledonie śledziła piłkę winy odbijaną to tu, to tam. Czowała się dziwnie daleka od tego wszystkiego. Przywykła do samotności, musiałaby być sama, żeby się w tym wszystkim połapać. Chociaż ze względu na swoje eks-rywalki, czy też jak je tam określić inaczej, przebrała się w spódnicę, uczesała się i w ogóle przed przybyciem tych różnych niejako braci i siostr jej rodzonej zdumiewającej córki, to jednak nadal miała na sobie mnóstwo rzeczy. Sięgnęła pod sweter, w warstwy ciepłej bielizny, i wygrzebała łańcuszek. Na łańcuszku złota rybka błysnęła w blasku ognia.

- Ryby - powiedziała Jacquetta. - Niestalość i wdzięk.

- Twoja rybka, kotku, i jej rybka - powiedziała Popsi

- rozłączone po urodzeniu. No, jeszcze raz nam to opowiedz. Mnie to wzrusza do łez.

Lorna się uśmiechnęła. W blasku ognia wyglądała młodziej. Przez chwilę widać było podobieństwo między matką i córką

- te szerokie kości policzkowe, owal twarzy w kształcie serca

- pomimo że jej spiczasty podbródek już się trochę zaokrąglił. Dorzuciła do ognia jedno polano.

- Byłam na objeździe w Grecji, grałam Julię, kiedy okazało się, że jestem w ciąży. Z początku myślałam, że mój kostium po prostu się skulił. Potem zrozumiałam.

246

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał Buffy.

- Psst! - uciszyła go Popsi.

- Wiedziałam, że to Russella, naturalnie. Ale on był o tyle starszy ode mnie. I był żonaty.

- Poniekąd - powiedziała Celeste. Popsi potwierdziła:

- Poniekąd.

Lorna wygłaszała swoje przemówienie. Dopóki Celeste dziesięć dni temu nie zakolatała do jej drzwi, żadnych prób tego przemówienia nie było. Potem słowa same ułożyły się w szyku. I teraz ten mały odcinek historii nabrał wartości wskutek powtarzania. Za słowami kryły się niewiadome lata, które dotychczas były własnością tylko Celeste.

- Kiedy wróciłam do Anglii, nie wiedziałam, co robić. W tamtych czasach było inaczej niż teraz, moi rodzice nie posiadaliby się ze zgrozy. Mój ojciec prowadził Instytut Badań Statystycznych. Stąd masz głowę do cyfr, Celeste, zapomniałam ci powiedzieć. Był okropnie staroświecki. Przeciwny temu, że zostałam aktorką, od tego się zaczyna. A Russell...

- Uwielbiałem cię! - wykrzyknął Buffy. - Gdybym wiedział...

- Ja wiedziałam, że to by nie miało przyszłości - powiedziała Lorna. - Chociaż byłam taka młoda, nie łudziłam się. Ty także. Na pewno. Już daliśmy sobie nawzajem wszystko to, co było w nas najlepsze. No, ja z pewnością miałam od ciebie...

- Całe trzy całe tego - powiedziała Penny.

- Na litość boską! - huknął Buffy.

- Ona tylko żartuje, kotku. - Popsi poklepała go po kolanie.

- Wszystkie wiemy, że to trzy i pół. - I razem z Penny się rozchichotała.

- Czy tak właśnie kobiety rozmawiają, kiedy są same?

- zapytał Buffy.

Celeste zwróciła się do Lorny.

- Mów dalej. - Omal nie powiedziała „mamo”. Ale nie bardzo potrafiła powiedzieć to przy wszystkich. Zresztą nie miała pewności, że już to czuje. I do nazwiska Kidderpore będzie musiała się przyzwyczaić. Ćwiczyła przed lustrem. Celeste Kidderpore. Celeste Kidderpore. Tak jak ćwiczą dziewczyny w przededniu ślubu.<sup>247</sup>

- Siedzicie wygodnie? - zapytała Lorna.

- Skądże. Ten wielki morświn monopolizuje całą przestrzeń

- odpowiedziała Penny. - W życiu nie znałam nikogo, kto by zajmował tyle miejsca.

- Mnie jest bardzo niewygodnie - wykrzyknął Buffy. Stopy miał wciśnięte w kratę przed kominkiem, tors roziskrzony „brokatem”, który leciał z włosów pochylającej się nad nim Popsi.

- Więc zachowałam to w tajemnicy - powiedziała Lorna. - Kiedy ona się urodziła, dostałam rolę Elektry w Glasgow. Rozpaczliwie chciałam być Elektra. - Zapatrzyła się w płomienie. - Byłam bardzo ambitna wtedy. Pewnie można by powiedzieć: wyzwolona i niezależna, ale to się sprowadzało tylko do egocentryzmu. Aktorzy są najbardziej bezwzględni ludźmi na świecie. Muszą być tacy, żeby robić swoje. I dlatego rodzice z nich wprost straszni.

- Słuchajcie, słuchajcie - powiedziała któraś.

- Zamknij się - powiedział Buffy.

Lorna spojrzała na Celeste.

- Więc zgłosiłam cię do adopcji. Zabrali cię bardzo prędko. Dostałaś ode mnie tylko tę małą złotą rybkę, moją drugą połowę, bo też jesteś spod znaku Ryb. I imię Celeste, bo zawsze mi się podobało. I na tym koniec.

Panowała cisza. Za oknami się ściemniało, ale nikt tutaj tego nie zauważył. Pora obiadu nadeszła już dawno i minęła.

- Czy jest jeszcze trochę sherry? - zapytała Popsi. Łzy spływały jej po policzkach.

Celeste wysączyła jej do kieliszka ostatnie krople z butelki. Panowała cisza. Nawet chłopcy się przejęli. Siedzieli zgarbieni przy ogniu, kolczyki w ich uszach błyskały. Bruno zwinął gazetę i wepchnął ten rulon w płomienie. Wiadomości, słowa będące już historią paliły się jasno jak drwa. Stare drewno i stare słowa rozgrzewały, rumieniły wszystkie twarze. Czy ważne co grzeje, jeżeli im jest ciepło?

Celeste, oczywiście, już słyszała tę opowieść kilka razy w ciągu ubiegłych dziesięciu dni. I ponadto od kobiety, w której powoli usiłowała rozpoznać swoją matkę, dowiedziała się o wiele więcej. Istotne wydarzenia przybierały szklistość baśni, mitu do opowiadania w ciemne zimowe wieczory.

A Buffy leży na podłodze i jest jak wyłączone radio czekające, żeby ktoś je włączył. Wktótce będzie powtarzać tę opowieść, upiększać



wykrzyknikami oburzenia i barwną interpunkcją, sprawi swoim miodowym głosem, że ta opowieść stanie się historią. Bo głos ma mocny, dźwięczny, uwodzicielski, autorytatywny, głos niezależny od jego bałaganiarstwa. Wkrótce więc ona, Celeste, wejdzie do jego repertuaru. Wezbrało w niej bardzo miłe poczucie własnego znaczenia.

Wychyliła kieliszek sherry. Molton Mowbray już tak daleko. Tak daleko od tej dziewczyny, którą ona jest teraz... Jeszcze trudno tę dziewczynę rozpoznać. Celeste. Samo to imię jakoś do niej nie pasowało i wcale nie była do tego imienia dopasowana. Zawsze czuła się samotna, nie w takt, chociaż w tamtych czasach brakowało jej słów, żeby to sformułować bodaj dla siebie. Taka myśl wydawała się czarną niewdzięcznością. Tam, w Molton Mowbray, nie myślało się o swoich rodzicach, że mogliby być innego pokroju. W Londynie tak się myśli, do licha, myśli się tak, ale tam, w Molton Mowbray - nigdy. Tam żadna córka nie zrzuca winy na rodziców, jeżeli czuje się bezpostaciowa, nieokreślona jak nieostra fotografia. Jeżeli czuje się strasznie samotna.

Popsi mówiła do Lorny:

- Co się stało z twoją karierą, kotku? - pytała. - Widziałam cię raz na scenie, byłaś niezła. Jasne, że nie chciałam tego przyznać, byłam odrobinę zazdrosna.

- Byłaś? - zapytał Buffy z nadzieją.

- Krótko. Sama miałam wtedy ręce pełne roboty. - Znowu zwróciła się do Lorny. - Pewnie podchodziłabym do tego inaczej, gdybym wiedziała, że masz z nim dziecko. Tylko że nie wiedziałam.

- Ja też nie wiedziałem - powiedział Buffy.

- Grałam dalej przez jakiś czas - powiedziała Lorna - ale coś już zwiędło. Och, nie wiem. Coś umarło. Jakby zabrakło mi paliwa, znacie to uczucie?

- Paliwa to ja zawsze miałem za dużo - powiedział Buffy. - Na tym polegał mój kłopot. Tyle <sup>249</sup>cholernego paliwa, że nie mogłem wzniecić płomienia.

Penny zaczęła:

- Kłopot z tobą...

- Och, och, znów ta stara śpiewka - jęknął Buffy. - Kłopot ze mną. Nie mogłaś tego nagrać na kasetę, żeby sobie oszczędzić fadygi?

- Kłopot z tobą polegał na tym, że wciąż byłeś zajęty tylko tworzeniem swoich dramatów, więc nie miałeś kiedy zająć się swoją pracą. Na przykład, upodobałeś sobie ten dramat... stary rogacz, bankrut, biedny Buffy. Przede wszystkim nawet nie jesteś stary. Masz zaledwie sześćdziesiąt jeden lat.

- Psst, kotku - powiedziała Popsi i znów zwróciła się do Lorny. - Mów dalej.

- Moje aktorstwo to były czcze gesty - podjęła Lorna. - Czułam to. Zdawałam sobie sprawę.

- Wszystkie kobiety, które znam, zawsze biadają, że dzieci złamały im karierę - powiedział Buffy. - A ty teraz mówisz, że twoją złamał brak dziecka. Nie chcecie mieć dzieci i chcecie.

- Zamknijże się - powiedziała Penny.

Lorna mówiła.

- Chciałam zrobić karierę dla kogoś, a nie było nikogo. Od tamtego czasu byłam raczej jak liść na wietrze. To tu, to tam. W pracy i bez pracy. Kiedy się nie ma życiowych komplikacji, można się zupełnie zagubić.

- Ale zupełnie wyzwolić - powiedziała Penny. - Może to na jedno wychodzi. - Zdjęła łydkę Buffy'ego ze swojej stopy. - Jest pani wyzwolona najbardziej z nas wszystkich. Myśmy tylko znów wyszły za mąż.

- Widzimy same siebie pod kątem mężczyzn - powiedziała Jacquetta.

- Pod kątem ich kont w banku - dorzucił Buffy z goryczą.

- Czas, żeby wypić moją herbatkę rumiankową. - Jacquetta podryfowała do kuchni.

- To właśnie ona zawsze robiła - powiedział Buffy. - Parzyła herbatki.

- Wszystko tu wprost niebiańskie - stwierdziła Penny - żałuję, że nie mam magnetofonu.

- Nie jesteśmy miniserialem, kotku - upomniała ją Popsi.

- Nie. - Czymś znacznie lepszym.

Buffy zaproponował zjadliwie:

- Mogłabyś nas opisać w swojej rubryce: *Penny dla Was. Czy Twoja rodzina staje się przykra i skostnieje?* Spróbuj ją podniecić dodaniem jakiejś Celeste.

Popsi nie słuchała. Wpatrywała się w Penny.

- Jesteś Penny Warren? Penny przytaknęła.

- Ta dziennikarka? Przysłałam ci coś i wydrukowałam. O tym, że jeżeli chce się usunąć zapach ryby z rondla, trzeba w nim zagotować ziarenka kawy.

- Rzeczywiście? - zapytała Penny. - Nie pamiętam.

- Na miłość boską! - odezwała się nagle Celeste - przecież jest rrfowa o moim życiu! Nie o zapachu ryby! - siedziała sztywno, patrzyła na nie. - Wszystko... cała moja przeszłość... dorastałam przekonana, że to prawda! Moi rodzice, wszystko! Ufałam im wszystkim... w dzieciństwie ufa się każdemu. Czy nie rozumiecie... przez te wszystkie lata wszyscy mnie okłamywali.

- Witaj w moim klubie - powiedział Buffy. Lorna wstała.

- Myślę, że trzeba jeszcze się napić. - Otworzyła kredens. Wyjęła butelkę i przyjrzała się etykietce. - Madera. To będzie musiało wystarczyć. - Odkorkowała tę nie zapieczętowaną butelkę i powąchała.

Buffy spróbował objąć Celeste ramieniem. Opadł, skomląc z bólu.

- Jesteście tacy cyniczni - powiedziała Celeste - wszyscy. Gdybyście wiedzieli, jakie sprawiacie wrażenie!

- Moja droga - powiedział Buffy - skoro już mówimy o okłamywaniu, co ty ze mną robiłaś przez te dwa miesiące?

Celeste poczerwieniała. Zaległa cisza. Lorna, powoli przeciskając się przez pokój, napełniała kieliszki. W końcu Celeste powiedziała:

- Ja nie kłamałam. Grałam.

- Och, niedaleko pada jabłko od jabłoni - powiedział Buffy.

- Nie mam ci za złe. <sup>251</sup>Całe szczęście, że mnie nie poniósł mój przemożny seks. - Penny parsknęła śmiechem. Zignorował ją.

- Gdyby poniósł, zrobiłbym coś, nad czym wszyscy byśmy ubolewali.

Wsunęła się Jacquetta z kubkiem zaparzonego rumianku.

- Tak jak mój ojciec, na pewno.

- Wciąż jeszcze to obrabiasz? - zdziwił się Buffy. - Biedny staruszek, ten twój tata. - Zwrócił się do Celeste. – Szczęście i ulga, rzeczywiście. Moja ty kochana. Wiedziałem, że cię kocham, ale naprawdę lepiej, że jest tak, jak jest.

- Dlaczego? - zapytała.

- Bo nie musi się skończyć, a co więcej, dopiero się zaczyna. Z żoną można się rozwieść, z dzieckiem w żadnym razie się nie da.

- Nie da się - przytaknęła Jacquetta - ale w każdym razie można prawie się nie widywać z dziećmi.

- Czyja to była wina? - ryknął przekręcając się. - Co sobota powtarzałaś, że musisz zabrać je do dentysty czy do sklepu po szkolne mundurki! Co sobota nagle byłaś troskliwą matką.

- Kotki! - wtrąciła się Popsi. - Było, minęło.

- Pewnie, że to przez mamę - powiedział Tobias. - Myśmy chcieli do ciebie przyjeżdżać.

- I do naszych patyczaków - powiedział Bruno.

Buffy wlepił w niego wzrok.

- Pamiętasz je?

- Quentin - powiedziała Popsi - zawsze mówił o tobie z uczuciem.

Quentin przytaknął.

- W budzie Świętego Marcina namalowałem cały obraz *Święty Sebastian przeszyty strzałami*, kiedy czytałeś w radiu *Hultaja*. Powiedziałem kolegom, że to mój ojciec. Twój głos bardzo mnie pocieszał, kiedy malowałem te wściekłe fragmenty... wiesz, to przedziurawione ciało. Pokażę ci to kiedyś. Wisi u mnie.

- Raz waliłem w szybę, ale mnie nie słyszałeś - przypomniał sobie Buffy.

- W mieszkaniu?

Buffy potrząsnął głową.

- W wystawową Harrods<sup>252</sup>a.

Popsi objęła syna ramieniem, obsypując go „brokatem”. Dekolt lureksu osunął się niżej.

- Teraz, kiedy lody już przełamane, możemy wszyscy się zaprzyjaźnić. Jedźmy na obiad do Quentina. To kucharz pierwsza klasa. - Odwróciła się do Celeste. - Twój przyrodni brat! W głowie mi się kręci.

W milczeniu usiłowano to sobie rozpracować. Madera po sherry nie pomagała. Czy India jest krewną Celeste? Nie, tylko mniej więcej jej rówieśnicą. Natomiast Nyange jest! Przyrodnia siostra. Nyange siedziała przy oknie. W warkoczu miała gałązkę ostrokrzewu wplecioną wśród muszelek i kolorowej przędzy. Wyglądała olśniewająco egzotycznie, jak wotywna bogini.

- I Tobias, i Bruno - powiedział Buffy - to twoi przyrodni bracia.

- Ale Maxine nie siostra - powiedziała Popsi. - Ja miałam z Terrym. Prawda?

Celeste już to sobie uszeregowała jakiś czas przedtem. Temu towarzystwu znającemu się na rzeczy jednak zabrało to kilka minut. Zupełnie tak, jakby patrzyła na zespół mistrzów w rozwiązywaniu krzyżówek, który teraz biedzi się nad krzyżówką rzeczywiście trudną, jedną z tych wysoko nagradzanych, z bardzo tajemniczymi hasłami.

Nagle poczuła serdeczną sympatię do nich wszystkich. Jakże jej nastroje dzisiaj się huśtają! Buffy ma rację. W pewnym sensie ona kłamała, czy przynajmniej nie mówiła prawdy, czyli wprowadzała ich w błąd. To niehonorowo.

Penny, najbystrzejsza z nich trzech, patrzyła na nią.

- To wypytywanie o Buffy'ego, kiedy niby to przypadkiem mnie spotkałaś, ty chytra dziewczyno...

- Oho, Penny przechytrzona - powiedział Buffy.

- ... trochę się dziwiłam, dlaczego tak cię to interesuje.

- Ja też - powiedział. - Biedny głupek. Myślałem, że jesteś zazdrosna.

To chyba niezupełnie było dalekie od zazdrości? Czyż to nie taki sam przemożny głód <sup>253</sup>szczegółowej wiedzy, nie taka sama gorycz?

Penny patrzyła na nią, przechylając głowę.

- Badałaś, czy to może ja jestem twoją matką?

- I czy może ja - powiedziała Popsi. - Żałuję, że ja nie, kwiatuszku. A przysięgłabym wtedy, że interesują cię tylko telefony.

- Ten klient w ogóle się nie odezwał - poinformowała ją Celeste.

- No cóż... raz się zarobi, raz się traci.

Jacquetta ręką szala przetarła okulary. Włożyła je z powrotem i wlepiała oczy w Celeste.

- Skończyłam wczoraj twój portret. Nazwałam go „Zaginione dziecko”. Najwidoczniej coś przeczuwałam. Podświadomie, rzecz jasna. Masz jego brwi, to zauważyłam.

- Ja również. Gęste czarne brwi Buffy'ego. Pamiętam, jak myślałam, że powinnaś je wyskubywać.

Buffy słabo podniósł rękę z kieliszkiem. Celeste znów naląła mu wina. Spojrzał na siedzącą przy ogniu Lornę w pocerowanym swetrze, wełnianej spódnicy i jaskrawoczerwonych rajstopach. Na rajstopy włożyła skarpetki w paski, ale dzisiaj do pary. Powiedział:

- Nasze dziecko. Ledwie to do mnie dociera. Przez całą tę noc, kiedy tak czule ułożyłaś mnie tutaj, przez całą tę noc pod tym zwyczajnym kocem leżałem bezsennie i wpatrywałem się w zgliszcza tego, co mogło być. I wciąż jeszcze zdumiewałem się zadziwiony, że oto jest ona. Oka nie zmrużyłem.

Tak naprawdę to Lorna i Celeste w sypialniach na górze oka nie zmrużyły. Nie dawało im spać chrapanie donośne jak głos Stentora z *Iliady*, dolatujące z dołu. Ale nie sprostowały, nie chciały psuć nastroju.

Lorna spojrzała na córkę siedzącą na podłodze przy rozciągniętym Buffym. Nie czuła się matką, jeszcze nie. Nie było na to czasu. Będzie musiała uczyć się macierzyństwa od początku, jak obcego języka błyskawiczną metodą Berlitz. Ale może ani jej ani Celeste to już niepotrzebne, może to już nie jest właściwe. Czas matkowania minął, dziecko dorosło. Celeste stała się swojska - bliska sercu nawet - ale jeszcze mają długą drogę do przejścia. Och, to zbyt skomplikowane, żeby myśleć o tym, kiedy tyle osób stłoczonych tutaj i Penny coś mówi.

Penny mówiła do Celeste:

- Jednak nie rozumiem, złotko, dlaczego tyś po prostu nie zapytała Buffy'ego? Dlaczego nie zapytałaś go, ile ma dzieci?

- Ze względu na ten list - odpowiedziała Celeste.

- Co było w tym liście?

Celeste zawahała się. Wszyscy patrzyli na nią - nawet Jacquetta, która skulona na podłodze, spowita w szal, celebrowała swoją rumiankową herbatę. Jestem córką aktora, uświadomiła sobie Celeste. Przez dwadzieścia trzy lata myślałam, że mój ojciec naprawiał pralki. Przez dwadzieścia trzy lata... och, muszę obracać każde wydarzenie, pieczołowicie podnosić je w rękach i oglądać na nowo, Prawie nie zaczęłam tego robić, to będzie robota na zawsze.

Odwróciła się do matki.

- Możesz mi podać moją torebkę?

Lorna podała. Celeste wyciągnęła z torebki portfel z eklerem. Trzymała ten list między rachunkiem telefonicznym a miesięcznym biletem autobusowym. Wyjęła go teraz z portfela i rozłożyła. Od czytania raz po raz prawie się rozpadał. Chrząknęła i zaczęła czytać swojemu audytorium.

*Najdroższa Celeste - czytała - Taki list trudno mi napisać, ale trzeba. Teraz, gdyśmy oboje odeszli z tego świata, mam Ci do powiedzenia coś, co Ciebie dotyczy, a to był Donald i mój sekret przed Tobą przez te wszystkie lata i może nie zgodzisz się, że słusznie, ale myśmy uważali, że tak jest najlepiej. Kochaliśmy Cię jak córkę, ale to nie jest cała prawda. Zostałaś wybrana. Wybraliśmy Cię, ponieważ uważaliśmy, że nam się nadajesz, a Pan Bóg w mądrości Swojej zdecydował się nie zesać nam naszego własnego dziecka. Chociaż zesał. Zesał nam Ciebie. Przez te wszystkie lata dawałaś nam tylko szczęśliwość i chcę Ci za to podziękować. Nie wiem dużo o Twoich prawdziwych rodzicach, ale może kiedyś będziesz chciała dowiedzieć się o sobie więcej. Tutaj Ci piszę to, co wiem. Twoja matka dała Tobie tę rybkę, którą zostawiam dla Ciebie w załączeniu. Chyba jesteś córką kogoś, kto się nazywa Russell Buffery, ale pewności nie mam. Może on by wiedział, gdybyś go odszukała. Może tylko był wtedy mężem Twojej matki, ale myślę, że nie. Prawdopodobnie on nawet nie wie, że Ty istniejesz, i po mojemu to lepiej nie budzić licha. Niech Cię Pan Bóg błogosławi i dziękuję Ci za to, że byłaś dla nas taką radością przez te wszystkie lata. Jest 800 funtów gotówką na koszty w tym cebrzyku z tworzywa z pokrywką, w tym, który nam Annie dała, a myśmy go nigdy nie używały, w tym do ociekania*

*salaty. Gdybyś miała trudności z wodociągiem, to główny kurek jest w ogrodzie od furtki na prawo. Chyba o tym nie wiedziałaś. Z całą miłością Cię pozdrawiam. Connie.*

Zaległa cisza, którą nagle przerwał szloch.

- Och, to takie piękne! - szlochała Popsi. Siedziała jak duża królowa elfów, jej „brokat” migotał na tych, których dotknęła, na Buffym, na Celeste. - Och, czemuż ja tego nie zrobiłam!? Czemuż nie zgłosiłam mojego syneczka do adopcji? Może dzisiaj on byłby tu z nami!

Nawet Penny chlipnęła. Wytarła nos i powiedziała rześko:

- Ale mogłaś ich odszukać o wiele prościej, wiesz. Mogłaś pójść do Urzędu Stanu Cywilnego Somerset i poprosić, żeby ci pokazali rejestr urodzeń z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego. Dzieci adoptowane mają prawo szukać śladu swoich prawdziwych rodziców.

- Nie wiedziałam o tym - powiedziała Celeste. - W każdym razie chciałam najpierw go obejrzeć.

- Więc przyjechałaś do Londynu i ...

Celeste przytaknęła.

- Wytropiłam go, po prostu znalazłam adres w książce telefonicznej i postarałam się o pracę niedaleko. A potem zrobiło się za późno. Od każdej z was, którą znajdowałam, dowiadywałam się, że jeszcze jedna była przed nią.

- I w końcu dowiedziałaś się, że jeszcze jedna była na boku

- powiedziała Penny.

- A potem zrobiło się za późno - powtórzyła Celeste. - To już się stało zbyt skomplikowane.

- Właśnie - powiedział Buffy. - Nigdy człowiek nie kłamie. Człowiek tylko dorośleje.

- W jej przypadku dosyć prędko - powiedziała Penny.

- Ledwie włożyła narty, fi-it! zjechała czarnym zjazdem.

256

\*

Nastąpiło ogólne poruszenie. Była godzina szósta i trzy eks-żony zaczęły się zbierać do powrotu w swoje bieżące życie. W ich domach czekały prezenty do rozpakowania, kolacja do przygotowania. Ich Boże



Narodzenie, które swym pilnym telefonicznym wezwaniem zatrzymała Celeste, domagało się, żeby je święcić. Buffy spróbował się podnieść, ryknął i znów opadł na podłogę.

- Wesołych Świąt wam wszystkim, moje drogie - powiedział, machając do nich ręką pożegnalnie. - Miłości wy moje, moje lepsze połowy, moje szczęście utracone...

- Dobrze już, dobrze - uciszyła go Penny.

Gęsiego wyszły z dziećmi do sionki i włożyły płaszcze. Lorna otworzyła drzwi. Wiatr dmuchnął wirującym śniegiem. Cofnęła się wzdrygając.

Przed domkiem w ciemnościach ogród białł puchato. Bo śnieg padał chyba od kilku godzin, kiedy one były zajęte rozmową. Krzewy zmieniły się w zaspę, dalej majaczyły większe białe garby - tam, gdzie stały zaparkowane samochody. Świat wypiękniał niesamowicie i cisza panowała absolutna. Nawet szmer nie dolatywał z szosy za wzgórzem.

W żaden sposób nie dałoby się wyjechać, wyprowadzić samochodów na szosę nieprzejezdnym szlakiem.

RS

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTYPIERWSZY

---

W szyscy zdjęli płaszcze i wrócili do saloniku.

- Co zrobimy? - zapytała Lorna.

- Tak właśnie muszą się czuć katolicy - powiedziała Penny, spuszczać wzrok na Buffy'ego - kiedy chcą się rozwieść. Zasypani śniegiem. Na całe życie.

- Do jedzenia nie ma prawie nic - oznajmiła Lorna. - Prawie nic w spiżarni.

- Zawsze możemy ugotować Buffy'ego - powiedziała Penny. - Jest go tyle, że wystarczy dla nas wszystkich.

- Zamknij się! - wrzasnął Buffy.

- Albo niech będzie z rusztu - powiedziała. - I zostawimy kawałeczek dla tej brzuchatej psiny.

- Zamknij się! - Bezsilnie spróbował się dźwignąć. - To nie jest awangardowy film feministyczny!

Penny parsknęła śmiechem.

- *Władca Much* w stylu rozwodowym.

Jacquetta zapytała:

- Czy nie można zatelefonować po pomoc drogową? Leon będzie się niepokoił.

- Och, nie będzie - powiedziała India. - Ma inne sprawy na głowie. Zapomniałaś? Boże Narodzenie jest tak pełne urazów, że wszystkie pacjentki teraz do niego dzwonią.

- To prawda - przyznała Jacquetta.

- Czasami - ciągnęła India - są w takim stanie, że on musi otworzyć gabinet na specjalne konsultacje.

Celeste trąciła ją łokciem,

- Daj spokój! - syknęła.

Lorna podniosła słuchawkę telefonu, ale telefon był głuchy.

- Boże! Pewnie druty przywaliło.

Kuchnia zapełniła się kobietami. Otwierały kredensy, wyciągały szuflady.

- W lodówce powinno być trochę paluszków rybnych - powiedziała Lorna.

- Czy znajdzie się u pani rondel chiński? - zapytała któraś.

Lorna nie dosłyszała.

- I gdzieś muszą być parówki - ciągnęła. - Dostałam je w pracy, ale mam wrażenie, że przeterminowane.

Popsi westchnęła.

- Znam to wrażenie.

- I może została siekanina na kotlety - dokończyła Lorna.

- Ja jestem wegetarianką - powiedziała Jacquetta.

- No pewnie - zauważyła Penny. - Dlaczego ludzie trudni to zawsze wegetarianie?

Popsi włożyła fartuch.

- No, dziewczyny, jest czas ryb i bochenków chleba. - Zajrzała do lodówki. - Kawałtka czedara, jeden jogurt truskawkowy. Ojej, te parówki rzeczywiście stare. - Odwróciła się do Penny. - *Penny dla Was?*

- Ja radzę upikantnić te rurki makaronu w puszcze. Niech pani spróbuje zmieszać je z pastą do butów.

- Chce pani, żeby dzięki temu było tych kluch więcej? To dodajmy podściółkę kociać i będzie prawdziwa familijna uczta.

- Ach, z tych resztek tutaj byłby świetny nawóz!

Jacquetta zajrzała do spiżarni.

- Tutaj jest kus-kus, ale to się gotuje trzy i pół godziny.

Lorna stała przy niej bezradnie.

- Obawiam się, że nie jestem zbyt dobrze zagospodarowana.

- Szczęściara - powiedziała Penny - pani przecież nie musi być.

Popsi szperała wśród<sup>260</sup> warzyw. Wyciągnęła zeschniętą marchewkę.

- Przypomina wam to kogoś, dziewczyny? Rozchichotały się wszystkie, nawet Jacquetta. Nie słyszało się jej śmiechu przedtem, więc tamte trzy wybałuszyły na nią oczy.

W tym momencie wkroczył Quentin, zakasując rękawy.

- Mnie to zostawcie, kochane panie - powiedział.

\*

Okna domu jaśniały w ciemnościach. Przed domkiem Bruno i Tobias bili się śnieżkami. Opadła z nich nastoletkowa ospałość, znowu byli rozdokazywanymi dziećmi i piszcząc nabierali śnieg garściami, żeby nim obrzucać jeden drugiego. India otworzyła drzwi. Światło rozlało się po puszystej bieli.

- Chodźcie! - zawołała. - Mama mówi, że zamarzniecie! Ale nie słyszeli. A ona raptownie wyszła i już brodziła w śniegu.

- Nyange! - zawołała. - Wyjdź! Jest cudownie!

\*

Buffy i Celeste zostali w saloniku sami. Zza okna słyszeli okrzyki i piski. Z kuchni dolatywały salwy śmiechu.

- Tam zupełnie jak noc w internacie - powiedział Buffy.

- One chyba nieźle się dogadały - powiedziała Celeste.

- Nie powinny. To nieprzyzwoite.

- Mają ze sobą coś wspólnego.

- Wiem. - Umilkł słuchając. - Właśnie to mnie denerwuje. - Spróbował usiąść, żeby słyszeć lepiej, i opadł na dywan z powrotem. - Podaj mi moje papierosy, kochanie.

- Nie pal.

- Mam nie palić? Naprawdę to cię obchodzi? Poglaskała go po brodzie.

- Oczywiście, ty niemądry.

Przykro jej było patrzeć, jak on robi, co może, przystosowując się do sytuacji. Od miesięcy wiedziała, że to go czeka niczym poważna jakaś operacja, o konieczności której nie miał pojęcia. Zamierzała przygotować go stopniowo, bardziej ceremonialnie delikatnymi napomknieniami, które wyjaśniłyby się ostatecznie przy świątecznym obiedzie *en trois* w jej mieszkaniu. Ale niespodziewane wydarzenia w lesie wszystko to wywróciły.

- Słuchaj, bardzo cię przepraszam.

- Uwielbiam cię, Celeste. Wiesz o tym.

- Ja ciebie też uwielbiam - powiedziała. - Więc nie masz do mnie żalu?

Przytaknął, że nie ma. Ujął rękę swojej córki i ucałował kolejno wszystkie jej pięć palców. Przyłożył sobie tę dłoń do policzka. Dolatujące z kuchni śmiechy i szczękanie rondli wydawały się dalekie. Tu, w saloniku, był tylko odgłos zsunięcia się drwa w dogasający ogień.

- Masz ten „brokat” na brodzie - powiedziała Celeste.

- A ty na pulowerze.

- Wiesz, nigdy nie zdołam mówić do ciebie: tato. Jakoś za bardzo mi głupio.

- To mnie cieszy. Niewiele mi dotychczas dało nazywanie mnie tatą.

Odsunęła się.

- Słuchaj! - Teraz patrzyła na niego groźnie. - Nie jesteś nieudanym ojcem! Widziałam, jak twoi chłopcy odnoszą się do Jacquetty, zupełnie tak samo okropnie. To jeszcze smarkacze! I nie jesteś nieudanym mężem. Byłam we wszystkich twoich życiach. Słyszałam, jak oni wszyscy mówią o tobie, twoje eks-żony, India, wszyscy. Pewnie tylko ja jedna to słyszałam. Byłam jak mucha na ścianie. Czy nie rozumiesz? Oni by ciebie nie targali, gdyby cię nie lubili. To w jakiś dziwny sposób jest komplement. - Urwała, żeby zaczerpnąć tchu. Od razu zamierzała mu to powiedzieć. - Nie jesteś nieudanym mężem i ojcem, Buffy! Po prostu masz za dużą przeszłość, żeby być w niej nieudany! I popatrz... one wszystkie tu są, no nie? Wszystkie twoje eks. Przyjechały natychmiast, i to w takie święto! Tylko słuchaj, co one mówią. One i twoje dzieci też.

Milczeli. Śnieżka pacnęła w okienną szybę. Przed domkiem wrzaski niosły się po okolicy - wszystkie Boże Narodzenia, których on nie miał, zbiegły się nagle tutaj i teraz. Rozbrzmiewały echem na wsi w okowach zimy.

- Tyś ich tu zgromadziła.<sup>262</sup> Niech cię Bóg wynagrodzi za to

- powiedział Buffy. - Ty jedyna potrafiłaś to zrobić.

- Nieprawda! Ja tylko pomogłam, żeby tak się stało. Czy nie rozumiesz tego, niemądry? Chyba nie rozumiesz dlatego, że jesteś zbyt pochłonięty rolą w swoim scenariuszu.

- W jakim scenariuszu?

- W tym o biednym starym Buffym. O biednym starym Buffym, poobijanym, rozwiedzionym, opuszczonym. Penny ma rację. Jakoś zamknąłeś się w tym na klucz, a to wcale nie jest rzeczywistość! Wcale nie jesteś taki stary. I nawet nic naprawdę ci nie dolega. To zupełnie tak, jakbyś napisał dla siebie rolę i trzymał się tego tekstu jedyne, jaki znasz.

Właśnie wtedy do saloniku weszła Jacquetta. Była w swoim dużym miękkim filcowym kapeluszu i miała zatkniętą za pasek ścierkę z Historycznymi Widokami Kentu. Jeszcze chichotała.

- Darujcie, że wam przeszkadzam - powiedziała - ale czy teraz, kiedy dajecie sobie bobu, podać wam bób pieczony?

\*

Później oni wszyscy mówili - kogokolwiek z nich by się słuchało - że z całą pewnością była to najcudowniejsza kolacja bożonarodzeniowa w życiu, a to powinni wiedzieć, bo cudacznym Bożym Narodzeniem nie zbywało im przedtem. Jedli preparat ze smażonego makaronu z puszki, wymieszanego na patelni z kapustą, cebulą, parówkami i pieczonym bobem, podlany *do wyboru* - jak powiedziała Lorna swoim tonem kierowniczkii sali - *ketchupem pomidorowym albo piccalilli*. Spalaszowali to popijając. Poszło pół butelki brunatnego porto, litrowa butelka cinzano znaleziona przez którąś w głębi spiżarni i trzy puszki przeterminowanego Budweisera zakupione przez Lornę dawno temu dla hydraulików, którzy jej instalowali nowy bojler.

One jadły na Buffym. Jednym z jego stu zastosowali jako eks-męża było przecież służenie za wygodny stół do kolacji. Tylko nie mógł się śmiać ani poruszać, bo talerze by się z niego zsuwały. Celeste go karmiła. Siedzieli wszyscy kręgiem na podłodze, jedząc z Buffy'ego albo ze swoich kolan. Serwetki mieli z „Palce Lizać”, mnóstwo serwetek. Popsi wetknęła sobie we włosy gałązkę jemioli. Lorna<sup>263</sup> znalazła schowaną płytę gramofonową Dizzy Gillespie i nastawiła. Prawie ćwierć wieku minęło, odkąd przy tej muzyce tańczyła z Buffym, raczej nie wiedząc, że ich uściski doprowadzą po takiej dużej wyrwie w czasie, po takim długim śnie na jawie do obecności tej zarumienionej dziewczyny, czule podtrzymującej jego posiwiałą głowę i

karmiącej go widelcem. Córka, która wyskoczyła znikąd! W miarę jak trunki działały, ten fakt stawał się dla wszystkich zarówno nieunikniony, jak cudownie dziwny.

Nawet Jacquetta wypila cały kubek cinzano. Spojrzała na Buffy'ego.

- Pamiętasz pikniki w Provence, kiedy Bruno i Tobias byli mali? Pamiętasz zapach lawendy i camembert...

- Wszystko pamiętam - powiedział Buffy.

- Nawet jak byłeś zanadto pijany, żeby pamiętać? - zapytała Penny.

Stuknął się w głowę.

- Wszystko mam tutaj. W moim jeszcze nie napisanym pamiętniku. Nawet teraz, kiedy tu siedzicie jak hieny nad padłym starym bawołem.

Celeste popatrzyła na trzy eks-żony.

- Powiedźcie, że było warto! Nie możecie tak po prostu tego wyłączyć, prawda? Powiedźcie, że było ze wszech miar warto. - Wychyliła kieliszek. W głowie jej szumiało. - Powiedźcie, że jest wam go brak.

Penny uniosła rękę.

- Dobrze, bylebyśmy nie musiały mieć go z powrotem.

- Ja tylko chcę wiedzieć - powiedziała Celeste.

Uważała, że trzeba taką sążnistą mozolną przeszłość wybronić, ta przeszłość musi coś znaczyć. Cała. Inaczej po cóż byłoby to wszystko?

- Brak mi ciebie - Penny patrzyła na Buffy'ego. - Brak mi ciebie, kiedy chcę pójść do teatru. Mój jak-mu-tam w żadnym razie nie pójdzie. Brak mi ciebie, kiedy mam do powiedzenia coś, co ty zrozumiesz. O piłkach tenisowych, na przykład. Przedwczoraj pomyślałam coś o piłkach tenisowych milionerów. I są pytania, na które nie dostanę odpowiedzi już nigdy. - Żuła w zamyśleniu. - Nie brak mi twojego psa, jednakże.

Popsi powiedziała.

- Myślałam o tobie, kotku, jeszcze w zeszłym tygodniu. Umieścili ten napis „Stoiska również na <sup>264</sup>górze”. Kiedyś mówiłeś, że są dwa napisy, które zawsze cię przygnębiają, chociaż nie wiem, dlaczego. Jeden to właśnie „Stoiska również na górze”, a drugi: „Podaje się lekkie przekąski”.

- Pamiętasz to? - zapytał Buffy.

Przytaknęła.



- Ja nie pamiętam - powiedział.

- I nawet nie byłeś taki zły w łóżku - powiedziała Penny. - Myśmy tylko żartowały z tą marchewką.

- Z jaką marchewką? - zapytał.

- Mieliśmy nasze dobre momenty - ciągnęła. - Ty przynajmniej r o z m a w i a ł e ś potem. I w trakcie. Nieraz tak się rozgadałeś, że musieliśmy przestać.

- Psst! - upomniała ją Popsi. - Nie przy dzieciach.

Jacquetta spojrzała na makaron wbity na jego widelec.

- Mnie brak osoby, którą byłam wobec ciebie. Kiedy ktoś odchodzi, osoba, którą się było wobec kogoś, znika. Nikt inny nie może jej przywrócić. Więc kiedy małżeństwo runie, traci się dwie osoby.

Zaległa cisza.

- Głęboka myśl - stwierdziła po chwili Popsi, której gałązka jemiioły opadła poniżej ucha.

- Ale to się nie kończy, prawda? - zapytała Celeste. - No, patrzcie, jesteśmy tutaj. Jesteśmy tu teraz.

Podchmielone siedziały w zadumie. Zjadły już wszystko. Zgniotły swoje serwetki i wrzuciły je w ogień; buchnął płomień. Zabrały talerze z brzucha Buffy'ego. Celeste zwróciła się do matki.

- Brak ci go było?

Lorna wstała, trzymając stertę talerzy. Za nią ostrokrzew wysunął się spod ramy obrazu i spadł na podłogę. Potrząsnęła głową.

- Właściwie nie. - Przeszła przez Buffy'ego w drodze do kuchni. - Brak mi było tylko ciebie, Celeste. Brak mi było ciebie przez cały ten, cały czas. Kiedy pracowałam u Selfridge'a, myślałam: ona przyjdzie, zacznie przymierzać swetry. Potem przeniosłam się do Dover, otworzyłam niedużą kwiaciarnię. Śluby i chrzciny, robiliśmy bukiety. Myślałam: kto wie, którego dnia... Głupio, rzeczywiście, ale zawsze miałam nadzieję. Potem nas zburzyli, żeby tam był parking, i pracę w tej okolicy mogłam dostać tylko w gastronomii. Nie moja branża, doprawdy, ale myślałam.... tyle ludzi wtedy przejeżdża, chyba pośród nich mogłabyś przejeżdżać i ty. Przez te wszystkie lata, kiedy dawałam jeść innym, myślałam: wejdiesz do sali i jakoś cię

rozpoznam. I będziesz tak ubrana, jak ja lubiałam się ubierać, nawet w takich pantoflach. To było śmieszne. Po prostu myślałam: poznam od razu, że to właśnie ty. - Zatrzymała się

w drzwiach. - Och, brak mi było ciebie, bardzo!

\*

Przed domkiem stał pośrodku trawnika bałwan ze śniegu. Duży, kulfoniasty, w miękkim kapeluszu Buffy'ego i jego płaszczu. Stał naprzeciw jaśniejących zasłon w oknach. Nie widząc patrzył oczami z kasztanów, nie słysząc słuchał muzyki z adaptera. Rozbrzmiewało echo sprzed lat. Muzyka do tańca, muzyka do zakochania się - muzyka seksu i miłości. Bałwan zamarzał na twardo. Ziemia wokół była rozmiękła, rozkopana nogami dzieci.

\*

Płyta skończyła się z pstryknięciem. Wszyscy trwali w ciszy, chociaż po chwili zdali sobie sprawę, że nie jest zupełnie cicho. Coś szumiało: może silnik adaptera?

Trwali więc w niezupełnej ciszy. Nagle Popsi beknęła.

- Ojej! - powiedziała. - *Pardon.*

Nasłuchiwali. Coś dudniło gdzieś daleko, silnik. Kobiety wstrzymały oddech. Czują się jak rozbitkowie, którzy słyszą nadlatujący samolot. To było coraz głośniejsze. Zerwały się i podbiegły do okna. Tłocząc się i rozglądając rozsunęły zasłony. Czaszka owcza spadła z parapetu na podłogę.

Przycisnęły twarze do szyb. Zobaczyły w ciemnościach dwa reflektory.

- To Leon - powiedziała Jacquetta. - Akurat kiedy zaczynałam dobrze się bawić. - Odwróciła się od okna do Buffy'ego. - On zawsze był o ciebie zazdrosny.

266

- Nie jest! - powiedział Buffy z podłogi. - Czy może jest?

- zapytał.

- A myślisz, że dlaczego pisze te wszystkie książki? Penny stała wpatrzona w światło latarki, które podskakując

sunęło przez ogród.

- To Colin, mężczyzna w każdym calu - powiedziała. - Czy wiecie, nigdy nie mówi, że mnie kocha. Teraz okazuje to na swój nieartykułowany sposób.

- Ja mówiłem, że cię Kocham - powiedział Buffy. - Raz po raz.

Quentin łokciem odsunął Penny od okna i przycisnął do szyby nos. Światło latarki, już bardzo blisko, poraziło go w oczy.

- Może to Talbot - powiedział. - Ale nie wydaje mi się. Zresztą on nie ma prawa jazdy.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Lorna poszła otworzyć. Tamte trzy czekały, z jakiegoś powodu speszzone, jakby zostały przyłapane in flagranti. Usłyszały męski głos w sionce. Usłyszały warkot silników i więcej męskich głosów w ogrodzie. Poczwały zapach spalin. Lorna wróciła. Powiedziała do Celeste:

- To ten, który wczoraj był w lesie. Celeste zagapiła się na nią.

- Co?

- Ten, któremu tak wpadłaś w oko. Ten z tą straszną żoną.

- Jest tutaj?

- Istny anioł - powiedziała Lorna. - Przyjechał na ratunek. Postarał się o pług do odśnieżania traktu. - Odwróciła się.

- Celeste?

Ale Celeste, potykając się o Buffy'ego, już wybiegła do sionki.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

---

Nazajutrz śnieg stopniał. W lesie drzewa ociekały; słychać było tajemnicze westchnienia i skrzypnięcia, miękki łomot, kiedy warstwy śniegu odrywały się od gałęzi i spadały. W ogrodzie Lorny topniał bałwan. Stopniowo Buffy się rozpuszczał. Tęga postać kurczyła się, pocąc w blasku słońca. Płaszcz obwisał, kapelusz osiadł w ramionach. W miarę jak godziny mijały, osuwał się ten bałwan w kałużę swojej wody.

Nazajutrz został tylko na podeptanej błotnistej trawie kłęb pustego płaszcza pod pustym kapeluszem w kałuży otoczonej śladami tam, gdzie ślizgając się na śniegu, biegały dzieci bałwana.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

---

Później, wiele miesięcy później, kiedy Celeste i Miles zamieszkali razem, Miles, powiedział:

- Tylko pomyśl. Mała puszka rybek doprowadziła mnie do ciebie, moja wspaniała. Sardynki! Ja ich nawet nie lubię, a ty?

Celeste potrząsnęła głową. Ją poprowadziła mała złota rybka do tyłu w przeszłość i naprzód w przyszłość. Czasami wydawało się, że te wszystkie wydarzenia ubiegłej zimy to bajka. Gdyby pojechać znów do hali staroci pod .arkadami, zastałoby się kram Popsi zamknięty żelazną kratą. Kto? Nie ma tu żadnej takiej. A w ogóle co to za imię i nazwisko? Gdyby otworzyć gazetę i przeczytać reportaż Penny z podróży, kto by w ten reportaż uwierzył? Czy Penny rzeczywiście popija *daiquiri* na Barbados, czy leży na podłodze u kogoś i nawija swoje marzenia? Książka o ponownym zastosowaniu rzeczy nie została wydana. Eksperyment Urlopowy nie powstał.

Waxie i inni dzicy lokatorzy dawno już zajęli jej mieszkanie i zmienili zamki. W istocie ona tam nie wróciła; te króliki, telefony i durszlaki przecież nigdy naprawdę nie należały do niej. To były tylko rekwizyty, które pomogły jej wykreować tę nową postać Celeste - rekwizyty w swoim czasie mające jakieś znaczenie, gdyby je rozumiała.

RS

Co to wszystko znaczy i czy jeszcze jest ważne? Ona już ma wszystkich, których kocha, a oni mają ją. Przyłączyła się do nich. Nawet sama pomogła wykreować eks-żonę swojego męża - Brendę więdnącą w Swindon. Miała w tej sprawie takie wyrzuty sumienia, że zaczęła czytać książkę Leona. Przyłączyła się do nich jak najbardziej - do tej swojej nowej, ze wszech miar niestatecznej rodziny.

I dzisiaj po południu ma zjeść podwieczorek z Buffym. Będą planować opóźnioną uroczystość jego sześćdziesiątych urodzin. Ma się z nim spotkać wcześniej, bo dziś wieczorem on pracuje. Gra pana Hardcastle'a w sztuce *Ona się schyla po zwycięstwo*, a ta cała charakteryzacja i peruka zabierają przecież mnóstwo czasu.

KONIEC

RS